

DEOTYMA.

WYBÓR POEZJI.

XIĘGA PIERWSZA.



WARSZAWA.
NAKŁAD I WŁASNOŚĆ KONSTANTEGO TREPTEGO.
1898.

WYBÓR POEZJI

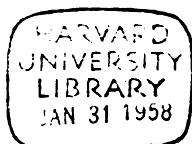
DEOTYMA.

WYBÓR POEZJI.

XIĘGA PIERWSZA.



WARSZAWA.
NAKŁAD I WŁASNOŚĆ KONSTANTEGO TREPTEGO.
1898.



Дозволено Цензурою.
Варшава 23 Іюня 1897 г.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

WSTĘP.

PIEŚNIOM NA ODLOCIE.

Obejrzałam się na życie.
Pieśni moje, czy słyszycie?
Nawołuję was!
Już od plonu brzmieją spichrze,
Róg myśliwski gra na wichrze,
Do odlotu czas!

Porzucajcie gniazdo wasze,
Gaj pożółkły, wież poddasze,
I okienka chat.
Nawiązujcie trójkąt stada,
Co jak harfa się układa,
I odlećcie w świat!

* *
*

A nie lećcie nadaremnie.
Dary nieście mu odemnie,
Pod skrzydłami xiąg.
Czego łaknie smutna rzesza,
Co pociesza i co wskrzesza,
Rozsypujcie w krąg.

A nie miejcie wzroku sowy,
Ani szpony krogulcowéj,
Ani kruczych szat.
Dość już gońców czarnéj Troski!
Wy roznoście uśmiech boski,
Na spłakany świat.

* *
*

Czy kto z dobrą czy złą duszą,
Wszystkim, wszystkim którzy muszą,
Przez ten padół iść,
Przy gołębich piór szeleście,
Z pozdrowieniem POKÓJ nieście,
Jak oliwny liść.

Tym, co czoła mają chmurne,
Co na piersiach cisną urnę
Przepłakanych strat,
Rzućcie błękit po-nad głowy,
Niech w POGODZIE lazurowéj,
Zmieni im się świat.

* *
*

Mistrzom wiedzy i rachuby,
Którzy w życiu, samoluby!
Widzą chytrą grę —
Na zeschnięte serc ich wióry,
ZAPAŁ nieście tchem wichury,
Jak czerwoną skrę.

Tym, co struci są goryczą,
W niebo patrzą buntowniczo,
Nienawistnie w świat —
Nieszczęśliwi! Tym na łono,
Rzućcie MIŁOŚĆ rozpłonioną,
Jak różowy kwiat.

* *
*

Wołającym za ochłodą,
Synom słońca, którzy wiodą
Z huraganem bój —
Pokazujcie tę NADZIEJĘ,
Co w pustyni palmy sieje,
Pod palmami, zdrój.

A na końcu, jak w początku,
Wszystkim, wszystkim, bez wyjątku,
Do skończenia lat —
Wracające z nieba goście,
Na promieniu gwiazd, przynoście,
WIARĘ w inny świat.

1887.

POEZJE.



KRUCJATY.

Od Jerozolimskiéj bramy,
W pośród łąk skropionych rosą,
Pełne łez niewiasty, niosą
Wonne zioła i balsamy.
Przy odblasku zorzy białéj,
Widząc grób świecący z dali,
Niespokojnie zapytały:
»Któż nam kamień ten odwali?«
Lecz o dziwy! Cóż się stało?
Grób otwarty — znikło ciało —
Tylko w świetle, dwaj anieli,
Z błyskiem w oku, z szatą w bieli,
Śród Syońskich cór stanęli.
Kamień jeszcze drga przy ziemi,
A niebianie co go strzegą,
Rzekną: »Czemu żyjącego,
»Szukać między umarłemi?«

* *
*

Tam od wschodu, czy widzicie
Rubinowy blask o świcie?

Czy widzicie śród ogrodów,
Co mirtami wonnie kwitną,
Ten minaret, co z nad grodów
Strzela w niebios toń błękitną?

Lecz cóż to za blask zamglony,
Od zachodniéj świta strony,
I jak z drugich zórz ogniska,
Purpurowém pasmem łyska?
Tarcze w złocie gorejące,
Mieczów iskrzą się tysiące,
Błyszczą jeźdźce i rumaki,
A czerwone na nich znaki.
Oko miga z po-za stali,
Pstra chorągiew szumi w dłoni,
Pod pancerzem krew się pali,
Na pancerzu krzyż się płoni.

Po świetlanéj brnąc powodzi,
Z czém pędzicie gońcy młodzi?
Chcecież zatknąć te sztandary,
Opłonione słońcem wiary,
Gdzie półxiężyc krwią zachodzi?
»Z czém i dokąd my pędzimy?
»Po Grób! Do Jerozolimy!«

Ach, któż czołem nie uderzy
Przed zapałem tych rycerzy,

Co puszczali się szalenie
Na nieznane mórz bezdenie,
Na pustynie bez gościńców,
I katownie barbarzyńców,
Aby zdobyć cel duchowy?
Wielkie serca! Harde głowy!
Ale jeśli w téj oddali,
Chcieli znaleźć Wodza chwały,
Czemuż w grobie Go szukali,
Kiedy wódz to zmartwychwstały?

* *
*

Czy widzicie przyszłe lata,
A w nich przyszłych Krzyżowników?
Kiedyś wstanie znów Krucjata,
Lecz bez mieczów ani szyków.
Każdy nowym apostołem,
Z białém od spokoju czołem,
Extatyczném zlaniem ducha,
Mistrza z Nazaretu słucha.
Rwący przykład ich wymową —
Bronią, cudotwórcze słowo —
A okuciem z żywéj stali,
W które więźniów swych spętali,
Bratnia miłość dla wszechświata,
Co go w łańcuch serc oplata.
Myślą, co ich wiarę święci,
Pałających celem chęci,

Nie grób jeden ni kraina,
Ale każdy fałsz i zbrodnia,
Które cierń Bożego Syna,
Krwawo odnawiają co dnia.

Świat dziś cały w swym cgromie,
Grób to z bielonemi ściany,
Gdzie spoczywa niewidomie,
Chrystus ciągle krzyżowany.
Ale przyszły huf rycerzy,
Jakby anioł grzmiąc przybieży,
I odwali głaz na grobie,
Aby w trzeciéj wieków dobie,
Jako trzecie prawdy zorze,
Zmartwychwstało słowo boże.

1852.

PIELGRZYM.

Z okiem utkwionêm w dal szafirową,
Z szatą zniszczałą, z dalekiéj strony,
Idzie gościńcem pielgrzym strudzony.
Czasem przystanie, potrząśnie głową;
Tu się wypłacze — tam się wyżali,
Potém znów idzie — daléj a daléj.

Przy drodze chata. Skrzypek i śpiewki.
Zwinna gosposia zastawia stoły;
Makami kraśne, śmieją się dziewki;
Stuka podkówką chłopiec wesoły;
Starszyzna pije, dawny czas chwali.
— Pielgrzym zapłakał, i poszedł daléj.

Na drodze tuman. W blasku i gwarze,
Jadą z trąbami zwycięzkie szyki,
Strojne chorągwie, promienne twarze.
Tryumf! Na tryumf biją okrzyki.
Słońce i chwała świécą ze stali.
— Pielgrzym zapłakał, i poszedł daléj.

U skrętu drogi, dwór malowany.
W otwartém oknie stół i foljały;
Od xiąg spiętrzonych ciemnieją ściany.
Przy xiędze, siedzi mąż osiwiały;
Chciwość badacza z ócz mu się pali.
— Pielgrzym zapłakał, i poszedł daléj.

Po drodze wzdycha: »Jakaż, o Boże!
»Smutna ta droga! Z rycerskiéj broni
»Ciecze krew bliźnich... W chacie czy dworze,
»Radość zaledwie na chwilkę dzwoni...
»Mędrcowi, zawsze, jak morskiéj fali,
»Głos wyższy mówi: — Nie pójdziesz daléj!«

Wzdychając, kroczy w dal błękitnawą.
Za mgłą błysnęła wieżyczka złota.
Mur koło drogi, otwarte wrota,
Krzyże tam sterczą nad bujną trawą,
I jacyś ludzie z trumną zjechali.
— Pielgrzym zapłakał, i nie szedł daléj.

On nie nad trumną, ale nad temi
Płakał, co idąc za trumną, płaczą.
A tu zatrzymał stopę tułaczą,
Bo przez szczelinę skopanéj ziemi,
Dojrzał... (ach, czemuż tamci płakali?)
Rajski krajobraz wielkiego »Daléj!«

Co tam za światła! Co za wesele!
Więc kres położył znojnéj podróży,

I przy cmentarzu i przy kościele,
Osiadł z uśmiechem, zdala od burzy.
Sami go zmarli już odwiedzali.
— Aż i on z niemi poszedł... tam... daléj...

1852.

TANIEC.

Wśród eterycznych przestrzeni bez końca,
Wirowym biegiem puszczone planety,
W ochocze koła otaczają słońca.
W pęd posuwiste szaleją komety.
Mgławica krążąc z lekkością dziewczęcą,
Na srebrny rąbek nawija przepaście.
Parzyste gwiazdy zalotnie się kręcą.
Pod modrém nieba sklepieniem, dwanaście
Złotych tancerek i złotych tancerzy,
Trzyma wzorzystą przepaskę zodjaku;
Słońce kolejno do każdego bieży,
Wstęgi dotyka u innego znaku,
Aż rok okrągły jej pasmem obmierzy.
Grzmi niebo. Zgoda! Harmonja wspaniała!
Odkąd popchnięcie twórcza dłoń im dała,
W taniec wiekowy idą jasne ciała.

* *
*

Nietylko gwiazdy, miłosnym rozpędem,
W koło wiecznego pląsają ołtarza.

Nieraz i człowiek tanecznym obrzędem,
Nabożne czucia wyraża.

Król-harfiarz wyszedł na drogę Syjonu;
Krasne u szaty uniósłszy obrzeża,
Tańcem radosnym, wśród palm i pokłonu,
Prowadzi orszak Przymierza.

W gaju z kokosów ciemnieje pagoda.
U drzwi, tak wiotka, że zdaje się duchem,
W obłocznych szatach, Bajadera młoda,
Ljanowym faluje ruchem.

Minaret świeci w słonecznéj pozłocie.
Derwisz, rozwarłszy ramiona, szalenie
Zatacza wiry, jakby chciał w przelocie,
Pochwycić boskie natchnienie.

Ci, patrzą w niebo. Lecz taniec to rzadki,
Co jak modlitwa, kończy na kolanach.
Spojrzyj po ludach, a same w ich tanach,
Ziemskie wyczytasz zagadki.

* *
*

Wtedy w żywéj, barwnéj scenie,
Jak w dramacie tajnéj treści,
Każdy skok i poruszenie,
Myśl plemienną w sobie mieści.

Na południu, rozhukaném
Namiętnością i orkanem,
Tamburyno bije skronie,
Kastanieta pali dłonie,
Czarnooka drży i płonie,
Gdy się w burzy, do Kaczuczy,
Od piorunów tańca uczy,
I do rwącéj Tarantelli,
Nóg pożycza od gazelli.

A gdzie miększe dnia połyski,
W ugłaskanéj grzeją sile,
Tam Anglezy i Kadryle,
Cicho krążąc jak motyle,
Wdzięk malują towarzyski.

Tu Germańczyk zwiesił głowę.
Kreśli, wiąże i odmienia,
Swe zadania rozumowe.
Chce ukoić bój zwątpienia,
Chce zapomniéć! Rzuca xięgi.
Uśmiéchnęła się dziewczyna,
Walc w zawrotne wziął go kręgi.
On szczęśliwy, — zapomina!

A gdzie zimy cień przezroczy,
Obdziergany w srebrne płótno,
Gwiaździstemi patrzy oczy,
Gdy siarczyste skrzypki utną,
Serce z piersi ci wyskoczy.

Mazur chrzęsnął szczękiem broni,
Jakby echo od turniejów.
A Krakowiak rżnie i dzwoni,
Jakby kraśny kulig dziejów.

Znagła, wszystkie owe dźwięki,
Bieg zwalniają — szerzéj płyną —
Poskręcane w szkliste pęki,
Nawiązują pieśń jedyną —
I jak potok, co rwie skały,
Aż łożysko w nich wyrzeza,
Wszystkie poszły w morze chwały,
Złotą rzeką Poloneza.

* *
*

Dziś, z osobna ludy stoją.
Zgiełk i zamęt w hymnie świata.
Każdy huka nutą swoją.
Ależ kiedyś je dostroją,
I dłoń z dłonią się posplata.

O dniu piękny, gdy narody,
Pójdą w jeden taniec zgody!
Wtedy wstęga ich wesoła,
I zodjaku wstęga górna,
Wezmą ziemię we dwa koła,
Jak pierścienie u Saturna.

* *
*

Życie ludzkie, piosnka dzika!
Rytmy łamią się jak lody.
Człowiek codzień napotyka,
Nowe myśli i przygody.

Każda, niby tanecznica,
To łagodna, to burzliwa,
W nowy zawrót go porywa.
Ta odpycha, ta zachwyca.

Gdy na wszystkie rwą go strony,
Pierś mu bije, twarz się pali.
Już stargany i znużony,
Chciałby spocząć gdzieś w oddali,
Aż ostatnia, tajemnicza,
Wchodzi z maską u oblicza,
Przystępuje do człowieka,
I z życiowéj, gwarnéj sali,
We drzwi ciemne z nim ucieka.

Wszyscy patrzą w nieznajomą,
Z ciekawością i ze trwogą.
Że wybierze, to wiadomo,
Lecz nie wiedzą nigdy kogo?

Nikt wymówić się nie zdoła,
Gdy w ostatniéj nań godzinie,
Zasłoniętą ręką skinie,
I do swego wezwie koła.
A nikogo nie ominie!

Oto starzec, choć złamany,
Ledwie weszła ta milcząca,
Wstał jak struna, kij odtrąca,
I z tajemną poszedł w tany.

Mąż spogląda za rodziną.
Ach, dni jego złotem płyną,
I laurowym kwitną listkiem.
Trzeba żegnać się ze wszystkiém!
Przycisnąwszy ręką łono,
I on poszedł z niezgadnioną.

Tu dziewica w białym rąbku,
Splata kwiecie pomarańczy.
I ty pójdziesz mój gołąbku!
Próżno dłonią kryje oczy,
Łzą przyzywa świat uroczy,
Już tajemna i z nią tańczy.

Znów rzuciła los... i komu?
Ściąga rękę pokryjomu,
Chce kolebkę porwać małą.
Dziecię kwili z niéj nieśmiało:
»Jakże chcesz abym pląsało,
»Kiedy jeszcze iść nie mogę?»
Ha! I ono poszło w drogę.

Niezbłagana, niestrudzona,
Rody, ludy, i plemiona,

Uprowadza po kolei.
Nikt nie pewien kto jest ona?
Jakie daléj nosi miano,
Czy boleści czy nadziei?
Tutaj, Śmiercią ją nazwano.

* *
*

Tak przez krągłe sfer załomy,
Zagarniane w czas ruchomy,
Wszystkie dusze, wszystkie światy,
Zataczają wir skrzydlaty,
Po wieczności saméj krańce.
Aż przed Bożym staną tronem,
I zakończą zmienne tańce,
Odpocznieniem nieskończoném.

1852.

LILJA.

Czém jest wśród ptaków gołąbka biała,
Czém wśród klejnotów perła z wód łona,
Tém pośród kwiatów lilja wspaniała,
»Strojniejsza od Salomona.«

Gołębia, święte znamiona strzegą:
On wniósł do arki gałąź oliwy.
Stokroć nadziemski, stokroć szczęśliwy,
On godłem Ducha Świętego!

Perły te jasne, ach to są może,
Łzy nieszczęśliwych, które anieli,
Na nietykalne świadectwo boże,
W muszlowych skrzynkach zamknęli —

Aby je, wolne od wstrząśnień lądu,
Związane tęczą w setne opaski,
Pod morzem ukryć, i aż w dzień Sądu,
Wysypać na szalę Łaski?

Lecz za cóż lilja hołdy odbiera?
Zkąd jéj mistyczny czar tajemnicy?
Ach, bo ta wzniosła, ta śnieżno-cera,
Obrazem Boga-Rodzicy!

Kwiatem dziewiczym, kwiatem królewskim,
Strzelił dla Marji pręt Aarona.
A gdy po latach, w grobie Efezkim,
Spoczęła cicho uśpiona —

Gdy w noc gwiaździstą znikły Jéj zwłoki,
Wzięte do nieba przez rajskie posły,
W pustym grobowcu, na dnie opoki,
Cudowne lilje wyrosły.

I odtąd lilja niebian pamięta,
Rwie się stęskniona z ludzkich padołów,
I pół-skrzydlata, pół-wniebowzięta,
Stała się kwiatem aniołów.

O większa chwało! Zaszczycie boży!
Jéj kwiat dziewiczy, jéj kwiat królewski,
Siedmioma gwiazdy przeplecion, tworzy
Djadem Królowéj Niebieskiéj.

1852.

MODLITWA.

W szczęściu, jest tém szczęściem samém.
W cnocie, wytrwania potęgą.
W cierpieniu, pociech balsamem.
W grzechu, poprawy przysięgą.

Bóg się w Swém istnieniu błogiém
Nie modli, bo w żadném niebie,
Nie zna wyższego od Siebie,
I dla tego jest On Bogiem.

Anioł, z pochyloném czołem,
Wiecznie zachwycon w pokorze,
Bez modlitwy żyć nie może,
I dla tego jest aniołem.

Człowiek, z każdym stanem, wiekiem,
W cierpień czy radości kole,
Modli się gdy chce, ma wolę,
I dla tego jest człowiekiem.

Szatan, wszystko wié i umié,
Tylko jedno mu nieznaném:
On się modlić niechce w dumie,
I dla tego jest szatanem.

1852.

NATCHNIENIE.

Bóg, światłem się zasłania przed ludzką źrenicą.
Myśli przyrody, w niemych kształtach skamie-
[niały.
Duch ludzki, sam dla siebie jest niezrozumiały.
Bóstwo — i świat — i człowiek — wszystko taje-
[mnicą.

A jednakże, syn ziemi, pod ową zasłoną,
Może wiele podpatrzéć. Już podpatrzył tyle!
Tak! Lecz jeżeli kiedy rąbek odchylono,
To tylko, gdy natchnienie wzniosło go na chwilę.

Gdy Kopernik budowę wszechświata przemienia,
Gdy Szekspir znurtowywa serc ludzkich bez-
[droże,
Gdy Michał-Anioł sądy odgaduje boże,
Genjusz jest lontem tylko dla iskry natchnienia.

Natchnienie! Ty gromami bijesz w chaos ciemnic.
Jedna twa błyskawica, od razu docieka,

Setnych tajników Bóstwa, świata i człowieka.
Cóż, gdy własne twe źródło, to przepaść tajemnic?

Próżno zgłębiać! Najgrubsza zasłona ocienia
Rękę, co wszystkie inne rozdziera zasłony.
O! Ten byłby zaprawdę najwyżéj natchniony,
Ktoby zgadł tajemnicę samego natchnienia.

1853.



RZEŹBIARSTWO.

W łonie ziemi, kruszce lśniące,
Mdłe kryształy, twarde głazy,
Tkwią jak myśli czczych tysiące.
Któż oblecze je w wyrazy?
Dłoń, co wszelki skarb natury,
Dla osobnych mistrzów stwarza,
Gdzie się blade ćmią marmury,
Zakréśliła świat rzeźbiarza.

Rzeźbiarz! Ach, on Pigmaljonem!
Któryż nie jest nim w zachwycie?
Każdy, tchnieniem rozognioném,
Uściśnieniem ideału,
Chciałby własne oddać życie,
Alabastrowemu ciału.

Lecz nie dosyć, Pigmaljonie!
Gdy twe dzieło się poruszy,
Weźmie życie z twojéj duszy,
I na obraz twój rozpłonie —

Aby wstąpić w poczet mistrzy,
Musisz natchnąć posągowi,
Ten cud sztuki, żywot czystszy,
Co nadludzkość w nim stanowi.

Nie wątp! Czegóż cud nie zdziała?
Prawa tworzy! Prawa zmienia!
Nawet ręka przyrodzenia,
Cudem, rzeźby wytwarzała,
Za wskazówką wyższéj woli.

Kiedy niebo iskry miota,
Uchodząca żona Lota,
Kamienieje w posąg z soli.
Pan zakazał jej z wysoka,
Patrzéć w miasta potępione.
Okiem błysła w ową stronę,
I zmartwiała w błysku oka.

Kto się zwraca z drogi swojéj,
Kto nie patrzy się w nadzieję,
Lecz o przeszłość niepokoi,
Ten jak przeszłość — kamienieje.

* * *

W starożytnych wieków ciągu,
Gdy olbrzymy przewodziły,
Kolosalny kształt posągu,
Wrażał ludom cześć dla Siły.

I bronicie się czasowi,
O siłacze granitowi!
W assyryjskim pyle grodów,
Dotąd grozi skroń Nemrodów,
Gnębicieli stu narodów.
Egipt milczy pełen trwogi.
Jego króle, jego bogi,
Jak odłamy skały szaréj,
Niebotyczne chmur filary,
Zaludniają puszcz obszary.
Stara pycha śpi zaklęta,
W każdéj z mętnych owych twarzy.
Świat już dawno nie pamięta,
Dzieł ni nazwy tych mocarzy,
A ich postać nieugięta,
Jeszcze »wieczną« chwałę marzy!

•

Od piramid prowadzona,
Po zawianéj żalem drodze,
Ścigam palmy, i przychodzę
Pod grający grób Memnona.
Dziwne dłonie co go kuły,
Rozcuciły głaz nieczuły,
I nieznaną sztuki mocą,
W faraona pierś ciosową,
Śpiewające wlały słowo.
Przez dzień milczał. Milczał nocą.
Lecz gdy ranne spadły rosy,
Czuł, że nowe słońce wstanie,

I wydawał tęskne głosy,
Jak zagrobne powitanie.

Ach, nietylko Memnonowy,
Ale każdy grób kochany,
Gra i milczy na przemiany.
Nie nawiąże on rozmowy,
Póki ziemia nas ogłusza.
Lecz gdy łzami spadnie rosa,
Gdy się w ciszę wsłucha dusza,
Pierś mogiły tęsknogłosa,
Powié ziemi: »Są niebiosa!«

Myśl po Nilu się spuściła
W pełne morze, i znów Siła,
Woła na mnie u Rodosu,
Patrzy górnie z ócz Kolosu.
Jego stopy śmiałym łukiem,
Przykowały brzeg do brzega.
Próżno morze z gniewnym hukiem,
U nóg jego się rozbiega.
Chociaż orkan wre najczarniéj,
Choć zasłoni gwiazd zegary,
Żeglarz płynie pełen wiary,
Zapatrzony w blask latarni,
Którą Kolos ponad tonią,
Niestrudzoną trzyma dłonią.

Tak i genjusz, kolos chwały,
Czas podepce, sięgnie wyżéj,

Dwóch przeciwnych wieków skały,
Jednym hardym krokiem zbliży,
I w orkanie, przez miganie
Swojéj gwiazdy tajemniczéj,
Nawie dziejów przewodniczy.

* *
*

Ale trwałość i potęga,
Wszech-piękności nie są szczytem.
Grek to pojął. Wnet zachwytem
Po myśl inną w niebo sięga.
I napotkał myśl wysoką:
Już ogromów nie chce sztuka;
Wypoczynku chciwe oko,
Łagodniejszych kształtów szuka;
Jednozgodność w dziele całém,
Będzie odtąd ideałem.

Nad Helladą jutrznia płynie,
Świat zapachniał tchnieniem wiosny.
W krąg bogowie i boginie,
Nawiązują pląs radosny.
Spowinięte w bluszcz świątynie,
Roztwierają dla nich progi.
W żywy kamień wchodzą bogi.
Wszystkie piękne jak pogoda.
Ale berło nad wszystkiemi,
Trzyma niebian para młoda:
Ach witajcie, arcytwory

Nie z téj ziemi, choć na ziemi,
Jak Platona pierwowzory!

Przez oliwne, święte gaje,
Patrz! Dziewice białe idą.
Każda zdala się wydaje
Stąpającą karjatydą.
Jedne niosą ponad głową,
Kosz okrągły pełen kwiatów,
Drugie urnę jaspisową,
Pełną drogich aromatów.

O wy, z pięknych greckich córek
Najpiękniejsze! Posły Flory!
Gdzież niesiecie te amfory?

»Gdzie? Czy widzisz ten pagórek,
»Od różowych laurów szumny,
»I przezrocze te kolumny?
»Tam jest ołtarz. Tam zasłona
»Była długo zapuszczona.
»Ale dzisiaj się rozdziera.
»Praxyteles rozkochany,
»Śmiał ją zedrzéć, i Wenera
»Z marmurowéj wyszła piany«.

Ledwie słodka woń ustaje
Po amforach i Cyprydzie,

Przez oliwne, święte gaje,
Znowu biały orszak idzie.
»Pean!« Z łonem rozśpiewaném,
Stąpa młodzian za młodzianem.
Lira świeci na chlamidzie,
Z czoła szemrzą listne wieńce.
Gdzież idziecie, o młodzieńce,
Z tym wawrzynem i Peanem?

»Gdzie? Czy widzisz tam na górze,
»Krągły ołtarz, co się bieli
»W promiennościach i lazurze?
»Długo ludzie iść nie śmieli
»Ku tajnikom owéj góry;
»Mrok owijał ją ponury.
»Ale dzisiaj noc rozpruta.
»Fidjasz wybiegł z ciemnych dolin,
»Rozdarł chmurę cięciem dłuta,
»I na słońcu zszedł Apolin«.

* *
*

Duszo, porzuć sen znikomy!
Już pogańska pierzcha złuda.
Idź na wzgórki nowéj Romy,
O prawdziwsze pytać cuda.

Rozświetlony wskróś błękitnie,
Wszech-ideał wstał nad światem.
W jego żarach, sztuka kwitnie

Złotokłośném dziejów latem,
Głaz wybujał. I znów Siła,
Ogromami mnie urzeka.
Lecz nie martwa to już bryła.
Tu z pod bryły, jak z pod wieka,
W gorejący słup wybucha,
Wyzwolona postać ducha.

Michał Anioł, olbrzym nowy,
Cudotwórną różczką wskrzesza
Skamieniały cień Mojżesza,
Wsłuchanego w głos Jehowy.

Jak na puszczy lud przechodni,
Drżał i nie śmiał wlepić oka
W tę straszliwą twarz Proroka,
Przerażony, aby od niéj
Bryzgające ogniem rózgi,
Nie rozniosły go na druzgi,
Tak my dzisiaj, ledwie śmiemy
Spojrzéć w obraz jego niemy,
I pytamy, czy z téj głowy,
Dotąd grozą nieruchoméj,
Nie wystrzelą nowe gromy?

Płonna trwoga! Wódz puszczowy,
Kamiennego mistrz zakonu,
I on zadrżał już w pokorze,
Gdy przed Wyższym, na Taborze,
Skroń pochylił do pokłonu.

Siła klękła ruchem cześci,
Nad gromami Krzyż migoce,
Z Krzyżem wyższe zeszły moce,
Moc Ofiary i Boleści.

W Naddunajskich murach grodu,
(Zkąd na czystą naszą chwałę,
Sobieskiego orły białe,
Odgromiły sępa Wschodu,)
Miękką rękę wzniósł Kanowa,
I grób strzelił piramidą.
Ze drzwi zieje noc kirowa,
Chwiejne płaczki jęcząc idą.
Zasunęły rąbki chmurne,
I puszczają łzy na urnę.

Stójcie! Komuż wy niesiecie
To wilgotne mogił kwiecie,
Te pochodnie przewrócone,
I strzaskaną tę koronę?

Nic nie mówią, lecz zasłonę
Łkającemi cisną usty.
Ach nie patrzcie w popiół szary,
Nie przebierzcie we łzach miary,
Jako ten co nie ma wiary!

Wszak widzicie? Grób nie pusty.
U drzwi jego, nakształt warty
Pilnującéj zmartwychwstania,
Na spokojnym lwie oparty,
Biały anioł skroń pokłania.
Twarz u niego jeszcze blada,
Lecz ją podniósł, lot rozpina,
I tym ruchem opowiada
Czém jest boleść chrześcjanina.
Ni jéj rozpacz nie przemaga,
Bo ją niesie lwia odwaga,
Ni jéj ziemia nie usidła,
Bo ma niebo i ma skrzydła.

* * *

Jak poety ręka skrząca
Mknie po lirze w ślad za słowem,
I przy każdém czuciu nowém,
Coraz inną strunę trąca,
Tak i rzeźbiarz, na oddanie
Stukształtnego myśli wzoru,
Sięgnie dłonią i dostanie
Sto żywiołów do wyboru.
Cała ziemia, nieprzerwanie
Sferycznemi brzmiąca wiry,
Gra mu w ręku nakształt liry.

Najprzejrzystsze swe marzenia,
Karraryjską mgłą przycienia.
Drugim, suknię zabarwioną
Tka w bazalty i porfiry.
Innym, ogień kładzie w łono,
I obtapia w okrąg ciała
Śpiż, co wiecznie na niém pała,
Jak opończa Dejaniry.

Od granitu do metalu,
Od onixu do koralu,
Od hebanu do kamei,
Co drogości jest na świecie,
Wszystkie snycerz kładł z kolei
Na wypukłéj swéj palecie.

Czasem zmiesza dwa kolory,
Dwa pierwiastki zaprzyjaźni,
Aby motyl różnowzory
Jego myśli, tém wyraźniéj
Z pod glinianéj wyszedł larwy.

Tak ów posąg Partenonu,
Dwoistego się pokłonu
Dopominał dwiema barwy.
Złote Pallas szaty miała,
Ze słoniowéj kości lica.
Blask słoneczny. Czystość biała.
I bogini, i dziewica.

Chcesz-że widziéć myśl rzeźbiarza,
W czystszy jeszcze strój odzianą,
Szukaj wyspy i ołtarza,
Gdzie najdalsze wschodzi rano.
Przez Indyjskie przepłyń wody,
W Cejlanowéj stań zatoce.
Brzeg perłami zamigoce;
Tam do ciemnej wejdź pagody.

Gmach odwieczną wieje ciszą,
Strop złotemi kapie grony,
Mdło pachnące lampy wiszą,
I coś błyszczy z pod zasłony.
Jak nurkuje blask miesiąca,
Pod jeziora szkłem ruchomém,
Jak brylantu pierś bijąca,
Tęcze pruszy każdym złomem,
Tak się iskrzy, jasno-łony,
Jasno-ręki, jasno-głowy,
Posąg Buddy, wyrzeźbiony
Z jednéj bryły kryształowéj.
Rzekłbyś, ludzka jego postać,
Zachwyceniem zprzezroczała,
Utraciła pomrok ciała.
Choć na ziemi musi zostać,
Pół-niebiańską już się stała.

* * *

Indje złote! Baśń prastara!
Dziwneż to jéj bożyszcz lice!
Tajemniczaż ta jéj wiara!

Sztuka lubi tajemnice.
Zawsze czujna i ciekawa,
Szuka w górze, szuka na dnie,
I rozdziera, i rozkrawa,
I podgląda, aż odgadnie.
A gdy zgadnąć już nie może,
»Co nie zgadnę, — woła — stworzę!«

I stworzyła dziwne dzieła,
Gdzie podwójnie się zamknęła,
Pod kamienia piersią gładką.
Próżno pukać niestrudzenie.
Sfinx rozważa zagadnienie,
A sam wieczną jest zagadką.

Duszo ludzka, sfinxie żywy!
Któż, o tajna, ciebie zgadnie?
Badająca wszystkie dziwy,
Tyś dziwniejsza jeszcze nad nie.
Czy w radości czy w rozpaczy,
Któż granice ci naznaczy?
Wolę twoją cóż pokona?
Niezgłębiona, niezmierzona,
Tak twa nicość jak twa chwała.

I w ciemności i w światłości,
Idziesz daléj niżbyś chciała.
Możesz w marnéj życia chwili,
Zdobyć wielkość niezrównaną.
Dosyć rzec: Tak wielcy byli,
Że posągi im stawiano.

1853.

GENJUSZ.

Mknie listek za listkiem, a wicher je zmąca.
Mknie chmura za chmurą, a burza w nich pała.
Mknie fala za falą, a każda łkająca.
Mknie dusza za duszą, a każda zbolała.

Kolosie wiekowy,
Co łzawe masz rysy,
U ramion kir wdowy,
U czoła cyprysy,
Ludzkości strudzona!
Śród wichru, śród burzy,
Dzień wstaje, dzień kona,
Tyś zawsze w podróży.

I skała za skałą wywija twą drogą,
I przepaść na przepaść wylewa potoki.
Ni wody ni skały cię wstrzymać nie mogą.
Ty dążysz i ufasz, a patrzysz w obłoki.

Co wieków też kilka,
Drży ziemi posada.

Grzmot, burza umilka.
Błysk, piorun wypada.
Po smudze z purpury,
Duch orli, w lot gońca,
Z rozdartéj zbiegł chmury:
To genjusz! Syn słońca!

Ty padasz radośnie w objęcia mocarza.
On szkarłat rozwija nad twoją żałobą,
Zamknięte ci bramy, ramieniem podważa,
I drogę nieznaną roztwiera przed tobą.

Lecz teraz nastaje,
Pytanie i trwoga,
Kto dzierży te kraje?
Gdzie wiedzie ta droga?
Czy w światła i raje,
Czy w noc i otchłanie?
Ach, teraz nastaje
Straszliwe pytanie!

Bo różnie on wodzi. Choć z nieba zesłany,
Dno piekieł go nieraz olśniewa swą łuną.
Nie zawsze on wraca pomiędzy niebiany,
A jeśli upadnie, miljony z nim runą.

Więc nie wierz bezkarnie
Ludzkości strudzona!
Gdy genjusz cię garnie

W miłosne ramiona,
Gdy żąda sojuszu,
I woła: »Tam droga!«
Ty pytaj genjuszu,
Czy idzie do Boga?

1853.

KAMIENIE.

I.

Dziejom świadczyć od rozwicia —
Trwać, gdy w koło świat się zmienia —
Nie znać śmierci, nie znać życia —
Oto dziwny los kamienia.

Gdy się naprzód, gwarną drogą,
Wszelka żywa rwie istota,
Stać i milczéć jak sierota —
Milczéć, może ciepiąc srogo,
(Z kimże kamień żal podzieli?)
Milczéć, może marząc błogo,
(Z kimże głaz się poweseli?)
O męczarnio nad męczarnie,
Któż cię pojmie i ogarnie?

Czy żyjący? Nie, on płonie.
Ran zamarłych co cię bolą,
Nie odczuje w ciepłém łonie,
Kto skrzydlaty wolną wolą.

Któż cię pojmie? Czy umarły?
Może... bo gdy jęk z Golgoty,
Wzbudził w ziemi dreszcz zgryzoty,
Groby same się rozwarły,
Jakby nawet martwa skała,
Głos umarłych zrozumiała.

Ale żywy, próżno puka,
Szkłem i ostrzem głazy śledzi.
Z ich zaklętych ust, Nauka
Nie usłyszy odpowiedzi.
Niewié nawet, czy te bryły
Żyły już? Czy będą żyły?

Jeśli prawdą, co mówicie
O mędrcowie, — jedno życie,
Stu szczeblami, jak drabina
Jakubowa się rozpina,
I za niebem goni.

Zrazu,
Śpi głęboko w łonie głazu —
W mdłéj roślinie tlejąc marzy —
Z oczu zwierząt iskry pruszy —
Aż u szczytu się rozżarzy,
W białą lampę ludzkiéj twarzy,
W złoty płomień ludzkiéj duszy.

Lecz niestety! Iluż ludzi,
Tę odwieczną kolej zmienia,
I u szczytu prób się budzi,
Z duszą twardszą od kamienia!

Może takim wracać trzeba?
Może głazem znów się staną,
By raz wtóry, aż do nieba
Snuć drabinę rozerwaną?

Tak pod martwych brył osłonę,
Dwie się różne kryją siły:
Jedne, jeszcze nie zbudzone,
Drugie, co się źle zbudziły.

* *
*

Ledwie wyrzekłam, ogarnia mię skrucha.
Przyrodo! Cofam potwarcze wyrazy.
Ty jesteś dziełem Najlepszego Ducha,
Miałżeby same wydziedziczyć głazy?

Nie! I w nich złożył dobroczynne moce.
Wszak w ich to państwie cudownie migoce
Ów kamień rajski, marzony, śpiewany,
(»Filozofalnym« go stare zwą xięgi,)
Co tknięty, wszystkie nadaje potęgi —
Zdobyty, równa człowieka z niebiany?

Droższy nad złoto, droższy nad brylanty,
On hasłem walki, celem prac i męki.
Na to się w Olimp wdzierały Giganty,
By z nieśmiertelnéj wychwycić go ręki.
Na to Hierofant bił Sfinxom pokłony,
By je wypytać o ten klejnot boży.
Na to Astrolog czuwał nieznużony,
By znać godzinę w któréj on się tworzy.
Na to Alchemik brał cążki ze stali,
By jego w tyglu odnaleźć pierwiastki.
Na to Wieszczowie po niebie latali,
By z najukrytszéj wyłamać go gwiazdki.

Wszystkich go wieków szukała nauka,
I jeszcze dzisiaj, ach któż go nie szuka?

To skarb, którego szczęśliwy posiadacz,
Już posiadł wszystko. To »kamień mądrości«,
»Kamień wszech-prawdy«.

I nietylko badacz
Wié gdzie on leży, lecz i ludzie prości,
(Jak wieść zapewnia,) wynaleść go mogą.
Ci nawet, krótszą trafiają doń drogą.

Nieraz podobno niewinne pacholę,
Nosi bezwiednie ten klejnot na czole.
Źli go nie widzą, (chociaż ich przenika
Jakiś niepokój,) lecz widzą cnotliwi,

I póki dziecię nie zgubi kamyka,
Jasnością czoła złych i dobrych dziwi.

Czasem, nić grubą ciągnąca z wrzeciona,
Chłopka go kryje za zgrzebłem koszuli,
I świat się ani domyśla, że ona,
W szaréj lepiance bogatsza od króli.

O, gdyby można jak małe to chłopię,
Znaleźć ów kamień i mieć z niego djadem!
Wszak szukać wolno? Tak! Pójdę ich śladem.
I ja się może tych skarbów dokopię.

Ale gdzież pójdę? Czy drogi nie zmylę?
Tyle dróg różnych! I rozdrożów tyle!

A gdyby spytać panów tajemnicy?
Owi Gwiaździarze, owi Alchemicy,
Wielcy więc dobrzy, nie odmówią rady.
Biorę ich xięgi. Ach... pismo zatarte!
W ciemnych zaklęciach, w pogmatwanym wątku,
Myśl się zagubia. Już ostatnią kartę
Czytam, i tyleż wiem co i z początku.
Źli przewodnicy! Arcymistrze zdrady!
Może i znali drogę tajemniczą,
Cóż kiedy sami zatarli jéj ślady?
Nie chcieli — skąpcy — dzielić się zdobyczą!

II.

Więc porzucam błędne koło,
Gdzie człowiecze myśli giną ,
I znużone skłaniam czoło,
Na Przyrody pierś matczyną.

Zaklnę Duchy i Genjusze
Które służą pod jéj władzą,
Tajemnicę z nich wymuszę,
Niech mi kamień ów oddadzą.

Ciebie wzywam, najsędziwszy
Ze skarbników matki-ziemi!
Ty, co wór jéj napełniwszy
Bogactwami królewskiemi,
Stawiasz z górskich krajobrazów,
Dom twéj grozy i przynęty —
Ciebie wzywam, Duchu głazów!
Stań, i pokaż skarb zaklęty.

* * *

Wysłuchał prośby. Straszne wysłuchanie!
Pękły jak wrota podziemne otchłanie.
Stoi przedemną... Podobny do szkicu
Mrocznéj, spiczastéj, niewyraźnéj skały.

Starość na czole — majestat na licu —
Płaszcz w ostre fałdy, po brzegach omszały,

Usta bezfałdne, jak trumienne wieko,
Zwarte na głucho. Tych ust ja się boję...

Pod brwią nawisłą, pod ciężką powieką,
Drga i lśni oczu przepaścistych dwoje,
W obwódkach czarnych jak zgasłe kratery;
Dwie iskry, martwe jak dwa solitery.

Wstęga siejąca Golkondowe blaski,
Mroźnym nimbusem skroń mu opierścienia.
Któż go nie pozna z tych ust i przepaski?
To Duch kamienia. To Geniusz milczenia.

III.

Stój! nie znikaj pyszny Duchu!
Jak pod wieczór, cień opoki,
Na przeciwnym gór łańcuchu
Płynie, cichy i wysoki,
Tak na marzeń mych obszarze,
Pierzcha postać zamierzchliwa.

Staje. Skinął. Czy mię wzywa?
Czy ów kamień mi pokaże?

Ach, za tobą pójdę wszędzie,
Żywy słupie wskazicielu!
Wszelka droga krótką będzie,
Jeśli Prawda jest u celu.

* * *

W drogę! Pieśń idzie, śledząc Przewodnika.
Topór fantazji przerzuca przez ramię,
Kaganek myśli nad czołem zatyka,
Ciemne rozświeca — niezłamane łamie —
I jak ów bożek o laseczce złotéj,
Co w kraj przepastny schodził z umarłemi,
Do nóg przypiąwszy skrzydełka tęsknoty,
Jaskółczym pędem upada w głąb' ziemi.

Widok przepyszny i straszny. Tu wrzała,
W czasach bez roku, walka bez nazwiska.
Jakby Tytanów ćwiertowane ciała,
Pną się i dławią zwalone skaliska.
Tu szkielet biały — tam trup jeszcze siwy.
Twarz wszędzie jedna: wszędzie twarz Meduzy.
Szczęście, że oczy już zgasły.

Tę gruzy
W okrąg zsypane, czy to rozwaliny
Gmachów bajecznych, pomnących wiek złoty,
Kędy nadludzkie mieszkały istoty?
Wyższe od ludzi? Czy gorsze od ludzi?

Echem bez końca skarżą się te mury.
Ach, nieśmiem stąpić... A jeśli też który
Z owych olbrzymów, na szmer się rozbudzi?
A jeśli ryknie? Lub ciśnie buławę?
Wszystko śpi. Szkoda. Wolałam obawę.

Mamże ci Starcze, uczynić wyznanie?
Ja głaz trąciłam! Ja miałam nadzieję,
Strach i nadzieję, że który z nich wstanie,
I przed-człowiecze opowie mi dzieje.
Śpią! pójdźmy daléj.

Jak dziwne filary!
Graniaste, kształtne, przycięte do miary.
To Bazalt, jeszcze żyjący na poły,
Tysiąco-letnie składając nacieki,
Ślimaczym ruchem, z cierpliwością pszczoły,
Jakieś potworne buduje pasieki.
Co wiek, pilaster złoży do pilastru,
I słup do słupa, i piętro na piętrze,
Aż lasem kolumn wyrurkuje wnętrze,
Jak oczkowanie miodowego plastru.

Nagle, pomiędzy skały siwobrode,
Padło, igrając i siejąc pogodę,
Coś dziewiczego: to blask Alabastru,
Co jak Niewinność, wstydliwa lecz pusta,
Pierś ma ze szronów, a cukrowe usta.

Poniżéj białych niewinności głazów,
Jak wąż pokusy pod serce wśliźnięty,
Serpentyn wije zielone rozkręty.
Żył może niegdyś, najwspanialszy z płazów?
Może ów pierwszy, co pomiędzy drzewy
Rajskiemi pełzał, uwodziciel Ewy?
Pod klątwą bożą zmartwiał skamieniały;
A gdy go pociął miecz Cherubinowy,
Po całym głobie rozpadł się w kawały,
Tylko już »startéj« brakuje mu głowy.

Ówdzie, słynące do gwiazd pogranicza,
Z twardości serca i dumy oblicza,
W ciemnéj purpurze tronują Porfiry.
Patrzą przez ramię na przybycie moje.
Gorszą się hardém wtargnięciem téj liry,
Co w ich cesarskie śmié dzwonić podwoje.

Łaskawszém czołem zwracają mię z drogi,
Łomy świeciste jak wiosenne chmury.
Tu nie Cezary już, ale pół-bogi,
Natchnienio-rodne mieszkają Marmury.

Tu wszystkie wieki z haraczem się garną,
Wszystkich tu krain dosłucham się mowy.

O... ten, Egipski, jak Ibis Nilowy,
Skrzydła ma rude, nakrapiane czarno.
Tamten, Kaspijski, sam falą się wyda,
Gdy skrzące muszle wachlarzem roztoczy.

A tam, w pustyni, ów żółty Numida,
Słońcem tak przesiąkł, że rozgrzewa oczy.

A Włoskie! Po co budować Muzea?
Rozsiać marmury, i gmach ukończony.
Z Florencji, świeży jak listek. Z Werony,
Krwawy i smutny jak serce Romea.
Te Karraryjskie, czy nie strusie puchy?
Tchnij, a ulecą, pół-głazy, pół-duchy.

A teraz, pokłon marmurom Orjentu!
Ach, co za dziwy! Kalifowe stroje!
Sułtańskie sady! Gwiazdy firmamentu!
Kręcą się dziane w kamieniu zawoje.
Ręka Hurysek dziergała te ściegi,
Gdzie arabeski wywijane w palmy,
Płyną jak szalu indyjskiego brzegi.

Siądźmy tu Starcze, i patrzmy, i chwalmy
Dzieło stworzenia, co umie być takiém
Jak baśń.

Ach! Starzec przyzywa mię znakiem,
Od gniewliwego wymowniejszym głosu.
Idźmy, — skończona dla oczów uciecha!

Lecz jakże minąć ten marmur Parosu,
Co w głębi usnął, i śpiąc się uśmiecha?
Jeszcze górniczy go nie zszedł zdobywca,
Jeszcze mu rzeźbiarz nie pukał do łona,

A już oddycha torsem Endymjona.
Śni mu się Djanna! Nie budźmy szczęśliwca.

Te są, martwego królestwa mocarze.
Do koła, przysiadł i gmin wielogłowy.
Tu mętne Kwarce, tam zlepek Ciosowy.
Powszednie szaty — niewyraźne twarze.

Ich żywot, pełen nieznanego trudu.
Tarte, deptane, tłuczone w okruchy,
Toczą po globie swój ocean suchy,
Na pozór martwy. Podobne do ludu.
Jak on cierpliwe, i jak on — straszliwe.
Niech raz huragan da im stopę lotną,
I na wiatr puści piaszczystą ich grzywę,
A w pustkę zmienią najzieleńszą niwę,
Żwirem królewskie piramidy potną.

Krzemień im wodzem, — lecz tylko w odporze.
Pod szarą świtą, bohaterska dusza.
Niewyzywany, przez wiek milczeć może.
Dźgnięty żelazem, sycząc się obrusza,
I ogień miota piersią Tyrteusza.

. . . .

Starcze, na pomoc! Źle się dzieje ze mną...
Czyliż nie widzisz? Płomyk méj latarni,
Chwieje się... gaśnie... A tam coraz czarniéj —
Tam wieczna ciemność!

Nie! I tu nie ciemno.
Przez litościwą zawieszone wróżkę,
Samoświecące Bonońskie kamienie,
Jak lampy grobów tleją nieskończenie,
I zrzadka, mroczną rozwidniają dróżkę.

Pod ich światełkiem, jawią się i giną
Dziwne obrazy!

O tu... za szczeliną...
Co tak migoce i blaskami zérka,
Jakby kto kręcił pocięte lusterka?
Czy wiatr ciekawy, do ziemi rozprutéj
Wpadł, i Ondynom zamroził fontannę?
Czy to są szczątki zastygniętéj huty,
Gdzie Gnom wydmuchał bawidełka szklanne?

Ni szkło, ni woda. To prześliczna Mika,
Swoje skrzelowe tafelki odmyka.

Żeglarz ją wprawia w otwory kajuty.
Spęka się kryształ falami przekłuty,
Ona nie pęknie; sprężyste jej denko,
Jak mur odpycha szturmujące głębie.
— Z niéj może Noe miał w arce okienko,
Gdzie wylęknione gruchały gołębie?

A tu, co szemrze? W sto kiści rozplecion,
Amjant się snuje z niewidzialnych wrzecion.

Godło sumienia: plam na jego włóknie,
Woda nie zetrze, a płomień je ściera.

Skarb wieczny: z niego nieśmiertelną suknię,
Greczynka tkała dla zwłok bohatera.
Z niego Laponka, wyostrzonym końcem
Ościenia, dzierga te knoty bez ceny,
Przy których dziatwa i pół-senne reny,
Będą pół roku czekały za słońcem.

Niedość że dłonie śmiertelne go przędły,
Pono i Parka na kądziel go mota.
Niepróżno mota! Z jéj ręki uwiędłéj,
Kamieniem idzie nasza nić żywota.

A tam? Kto zwalił toczone te płyty?
Są-że to gruzy świątyni rozbitéj?
Nie, tu kostnica starych dni się ściele,
Tu krętorogie leżą Ammonity,
Niby Jońskich kolumn kapitele.
Gdzie spojrzę, widzę wytłoczone wzory
Nieznanych istot: paprociowe bory,
Skrzydlate smoki. Rozszalałe życie.
Z gruba ciosane stworzenia początki.
Wszystkie już znikły, ale ich odbicie,
Najwyższy Mincerz wyrznął dla pamiątki,
Ażeby ludzie, z kamiennych medali,
Całą myśl Jego kiedyś odczytali.

Schodzę. Im głębiéj, tém rządsze wyciski.
Obraz szarzeje — coraz pustsza droga —
Skały się chmurzą, i złemi połyski
Zézują ku nam. Straszliwa przestroga!
Stańmy! Gdzie dotknę, już nic tylko ściany
Chropawe, głuche, bez barw ni odmiany,
Jak zasklepienie olbrzymiego grobu.
Przebóg! To Granit! Podwalina globu.
Granica życia. Świat zamurowany.

IV.

Nie, już daléj nie pójdziemy.
I tu zostać? Żywcem w grobie?
Sam-że powiedz, Starcze niemy,
Czyż mam jeszcze ufać tobie?

Już obeszłam wszystkie skały,
Gdzież ów kamień tajemniczy?
Wracaj ze mną pod dzień biały,
Lub doprowadź do zdobyczy.

Duch mi rzucił wzrok zachęty,
Jakby dziecku co się żali.
Ruchem dłoni rozwiniętéj,
Musnął głaz, i wskazał: »Daléj!«

* *
*

Granit, pod jedném dotknięciem téj ręki,
Z wrzeciądzowemi roztworzył się dźwięki.
Ach, co za jasność! Co za świat przezroczy!
Patrzę, wpół ślepnę, — zasłoniłam oczy.

Mnie się wydało że wszystkie Najady,
U czoła trawy nawieszawszy bladéj,
Bijąc wę- wstęgi rozwichrzonéj szaty,
Oceanową przechyliły urnę,
A to nie fale, to Kryształy górne,
U stóp mych pękły w migotne pryzmaty.

Pękanie ciche, — my jednak słuchamy.
Tu się milczenie barwami rozdźwięcza;
Gra świateł idzie w oktawy i gammy;
Kryształ narzędziem, a muzyką tęcza.

Nie spiesz, o Duchu! Niech oczy napieszczę
Stu-farbną pieśnią. I czy tylko farby
Grają w krysztale? Ach nie, ja tam jeszcze
Inne odkrywam, zatopione skarby.

W téj oto bryle majaczy »Obłoczek«,
Łzawy, jak białko niemowlęcych oczek.

W tamtéj, drżą pęki czesanych promieni,
Mdłe jak te nitki co krążą w jesieni,
Światłe jak bisior, cieniuchne jak włoski.
»Czyjeż to włosy?« Pytali uczeni.
»Chyba nie z ludzkiéj są głowy, lecz boskiéj?«

Bywa, że starzec, w samotnéj godzinie,
Gdy pukiel zmarłéj kochanki rozwinie,
Dawnym rumieńcem i spojrzeniem strzeli.
Tak przy tych puklach, mędrcy odmłodnieli,
Myślą wróciwszy w Olimpijskie sfery,
Rzekli z uśmiechem: »To Włosy Wenery!«

Może, gdy warkocz rozplotła w kąpieli,
Skradł je Kupido igrający przy niéj?
Rad, że z nich sobie cięciwę uczyni,
Pod skałą morską, na wszelkie przygody,
Składał ich zapas. — Lecz zazdrosne wody
Skrzepły, i wejście zaparły w jaskini.
Spłynęły wieki, zginęły narody,
Znikły i bóstwa Helleńskiéj świątyni,
Tylko się został na łonie przyrody,
Szklanny medaljon z włosami bogini.

Gdzie mnie wprowadzasz? Światła i kolory,
Tężeją w ściany, wyskakują w łuki.
Czyżby tu Genjusz budowniczéj sztuki,
Stawił dla ludzi boskie pierwowzory?

Filarki w giętkie porozszczepiał żebra,
Ganki w cudowne obdziergał koronki.
Gmach źwierciadlany! Stu-słupne przysionki!
Palmiry z lodu! Alhambry ze srebra!

Tak, równy gwiazdom co świecą z błękitów,
Świeci pod ziemią Pałac Stalaktytów.

Tu w pocałunkach pukającéj kropli,
Podziwiam tryumf cierpliwości świętéj.
Czasem dwoisty: do nawisłych sopli,
Pną się i z ziemi kiełkujące pręty.
Jakby dwóch lilji odwrócone lejki,
Rosną ku sobie w tęsknocie dalekiéj,
Aż Nimfa jaskiń, wstęgą czarodziejki,
W białym uścisku je zwiąże na wieki,
I tylko lekka zaklęsłość obwodu,
Zdradza, że były rozdarte za młodu.

Tak Miłość, nieraz przyciąga przez lata,
Dwa serca wyszłe z dwóch biegunów świata,
Różne od siebie jak niebo od ziemi.
Twardą niedolą, łzami kamiennemi,
Zwolna je zbliża, — jedno z nich przychyla,
Drugie podnosi, — aż nadejdzie chwila,
Gdy łzę ostatnią uronią oboje,
I w jednolitą kolumnę miłosną,
Czuciem i myślą tak mocno się zrosną,
Że już nie wiedzą, co »moje«, co »twoje«?

Ciągniona równym krokiem Przewodnika,
Próżno przystawam i odwracam głowę.
Dróżka się wyżéj a wyżéj pomyka,
W dole zostały gmachy kryształowe.

Czasem najwyższą zaiskrzą się igłą.
Zmierzch im narzuca przejrzystą poświatę
Zimowéj nocy, — i wszystko zastygło,
Jak wielkie, ciche, morze lodowate.

V.

Dość téj zimy. Ciepła! Wiosny!
Wzrok się trudzi, dusza trudzi.
Przewodniku bezlitosny,
Wróćmy lepiéj między ludzi.

Po co wodzić na tumany?
Już mię zmroził świat kryształu.
Nie tu leży mój szukany,
Święty kamień ideału.

W obietnice już nie wierzę,
Płonną dałeś mi nadzieję.
Ach ten kamień. — wyznaj szczerze —
»Kamień prawdy« nie istnieje!

Groźną ku mnie zwrócił głowę —
Spojrzał... w oczach gniew się pali —
Podniósł ramię opokowe,
I pokazał: »Jeszcze daléj!«

* * *

Nagle, z białości zamarzłego morza,
Tysiączno-farbna wynurza się łuna,
Jakby pod ziemią zaigrała zorza,
Od północnego bijąca bieguna.

Jakież to miasto i pożar na głębi?
Niewidny płomień, a wszystko tam gore.
Po ślizkich dachach wąż iskier się kłębi —
Łyskanie pada za szyby stuwzore —
Fossa wyrzuca fosforyczną pianę —
Pełgają blanki siarczystego muru —
Przez każdą basztę i przez każdą ścianę,
Płyną strumienie różu i lazuru —
A wszystko nieme i zaczarowane,
Za wiotką kratą promiennych uplotów,
Światłem się trzęsie, w kolory się mieni,
Jak sen.

Poznaję: oto »Gród Klejnotów«,
Oto stolica w królestwie kamieni.

. . . .

Są i przedmieścia. Tu siedzą przybysze,
Co prawom wierni, na trudy wytrwali,
Obywatelstwo z rąk czasu dostali.

Oto kolonja przemyślnych Korali,
W koło stolicy krąg ogromny pisze,
I jakby szaniec ją bierze w obronę.

Niegdyś żyjące, dzisiaj skamieniałe,
Pokoleniami bez liczby spiętrzone,
Już w niespożytą zmieniły się skałę.

Ród zacny. Wielki przyjaciel człowieka,
Zwłaszcza dzieweczek. Na schludną ich szyję,
Chętnie się nitką przyjaźni nawleka,
W tańcu raźnemi grzechotkami bije,
I zdrowo kwitnie jak panieńska cera.
Lecz nienoszony, blednie i zamiera,
Jakby wyznawał, że mu na odżycie,
Potrzebne serca człowieczego bicie.

W sąsiedztwie, żółte roztrzęsły się bryły.
Skra elektryczna po żyłach im płynie.
I ja zadrgnęłam. O jakżeś tu miły
Dla tęsknych oczu, mój polski Bursztynie!

W mumjowéj przędzy twoich powijaków,
Czasem się senny motylek zakopie.
Lub mech cię potnie sylwetkami krzaków.
Na twych pieczęci woskowym ukropie,
Tysiąc się dziwnych odcisnęło znaków.
Lud z nich odczytał, że to są »Łzy ptaków«.

Zkąd im ta boleść? Ach, może w potopie,
Kiedy postrzegły, znużone już lotem,
Że ich i skrzydła od zguby nie bronią,

Złotemi łzami płakały nad tonią,
I łzy niewinne zostały klejnotem.

. . . .

Otóż i mury stołeczne. U bramy,
Jest Argusowa straż: to Kocie Oczy,
Śledzą nas białkiem latającéj plamy.
Precz, zły uroku!

Już wrota mijamy.
Cicho. Mieszkańce, o twarzy przezroczéj,
W bogatéj szacie, w opoczystym domu
Siedzą, i wiodą złoty wiek swobody.
Ach, już tu chyba nieznane uikomu,
Ni żądło troski, ni żagiew niezgody.

Jeżeli kiedy człowiek się tu włamie,
Będzie to smutek pierwszy i jedyny.
Straż Argusową zdwajajcie przy bramie,
Szczęsne dziedzice zaklętéj krainy!

Co słyszę? Hufce zatętniły zbrojne...
Więc się myliłam? I wy znacie wojnę?

Przodem, na rogach grają Kornaliny,
Spiekłe trębacze o brwi marsowatéj.

W ich ślad, ścisłemi pułkami chodzące,
Czerwonych lontów zatliwszy tysiące,
Rotowym ogniem strzelają Granaty.

Czasem, zaryta wśród gruzów i mułu,
Pęknie jak bomba światłość Karbunkułu.

Ostatni, Krwawnik, weteran stargany,
Źle zabliźnione pokazuje rany.

Nikną. Przygłuchły wojownicze chrzęsty.
Krąży tłum cichszy, jak w kanaku gęsty.

Zżółkłą, znoszoną powłóczący togę,
Jakiż to starzec zachodzi nam drogę?
To Hjacynt, lekarz niegdyś zawołany.
Słynął przed wieki łaskawemi cudy,
Czciły go Indy, czciły Egipcjany,
Dziś o nim płoche zapomniały ludy.
A żal! On umié, obwiązką z purpury
Wywabiać jady, przytępiać żelaza.
Przed nim pioruny wracają do chmury,
I czarno-skrzydła ucieka zaraza.

Daléj, Beryle wysmukłéj urody,
Jakby Kanefor rzęd wyprostowany,
Przenoszą szkliste, długoszyjne dzbany,
Po brzeg od morskiéj mieniące się wody.

Opodal, skała niezwykłéj budowy,
Zgina pieczary sklepione jak cele.
Pod każdą sztukmistrz Lapis-lazurowy,
Godne serafów tworzący missele,
Marzy o gwiazdach w kamiennym eremie,
I na paginie gorąco-niebieskiéj,
Złotym pędzelkiem wywijając kréski,
Spisuje modły szeptane przez ziemię.

Tuż przy klasztorku, i ogród rozwity,
Wiosen tysiące już trwa: Malakity,
Wiecznie zieloném kiełkujące ziarnem,
Związują słoje, gałęzie i kory,
Balsamowane ostatki téj flory,
Co niegdyś kwitła pod niebem polarném.

A ta wieżyczka? To słup Chryzolitu.
W ostrą, twierdzową narzynany ściankę,
Łuszczy się daszkiem złupanego szczytu.
Wewnątrz, rozpięto zieloną firankę,
Ale i przez nią, coś niepochwycenie,
Lśni się i rusza. Może to więzienie,
Gdzie Chochlik zamknął zazdrośnie kochankę,
Tę gwiazdkę, wiecznie szukającą świtu,
Którą pochwycił na pajęczą tkankę,
Kiedy wietrznica spadała z błękitu?

Poniżéj, w cieniu więziennych podwalin,
Jak szpieg-dozorca przystanął Turmalin.

Płaszcz na nim czarny o tłach z axamitu,
Ale się strzeżmy tych zdradnych jedwabi,
To kamień fałszu. Magnetyczna siła,
W zimne mu piersi dwa prądy puściła;
Dotknięty, razem odpycha i wabi.

Ówdzie, malarską spostrzegam pracownię.
Wiszą po ścianach Agaty wzorzyste;
Na nich, oddane przez miniaturzystę
Bezimiennego, snują się cudownie,
Jakieś mirażom kradzione oazy,
I nikłe rzędy bajecznych rozwalin.
U brzegów, żywsze porozrzucał skazy,
Niby obwódkę z różyczek i malin.

Obok, postawił modrawe Jaspisy.
Na nich, jesienne za mgłą krajobrazy,
Xiężycowemi naszkicował rysy.
Plączą się gaje otręsione z liści;
A takie wiotkie te drzewa i ziółka,
Że by ich musnąć nie śmiała jaskółka;
Siądą tam chyba Sylfowie przejrzyści.

Jakież to echo przeniknęło ciszę?
Mogłabym przysiądz i na wody Styxu,
Że odgłos dłuta Helleńskiego słyszę,
A to się tylko w kuźnicach Onixu,
Dwubarwne warstwy nitują z kolei.
Krwista pod spodem wre. Po wierzchu biała,

Z pierwszéj ssie ciepło i drga tętnem ciała,
Jakby u żywych rąk się dopraszała,
By w niéj wycięły boską pierś kamei.

Lecz któż was, cenne policzy kamienie?
Za wielki natłok. Już niepostrzeżenie
Nuży się oko spragnione wyboru.
Spiesz Przewodniku! Już czas nam do Dworu.

. . . .

Nad miastem, Zamek widnieje, świetlany,
Jak zachód słońca, gdy ognie pochowa
Za gockich różyc farbne filigrany.
Otóż i przedsień, i sala tronowa.

Ach, tu już orléj mi trzeba źrenicy.
Tu wszechbarwnemi przepychami świetni,
W kurulnych krzesłach siedzą dostojnicy,
Senat klejnotów — sejm tysiączno-letni.

Przez krasomówną migotań zamianę,
Radzą nad mądrą kryształów ustawą,
Sprawdzają liczby w przyrodzie spisane,
I coraz nowe odnajdują prawo.

Ametyst przywdział biskupie fiolety.
Kapłan klejnotów, na poły w żałobie,
Spojrzeniem ziemskie umarza podniety.
Niechże więc wszędzie towarzyszy tobie;

Czy siadasz w kole ucztujących gości,
Czy puszczasz bańki czarodziejskich rojeń,
Noś go na palcu. To »kamień trzeźwości«:
Głowę i serce broni od upojeń.

Goreje Topaz, którego początek
Czytamy w xiędze magicznyeh pamiątek.
Salomon dumał; dwa klucze miał w ręku.
Królowéj Saby chciał dać upominek.
Zajrzał do skarbca, do cedrowych skrzynek,
I nic nie znalazł godnego jéj wdzięku.
Ale się stanie cokolwiek on każe,
Bo król ów rządzi duchami licznemi.
Dziś im powiedział: »Połączcie w tym darze,
Co jest najmilszém na niebie i ziemi.«
Geniuszek, twardym zmuszony rozkazem,
Wziął promyk słońca od czystéj pogody,
Kropelkę z winnéj utoczył jagody,
Na sercu króla położył je razem,
A tam zawrzały, i błysły — topazem.

Szmaragdzie! Rajską witaj mi rozkoszą!
Twe blaski grają na wiosenną nutę,
Czyśćcowe dusze nad czołem cię noszą,
I bramy nieba są z ciebie wykute.
Wąż — wedle wieści — kiedy cię zobaczy,
Rażony blaskiem, ślepnie i drętwieje.
Tak serce, w grzesznéj zwinięte rozpaczy,
Niéma już oczu by dojrzéć nadzieję.

Pozdrawiam ciebie, ty różo, z ogrodu
Klejnotowego, miłosny Rubinie!
Chociaż pierś twoja przejrzystsza od lodu,
Krew nieśmiertelnéj młodości w niéj płynie.
Gdyby dać wiarę opowieściom Wschodu,
Wzięty w obrączkę, i na lewém ręku
Wiernie noszony, twój kryształ, przymnaża
Mężowi mocy, a kobiecie wdzięku,
I do ślubnego ich wiedzie ołtarza.

Wrzyna się w pamięć twarzą lapidarną,
Turkus, czarodziej, mistrz i dobroczyńca.
Błagalne tłumy do niego się garną;
Turkus, nikomu nie skąpi gościńca.
Ubogim, losy przynosi łaskawsze,
Ręce przyjaciół związuje na zawsze,
Odwraca wpływy szkodliwéj planety,
Sprowadza pokój wieczyście żądany,
Od wszelkiéj troski daje amulety,
Na wszelkie szczęście daje talizmany.

Przecież jest jedno pod słońcem uczucie,
Które go jątrzy, to miłość szczęśliwa.
Jest jedna wada, co jakby zatrucie,
Zakątki serca pleśnią mu pokrywa,
To zemsta, — skryta, zawzięta, zgryźliwa.
Ach, jak się dziwić? On, co dobrą wiarą
Żyje, co »stałość« wziął sobie za godło,
Padł, niestałości serdecznéj ofiarą.

A to nieszczęście tak pierś mu przebodło,
Że jeszcze dzisiaj żółcią zielenieje,
Gdy pomni dawne (choć tak dawne!) dzieje.

Było to wcześnie, w najpierwszym dniu świata,
O samym świcie, gdy rosa przelata.
Kamyk, dopatrzył kropelkę tej rosy,
Odbijającą przejrzyste niebiosy,
Wziął ją w prostocie za turkus przezroczy —
Ona go wzięła za rosę podziemną —
Szczero-niebieskie spotkały się oczy,
I wierność sobie przysięgli wzajemną.

Snuł się ten związek, niewinnie i rzewnie
Przez trzy godziny, przez całe zaranie,
I dziś by jeszcze dosnuwał się pewnie,
Gdyby nie słońce. Któż wiedział że wstanie?

Wyszło z pod ziemi, wielkie, tajemnicze.
Turkus na jego nie spojrzał oblicze,
Widział je tylko w swéj kropli. Lecz ona,
Uczuła ciepły wzrok uwodziciela.
Już ją gorącym rumieńcem przestrzela,
Już do złotego przyciąga ją łona.
Kropla się jeszcze waha roztrzęsiona...
W końcu o wszystkiém zapomniawszy, cała
W jego płomiennném objęciu ztopniała.

Turkus już nigdy nie kochał raz drugi,
Ani łzy w suchém nie pokazał oku.

Ale już odtąd, nie znosi widoku
Dwojga serc czułych, i biorąc w usługi
Moc czarnoxiężką, na przyszłych małżonkach,
Mści się za przeszłość. Niech go narzeczeni,
W zaręczynowych nie noszą pierścionkach,
Bo wnet ich serce złośliwie odmieni,
Szczęście się dla nich jak rosa ulotni,
I jakby kamień zostaną samotni.

Szafir! Któż jego wejrzenie opisze?
Jak anioł, sieje beznamiętną ciszę,
Z któréj pogoda uśmiecha się boska.
Krąży też w Azji, (gdzieś pod Himalajem,
Kolebką ludów,) odwieczna pogłoska,
Że gdy pó grzechu, z tęsknoty za rajem,
Pierwszy poeta zaśpiewał na ziemi,
Anieli, chcący dosłyszeć go z dali,
W okienku nieba szybę wyłamali,
Szczątki jéj spadły szkiełkami modremi,
I w szafirowém dziś jeszcze przezroczu,
Światłość anielskich przechowały oczu.

Inaczéj grają źrenice Opalu.
Gdy córka Ewy obejrzy się na nie,
To wzrokiem lubym, lecz i pełnym żalu.
Nie śmié go nosić. Trwoży ją podanie,
Że jeśli opal przyciśnie do łona,
Już jéj szczęśliwość na zawsze stracona.

Dawna to powieść, starsza od potopu —
Słodka i smutna jak woń heliotropu —
Z tych dni, gdy w ludzkich kochali się córach,
Synowie boży, niebiańskiéj postaci,
Orlo-patrzący, łabędzio-skrzydlaci.
Skrzydła to były cudowne, o piórach
Niepokalanych jak śniegi na górach,
Wiotkich jak senne dróg mlecznych obręcze.
A w téj białości przełyskały tęcze,
Od których postać mieniła się cała.

I takie skrzydła miłość połamała!

Noc była ciepła, zawrotnie pachnąca,
Gdy szli po skośnym promieniu miesiąca.
Przyklękli, usta różowe jak ranek,
Płomiennie zwarli z ustami ziemianek,
A w téjże chwili, — ach tak, w téjże saméj!
Skrzydła im prysły na drobne rozłamy,
I już namiętnym »opalone« żarem,
W tęczowo-mleczne żuzle się zeszkliły.

Odtąd w opalu majaczą złe siły.
Wabiąc pół-ziemskim, pół-niebiańskim czarem,
Stwierdzają wzbronne dwóch światów zamęście,
I córom Ewy przynoszą nieszczęście.

A teraz wszystkie ustąpcie klejnoty,
Niech się waszemu królowi pokłonię.

Czystością prawdy, szlachetnością cnoty,
Brylant jaśnieje na słonecznym tronie.
Stal go nie złamie, ni czas go nie znęka.
W nim i wróżebna ukrywa się władza.
Jeżeli niegdyś, przyjacielska ręka
Dała ci brylant, a dzisiaj cię zdradza,
Choć jesteś własnéj nieświadom obrazy,
On ją przeczuje, i cichemi skazy,
Jak żywe serce od żalu się spęka.

Przy nim, z morskiego wyrwana odmętu,
Bieleje Perła, małżonka djamentu.
Król ją przed wieki, ku głazów podziwie,
Wybrał z innego królestwa przyrody.
W samotnéj muszli zamkniętą wstydliwie,
Dojrzał, pokochał pustelnicę wody —
I perła, strojna w biel gronostajową,
Choć rodu swego nie wiedzie z kamieni,
Choć jeszcze cała od wstydu się mieni,
W państwie klejnotów została królową.

VI.

Serce moje! Żadneż pęta,
Piór tęsknoty ci nie utną?
Taka świetność tu zaklęta!
Skarbów tyle! Tobie smutno?

Jak wysoki gród u brzega,
Pod widnokrąg schyla głowę,
Gdy go chyża łódź odbiega —
Tak i miasto klejnotowe,
Mierzchnie sennóm falowaniem,
Znika z oczu i z pamięci.
Nie obejrzę ja się za niém,
Już ta złuda mię nie nęci.

Duchu! Po co szukać dłużéj?
Dosyć błysków i omamień.
Gdzież najdroższy cel podróży?
Gdzie »filozofalny« kamień?
Duch uśmiechnął się tajemnie,
We mgle stanął nad otchłanią,
I pokazał: »Daléj! Za nią!«

Jeszcze daléj? Nie szydź ze mnie.
Jakże pchniemy pochód gończy?
Starcze, błądzisz. Wzrok cię myli.
Myśmy ziemię wskróś przeszyli,
Tu już próżnia. Świat się kończy.

* *
*

Nieba, ratujcie! Globowe posady
Łamią się... w ciemną spadają głębinę...
Za dłoń mię chwyta Przewodnik mój blady.
Miałażbym skrzydła? Ulatam? Czy płynę?

W koło, wirują bezbrzeżne pokłady.
Lecz już nie kruszce to są, ni granity.
Pędem zwycięzkim wkraczamy po łupy,
W świat jakiś inny, zmysłom niezdobyty,
Stokroć bogatszy od ziemskiej skorupy.
To świat duchowy.

Budzę się zdziwiona.
Lekko mi nagle, jak temu co skona.
I oto bielmo z ócz moich opadło:
Cała ta ziemia, ta mnogość jej tworów,
Toż nic nie było, tylko czcze widziadło!
A ja niebaczna, w tym świecie pozorów,
Szukałam prawdy!

Jakże się rumienię!
Mogłażem sądzić, (o szczycie omyłki!)
By ten cudowny kamień nad kamienie,
Między marnemi ukrywał się pyłki?

On tu być musi.

Lecz gdzie? Znów zagadka!

. . . .

Znów szukać? Starcze, biorę cię za świadka,
Czy tu nie próżne już ludzkie wysiłki?
Po tysiąc razy, i po miljon razy,
Trudniéj przeliczyć duchowe okazy,
Niż skarby jednéj planetarnéj bryłki.

Tutaj widomie chociaż niewidzialnie,
Stoją bez granic i bez dna kopalnie,
Gdzie wszelka dusza składa swe roboty,
Marmury chwały, i krzemienie woli —
Tutaj poezja, w napierśnik swój złoty,
Wprawia lazury niebieskiéj tęsknoty —
Myśli błyskocą ziarenkami soli —
Kryształem kapią wszystkie łzy niedoli —
I wszystkich uczuć pałają klejnoty.

Stań Przewodniku! Żal mijać je zdala;
Tylko się schylić i brać pełną dłonią.
Lecz on, ni odbiedz ni stać nie pozwala,
Pędzi. Ja mdleję, znużona pogonią...
I znów podlatam, i biję się z męką.

Aż zwolnił biegu. Czy i on się nuży?
Nie, — tu już stanął, i wskazał mi ręką:
»Patrz! Oto jesteś u celu podróży.«
Patrzę: przed nami wyrasta opoka,
Szersza niż drogi stu słońc, tak szeroka,
Że okrąg świata podstawę jéj tworzy.
Na niéj, świątynia bez miar, tak wysoka,
Że sięga w blaskach wiekuistéj zorzy,
Aż do cherubów niosących tron boży.

Przewodnik dumną pochylił tu głowę.
Co się z nim dzieje? Te stopy głazowe,
Coraz olbrzyma podtrzymują słabiéj.

Zachwiał się... kłoni... i jakby złamana
Wichrem kolumna, runął na kolana.

Czém go ta skalna rozpadlina wabi,
Że się w jej wnętrze zapatrzył bez ruchu?
Podnosi oczy we łzach złagodniałe,
Wzywa mię ręką, wskazuje mi skałę.

Klękam. Spostrzegam!... Ach dzięki ci Duchu!
Tu kres pielgrzymce, i kres żądzy mojéj.
»Kamień wszech-prawdy« przedemną migoce.
Widzę go! Tykam! On leży w opoce,
Na któréj Kościół Chrystusowy stoi.

1853.

ODA DO SŁOWA.

Jakaż to siła cherubinowa,
Z ust się wydziera i w łonie pała?
Słowem wygłaszać potęgę słowa,
Podwójna dla pieśni chwała!

Myśl się rozbija w piersiach zamknięta,
Drży za jawności słońcem duchowém.
Brzękło okucie — zerwała pęta —
I brzęk ten w świat poszedł, słowem.

Co widzę? Przepaść... Noc chaosową,
W mętnych pierwiastków grze rozszalałą...
Popłoch... wir... nicość... — Aż padło słowo:
»Stań się!« I światło się stało.

W nieświadomości, jak śród chaosu,
Bezsilne dusze błądzą i gasną.
Mędrzec, to echo boskiego głosu,
Rzekł słowo, i w duszach jasno.

Płaczą cierpiący, drżą pokutnicy,
Już chcą pogrzebać nadzieję zmarłą.
Słowo, klucz Piotra, z nad kazalnicy
Błysło, i niebo rozwarło.

Sędziowie, w ciemną sprawę wpatrzeni,
Chwieją się. Cisza. Weszły Obrońce.
Ciskają słowa nakształt promieni,
I prawda wschodzi jak słońce.

Sejmują ludy. Wrzawa na ziemi,
Jakby od waśni ptasiego stada.
Mówca się orłem zerwał nad niemi,
I słowo władcami włada.

Wieszcz jest świątynią. On serce swoje,
W Panteonowe przemienił progi.
Otworzył usta niby podwoje,
Słowa z nich wyszły — jak bogi.

Jakto, jak bogi? Tak, bo wszechwładne —
Rozkazujące — wykonywane.
Każą się korzyć? Czołem w proch padnę,
Ufać? Jak Tytan powstanę.

Słowo, jak nowa laska Mojżesza,
Z kamiennych piersi zdrój łez wydziera.
Na chmurnych licach uśmiech rozwiesza.
Hartuje broń bohatera.

Tryumfie słowa! Gromady ludów
Idą za tobą jak jeńcy ducha.
Wyższy tryumfie! O cudzie cudów!
Sam Bóg cię słyszy — i słucha.

Grzesznik nie zniża hardego czoła;
Pan rękę podniósł, grom w niéj się płoni.
»Kyrie eleison!« grzesznik zawoła,
Grom gaśnie w ojcowskiéj dłoni.

Czémże, bez dźwięku co myśl obleka,
Byłaby ziemia? Czém... odgadniemy
Z pół-martwych rysów tego człowieka:
Jakiż on smutny! On niemy.

Były stulecia, gdy brana w pęta,
Myśl bez wyrazu, jak duch bez ciała,
Mędrcom straszliwa, tłumom odjęta,
W świątyniach kryć się musiała.

Aż gromadzona z wiekami siła,
Niby Agawa pękła z wystrzałem.
Epoka myśli kwiatem strzeliła,
I słowo stało się ciałem.

Odtąd, w rozpędzie gwarnych stuleci,
Epoka słowa gra pieśnią inną:
Już myśl grzmotami po globie leci,
I głosi co »być powinno«.

Cóż, kiedy słowa jako wiatr wieją,
A życie ludzkie kłóci się z niemi?
Epoko czynu, wielka nadziejo!
Kiedyż zaświtasz dla ziemi?

Gdy zapanuje sercu i głowie
Sumienie, prawdą bijące z łona,
Człowiek, co tylko pomyśli, powié —
Co tylko powié, wykona.

1854.

RZECZYWISTOŚĆ I WYOBRAŹNIA.

Jest puszcza. Straszna, niezgłębiona, dzika.
Synowie czasu »Życiem« ją nazwali.
W puszczy się rydwan olbrzymi przemyka,
Cały ukuty z kamienia i stali.

Śmiertelni, tłumem do wozu wprzężeni,
Ciągną go z jękiem i brzęczeniem oków.
Usta ich szemrzą jak tysiąc strumieni,
Pochód ich szumi jak tysiąc potoków.
Dzień i noc twardą popędzani drogą,
Nigdy, przenigdy wrócić się nie mogą,
Bo na rydwanie, z ponurém obliczem,
Stoi władczyni. Konieczność jéj biczem.
Świat się ugina, gdy swemi koturny
Z ołowiu, depce kolebki i urny —
A napis: »Jestem!« w piorunną ognistość
Na jéj żelaznym wyiskrzon djademie,
Czerwoną łuną opłomienia ziemię.
Jakże na imię monarchini chmurnéj?
Na imię jéj: Rzeczywistość.

. . . .

Okrutnie wiezie, ale i uczenie.
Staje. Świadoma gdzie kres ludzkiej sile,
Jeńców kolejno wyprzęga na chwilę,
I daje krótkie, (zbyt krótkie!) wytchnienie.

O wy, skrwawieni przez jarzmo życiowe,
Złudnie puszczeni jako ptak na nici,
Zanim was ptasznik ponownie pochwyci,
Gdzież unużoną położycie głowę?

* * *

Jest las. Ze wszystkich najsędziwszy lasów.
Sięga tych samych co ród ludzki czasów.
Tak się też zrosła jego drzew opoka,
Że słońce prawdy nie wchyla tam oka.
Tak słodkie zioła i jedwabne liście,
Z dziewiczych mroków pachną nieskażenie,
Że w owym gąszczu zaklęte wieczyście,
Błąka się dotąd echo po Edenie.
Tym lasem cóż jest? Marzenie.

. . . .

Śród krzów, różowym przesiąkłych kolorem,
Brzask wieczny świta, cichą głąb' odsłania,
I najpyszniejszy z dzieł zaczarowania,
Nad roztrzęsionêm w brylanty jeziorem,
Stawiany z wiotkich skrzydełek motyla,

Świetlnym przykryty w pół-krąg meteorem,
Pałac zaklęty ze mgły się wychyla.

Ztamtąd panuje nad wieki wszystkiemi,
Najpotężniejsza z czarodziejek ziemi.
Lata z jéj lica nie zwiewają wdzięku.
Płaszcz jéj się mieni jakby zachód słońca.
Wszystkie sny, kraśno zwinięte w jéj ręku,
Tworzą laseczkę z płomykiem u końca.

Do niéj się Młodość przygarnia radosna,
Słodka Nadzieja z nią się zaprzyjaźnia,
U niéj Poezja tęczuje swe krosna.
Któż wróżką tą? Wyobraźnia.

* *
*

Tam jeńcy krótkiéj szukają swobody.
Steczką, przy marzeń złotolistnym szmerze,
Las ich prowadzi pod zamkowe wieże.
Stają zdumieni nad okręgiem wody,
Rozbryzgującéj perły i djamenty.
Przechodzą tęczę niby most wygięty.
Na drugim brzegu... Nie myląż ich oczy?
Ach nie, to wróżka! Rozbujana miękko
W huśtawce, witéj ze pstrych kwiatów maku,
Zbrojną w laseczkę przyzywa ich ręką,
I na powietrzu kréśli znak po znaku.

»O, koicielko łez!« — wołają do niéj —
»Pociesz nas! Pokrzep, nim tamta dogoni!«

Skinęła głową, i naprzeciw siebie,
Na sennych kwiatach wskazała siedzenie.
Już się huśtają. Na poły są w niebie.
Hej wyżéj! Wyżéj!... O tak!... Nieskończenie!...
Raz niech się dowié o skrzydłach swych dusza!
Niech pozna zawrót co bóle zagłusza.

Już skroń im cięży snem ukołysania.
Wróżka nieznacznie przycisza wahadło,
Laską dotyka ich ócz, i odsłania,
Największe w świecie magiczne źwierciadło.

Spojrzeli. Uśmiech osiada ich twarze.
Czego kto pragnie, to kryształ pokaże.
Skarby, co nigdy nie giną, — sumienia,
Co nigdy drogą nie zdążają błędną, —
Serca, gdzie stałość nigdy się nie zmienia, —
Róże i laury, co nigdy nie więdną, —
I wszystko, wszystko, co wzór doskonały
Wyraża, widzą w głębinach źwierciadła,
I świat-by dali za owe kryształy,
Bo wywołane przez wróżkę widziadła,
To Ideały.

. . . .

Ale zaledwie w zachwycie utoną,
Już ich rozbudza grom... Od gniewu blada,

Na sny i kwiaty Rzeczywistość spada,
Chwyta struchlałych ręką zamrożoną,
I znowu muszą, bezdrożem ciernistém,
Wlec się schyleni pod biczowym świstem.

* *
*

To téż są tacy, (tych może najwięcéj!)
Którzy już niechcą i chwili ułudy.
Po co? By tęsknić po stokroć goręcéj,
Gdy przyjdzie wrócić na codzienne trudy?

Ci, choć uczują zwolnienie łańcucha,
Nie uciekają do pałaców ducha.
Cisną się dwornie u boku władczyni.
Może pokłonem wyżebrzą co przy niéj?
W twarz jéj wlepili oczy niewolnicze.
Mądrzy! Tyranka, pochlebstwem ujęta,
Dla nich jedwabiem okręca swe bicze,
Dla nich na dłużéj rozwiązuje pęta.

Lecz hańba duszy, co się tak wyłamie,
Z pod ogólnego boleści wymiaru.
Każde, od wozu wycofane ramię,
Zostałéj braci przymnaża ciężaru.

Stóp nie zakrwawią, ziemi kochankowie!
Ale i skrzydeł zwiniętych w człowieku,
Nie wzniosą, płazy! Jak Pismo ich zowie,
To »Dzieci wieku«.

* *
*

Inni, ubitą pogardzają drogą.
Skorzy do skargi, bogaci w pogróżki,
Ilekroć, jawnie czy tajemnie, mogą
Wymknąć się z jarzma, ach, są już u wróżki!

Patrzą w źwierciadło, wzrok ich się zapala.
Swéj dręczycielce urągają zdala.
Bunt! Rozhuśtani szaleńczą nadzieją,
»Źle« krzyczą »poszły minione stulecia!
»Gdzie wóz? My nową go pchniemy koleją!«
Lecz gdy z sennego podniosą się kwiecia,
Ledwie ich dotknie Rzeczywistość, mdleją.
Braciom przeszkodni, śród krzywych zahaczeń,
Targają rydwan, rwą lejce przeznaczeń,
Aż ich władczyni pod kołem uściele.
To Marzyciele.

* *
*

Oba zastępy spóźniają bieg losów,
Równo grzeszące grzechy przeciwnemi:
Jeden, że niechce niebiosów,
A drugi, że niechce ziemi.

* *
*

Są jeszcze inni. (Jakże ich niewielu!)
Kiedy wóz porwą z bohaterską siłą,
Rzesza odetchnie, i w głośném weselu

Poczuje nagłe zbliżenie do celu,
Jakby w dwójnasób ciągnących przybyło.

I ci do wróżki chodzą po marzenie,
Lecz na kwiecistéj nie usną huśtawce;
Rwą kwiat cudowny, i niepostrzeżenie
Klejnoty łowią w zaklętéj sadzawce.

A gdy z powrotem staną przy rydwanie,
Sypią a sypią te perły i kwiaty
Na Rzeczywistość, aż i ona z szaty,
Do Wyobraźni podobną się stanie.
I boską iskrę co w serce im padła,
Od niebiańskiego skrzesana źwierciadła,
Na jéj żelazném rozniecają czole,
Aż się i ona zwieńczy w aureolę.
I śpiew Edeński uniesion w pamięci,
Nieustającém powtarzają echem,
Aż i jéj usta zabłysną uśmiechem.
Tacy, to Wielcy i Święci.

1854.

PIERWSZY WIDOK MORZA.

I.

Próżno mię chcą sidlące opleść winogrady,
Próżno drogę zachodzą gotyckie arkady,
Nie wstrzymacie mię dłużéj, Teutońskie kraje.
Spieszno mi. Czytam napis na każdém rozdrożu,
I pędzę. Niechcę ziemi. Ja marzę o morzu.

Już bliskie. Niespokojna pod Hamburgiem staję.
Elba srebrnym gościńcem do nóg mi podchodzi,
I oto z pośród stada żaglopiórych łodzi,
Wylatasz, nawo moja, parą uskrzydlona!

Krajobraz iść zaczyna. Masztami wysoka,
Niby las, już się w tyle obniża zatoka.
Jak biały sen mignęła u brzegów Altona,
Z pod wonnych lip zabłysnął grobowiec Klop-
[sztoka.

Lecą godziny. Rzeka rozpręża ramiona,
Zda się że wód ogromu już w nich nie utrzyma.

Fala stanęła dęba, jak rumak spieniona.
Statek się zakołysał. Słyszę ryk olbrzyma.

Jeszcze za nami Elba, na rozbitém łożu
Kona, z rękoma brzegów rozkrzyżowanemi,
Lecz przed nami już nigdzie, ani skrawka ziemi.
Dwie półkule światłości. Ach, jestem na morzu!

Ty, co w bursztynowych grodach,
I koralowych ogrodach,
Rozrzucasz płynne djamenty,
Dla złotołuskich twych ludów —
O ty, na którego wodach
Spoczął sam Duch Święty —
Oceanie! Któż zgłębił przepastność twych cudów?

Kto pierwszy raz cię ujrzy, kto dopatrzy na dnie,
Odbite dzieje globu i duszy swéj dzieje,
Przed ogromem stworzenia ze czci oniemieje,
Porówna je ze Stwórcą, i na klęczki padnie.

Przemienna gra twych bałwanów,
I w sercu ludzkiém zmienny dramat wrażeń budzi.
W czarnéj godzinie orkanów,
Masz niezbłagalność żywiołów,
Srogość szatanów,
Zdradliwość ludzi —
W pogodę, masz błękitne spojrzenie aniołów.

II.

Zkąd ta ciemność? Myślową pochłonięta burzą,
Nie dostrzegłam jak za mną lazury się chmurzą.
Dreszcz przeczucia zielone piersi wód podrywa.
Jeszcze cicho. Lecz baczmy! Cisza to fałszywa,
Jako milczenie mściwego człowieka,
Co milczéć umié — bo czeka.

Żółta chmura nadpełzła. Dziwi się, że fala
Śmié szemrać, i zdejmować rysunek jéj lica?
Żądza walki jéj rude wnętrzności pochwyca.
Gniew ją zapala —
To błyskawica.

Podniósł się obłok czarny jak rycerz ponury.
Przyjął wyzwanie, porwał elektryczny grot,
Cisnął go w pierś rudéj chmury —
Grzmot.

Chmura, śmiertelnie przebita,
Runęła jakby niebios oberwany łom.
Słania się blada,
Krwawemi dłońmi krawędź widnokręgu chwyta.
Chmura umiera! Lecz umrze z potęgą.

Dusza ucieka z niéj, spada,
Lecz spada ognistą wstęgą —
Grom!

Strumień krwi białéj, przezroczéj,
Jak soki ściętego drzewa,
Z rany się toczy...
Ulewa.

I chór żałosny rozległ się po niebie.
To bracia wichry, nikłe jak nadzieja,
Płaczą na chmury pogrzebie —
Zawieja.

Wraca szczęk. Wstały chmury zabitéj mściciele.
Pędzą, gonią, szukają gdzie obłok morderca?
Piorun na piorun. Chmura chmurę ściele.
Ogniste sobie wydzierają serca.
Niebo za bary z morzem w jeden wir się nurza.
Wszystkich żywiołów porwały się bogi,
I wszystkie wszystkim są wrogi —
Burza.

Z pośród nich, widmo jeszcze ponursze i krwa-
Wstało. Poznaję: to on, [wsze,
Rzadko widzialny a grożący zawsze —
Skon.

III.

O ster oparta, stałam urągając burzy,
Lecz w duszy mojéj było jak na niebie czarno.
Sterniku! Czy twa praca nie zostanie marną?
Twe zmarszczone oblicze złe losy nam wróży.

O morze, czyżbyś miało być obrazem życia,
Gdzie garstka podróżników uczepia się deski,
Szuka brzegu, i wzywa pomocy niebieskiéj,
Aby skończyć rozpacznie w męczarniach rozbicia?

Co to jest? O... tam... Światłość! Maleńka, da-
[leka —
Oko moje miłośnie do niéj się przygarnia.
Zniknęła, i znów błyska. Mruga jak powieka.
To Cuxhaven! To przystań, i morska Latarnia!

Odżyło serce moje. Myśl się rozpromienia.
Jest więc gdzieś żywa dusza co się o nas lęka,
Chociaż my jéj nie znamy. Jest życzliwa ręka,
Co nad otchłanią trzyma lampę ocalenia.

Na statku zgiełk. Podróżni nabierają ducha,
Wesoło wiążą płaszcze. Dowódca załogi,
Winszuje nam i sobie bezprzygodnéj drogi.
Już słyszę kotwicznego zgrzytanie łańcucha.

Nim przystąpię do kładki co mię wiąże z brzegiem,
Zwróciłam jeszcze oczy na mdlejące wały.
Jakimże się tu marnym rozpryskują śniegiem!
Tak i moje zwątpienia na pył się rozwiały.

Nie! Życie to nie próżna ślepych sił męczarnia,
Gdzie rozbitki o deskę biją się zawiśnie.
Wiaro! Ty nam przyświecasz jak morska latarnia,
W któréj Opatrzne Oko, co zniknie, to błyśnie.

Każda fala swą boleść przynosi z kolei.
Do brzegów, co widziały początek żeglugi,
Nikt nie wróci. Lecz płyńmy! Ach, jest i brzeg
[drugi,
Tam zatkniemy kotwicę spełnionéj nadziei.

1854.

GÓRY.

Co się wznosi, to cześć budzi.
Świętość, geniusz pośród ludzi —
A pośród natury,
Góry.

. . . .

Panie świata! Ziemia nasza,
Czołem bije na Twém niebie,
Za człowieka Cię przeprasza,
Za swém dzieckiem błaga Ciebie.
Wpół miłosna, wpół wylękła,
Morską falą załzawiona,
Dolinami swemi klękła,
Góry wzniosła jak ramiona,
I dopóty skamieniała,
Będzie ręce wyciągała,
Aż przyciśniesz ją do łona.

. . . .

W górach leży tajemnica.
— Czy prostaczka czy badacza,
Wiecznie zwabia i zachwyca,
I przeraża i przytłacza,
Głębią piersi niezbadaną,
Falującą krasą lica,
I zalotną szat przemianą —
Czarodziejka! Czarownica!

. . . .

Giętka struno mojéj liry,
Zmień się w pędzel! Niech odtworzy,
Ten stubarwny, ten stuwiry,
Kalejdoskop ręki bożéj.

Dziwy! Cuda! Ów lodowiec,
Czyż nie jasny to puginał?
Porozdzierał chmur pokrowiec,
Węże gromu poprzerzynał.

Ówdzie, szczyty ciągną chórem,
Jakby mnichy, co na głowy,
Nasunęły bór świerkowy.
Słychać szepty pod kapturem.

Drugie trawą się oprzędły,
Stoją prosto jak wrzeciono.
Inne zgięły kark wywiędły,
I jak smoki ogniem zioną.

Tu Rusałka z twarzą bladą,
Wziąwszy srebrnych strzał naręcze,
W szklannym domku pod kaskadą,
Z żywéj skały krzesze tęczę.

Niżéj, głazom pękły grzbiety.
Ześliźnięte z wodnych torów,
Świecą w polu, jak szkielety
Przeddziejowych dziwotworów.

Tam gwiżdżący, wichrowaty
Słup, wyskoczył z nad urwiska —
Jak rozbójnik zszedł na czaty,
I grożącą pięść zaciska.

Bliżéj góra pulchno-łona,
Przekomarza mu się echem.
Nad jeziorem rozciągniona,
Kąpie stopy, i z uśmiechem,
Jak Bachantka się opina,
W krętowłose kiście wina.

. . . .

Precz mi z lirą! Słowo niczém,
Przed królewskiém gór obliczem,
Przed magicznym gór zawrotem.
Choćby śpiewak piórem złotém,
Piórem orlém czy słowiczém,

Brał z ich lica wierne wzory,
I pozgarniał ich kolory,
I zdjął zarys ich budowy,
Płonna praca! Czyż wyczyta,
Jaka w barwach myśl ukryta?
Jaki kształtów cel duchowy?

O najstarsze globu córy,
Odezwijcie mi się, góry!
Gdy milczącéj znaków mowy
Serce moje nie rozumie,
Wy mi same, w drzew szeleście,
Łomów huku, zdrojów szumie,
Wyśpiewajcie, czém jesteście?

GŁOS OD GÓR.

Świat wasz, ziemianie, kołuje w przestrzeni,
Jak wieczny Farys pędzon niepokojem.
A my jesteśmy, uwitym z kamieni,
Świata zawojem.

* * *

Ziemia jest piękną słońca narzeczoną.
Ziemia jest pyszną xiężyca królową.
Jesteśmy ziemi obrączką godową —
Ziemi koroną.

* * *

Rankiem, gdy jeszcze pomroczna żałoba
Leży w parowach, u naszego szczytu
Już dzień się złoci. Jesteśmy co doba,
Pierwiosnkiem świtu.

* *
*

Gdy słońce rzuca godziny za siebie,
Nasz cień je liczy, i wiernym wymiarem
Pisze. Jesteśmy, przybitym na niebie,
Dolin zegarem.

* *
*

Gdy król światłości odchodzi od ziemi,
My jeszcze, rzędem zawisłe u końca
Jego szkarłatów, jesteśmy kraśnemi,
Paziami słońca.

* *
*

Wszystkie w przelocie chmury smętnolice,
Mgławą nad nami wypłakują pianę.
Świecimy szkliście, jak wiecznie zwilżane,
Niebios łzawnice.

* *
*

Gdy łza się zetnie, lawiną wyleci.
A my tę piłkę, na wylękłą niwę

Rzucamy, niby w igraszkach straszliwe,
Olbrzymie dzieci.

* *
*

O wędrujący przez nasze bezdroża,
Biada ci, jeśli przechodzisz w téj dobie!
Żywego, letarg śniegowy pochłania,
I w oceanach błękitnych przestworza,
Nasze bezludne wierzchołki, są tobie
Wyspą konania.

* *
*

Lecz jeśli w mroźném czuwający niebie,
Zbawcy Gotardu zestąpią do ciebie,
Jeśli z miłością nad łożem schyleni,
W sercu się twojém dopukają bicia,
Będziemy tobie w pustyniach przestrzeni,
Oazą życia.

* *
*

Już wiosna ziemię wyłamawszy z oków,
U bark nam szklanne rozpuszcza warkocze
Tających lodów i dżdżystych obłoków.
Teraz szemrzemy, tęczowo-przezrocze,
Matki potoków.

* *
*

Gdy w nasze igły i drążone skały,
Miechami zadmą letnie huragany,
Poznasz w ich graniu, słuchaczu zdumiały,
Boskie organy.

* *
*

Jeśli usłyszysz jak w górnym obozie,
Skrzydło ze skrzydłem ściera się gwałtownie,
Wiedz, że tam wiszą na piorunnéj grozie,
Orłów warownie.

* *
*

Czasem i ludzkim zapałem skrzydlata
Walka, nad naszym zawichrzy się szczytem.
Kahlenberg widział, jak wyrok dla świata,
Bohatér rzucał na żelazne wagi.
Jesteśmy, w szumne trofea spowitém,
Czołem odwagi.

* *
*

Ale i cichszéj szukające chwały,
Stęsknione dusze, nieraz uciekały
Za niedostępne twierdz naszych okopy.

Czy te widziałaś bazaltowe stropy,
Gdzie się zielona zataczając fala,
Szeleści imię Fingala?

Czy te słyszałaś echa Pauzylippy,
Co powtarzają przekleństwo Dydony?

Czy wiosłem cięłaś różowe polipy
Ciepłego morza, co bije pokłony,
Pali fosfory, i perły roztrzęsa,
Pod śpiewającą grotą Kamoensa?

Gdy przyrodzenie wykowa pieczarę,
I górska wróżka zamieszka w jéj skrytce,
Gdy porozwiesza gobeliny stare,
Tkane z porostów o wyblakłéj nitce,
Mchami wyściele łoże z axamitu,
Świecznik uleje ze szkieł stalaktytu,
Wejście bluszczowym zakratuje splotem,
I wszystkie blaski wstydliwie przymruży,
Jesteśmy sennym, broniącym od burzy,
Marzeń namiotem.

* *
*

Ale nie zawsze Spokój się zamyka,
W eremie skalistéj wieży.
Uchodź, jeżeli zamiast pustelnika,
Straszliwe Gwebrów bożyszcze,
Pełga i świszcze,
Przez czarne usta żuzlowych wybrzeży.
Uchodź, — bo czyś ty widziała,
W jakim całunie Herkulanum leży?

Jakim szczyt Andów fajerwerkiem pała?
Czyś ty widziała, w jaki sztandar krwawy,
Hekla się zwija nad Eddą ponurą?

Gdy wulkanowy nas gniew rozpłomienia,
Jesteśmy twardym, zbryzganym krwią lawy,
Zwieńczonym w ogniste pióro,
Hełmem Zniszczenia.

* *
*

Był czas, gdy cały w ukropie rozbryzły,
Glob ziemski huczał dymiącemi kotły.
Ogień i Woda rwały się i gryzły,
Ziemia z Powietrzem darły się i gniotły.
Aż Ład przydławił tytaniczną pychę.
Szkielety lądów opadły bez siły,
A my nad niemi stoimy, jak ciche,
Wieków mogiły.

* *
*

Dziś Genjusz ziemi już wpół osiwiały,
Ze swéj młodości uśmiecha się dzikiéj.
Nasze pokłady zeszył jak foljały,
I na nich spisał swoje pamiętniki,
Swe gry okrutne i namiętne szały.

A człowiek patrzy, — niekiedy podchwyca
Groźny urywek z powieści rodzica,

I wdzięcznie, spokój dni nowych ocenia.
Leżymy w stosach, jak tysiączno-karte,
Dla rzesz zamknięte, dla mędrców otwarte,
Xięgi stworzenia.

* *
*

Nietylko mędrzec zaziera w głąb' naszą,
Zajrzał i górnik o lampce znikoméj.
Próżno ją psotne zadmuchują Gnomy,
Próżno cudaczne Koboldy go straszą.
Srogi zdobywca idzie przez wyłomy,
Pruje nam żyły, wysysa nam ranę,
Zdziera klejnoty co pierś nam zasuły.

W nas leżą ciężkie, w nas niewyczerpane,
Ludów szkatuły.

* *
*

Dary naszemi szczodrze bogacona
Dzicz, z barbarzyńskiéj ciemnoty wyrasta.
Patrz, już pożywne uprawia nasiona,
Zakłada wioski, wydźwiguje miasta.
Wyżéj, stolice w królewskiéj purpurze
Zasiadły, — każda na osobnéj górze.

Dawid usławszy swój płaszcz byssusowy,
Czyni z Syjonu podnóżek Jehowy.

Romul wylęgły w siedmioszczytném połu,
Więzy trzem lądom rzuca z Kapitolu.

Watykan wyżéj, nad granice świata,
Podnosi czoło koronne trójgwiazdą.

Z Lechowéj góry srebrny ptak wylata,
I złote wije na Wawelu gniazdo.

My budujemy z podobłocznych grodów,
Trony narodów.

* *
*

Ledwie od nizin ujarzmionéj ziemi
Dusze się wzniosły, już wschodzi nad niemi
Góra Poezji. — Dwa szczyty Parnasu,
Śpiewają chwałę wieczności i czasu.
Na stokach pląsa biała Muz gromada,
Elegją płacze Kastalska Najada,
W sielskie organki dmą bogowie leśni,
I boska miłość Apolla się zmienia
Na laur. — Jesteśmy w świątyni Natchnienia,
Trójnogiem Pieśni.

* *
*

Pieśń! To szczyt ducha. Skrzydlata klucznica,
Uchylająca niebieskich podwoi,
Szczęsnych zachwyca —
Cierpiących koi.

Przecież, jeżeli są smutni, tak smutni,
Że im nie ulży nawet urok lutni,
Ci, zabłąkani w noce xiężycowe,
Na łonie naszém niech położą głowę.
Bliźsi błękitów, może śród błękitów,
Anielskie dojrzą uśmiechy?

W bezgłębnym smutku, gdzież nawet Syn boski
Mówił z aniołem? U Oliwnych szczytów.

Skłoń się. Jesteśmy w kościele Pociechy,
Klęcznikiem Troski.

* * *

Są, którzy gnani przez boleść i trwogę,
W góry uciekli, lecz zmylili drogę,
I zamiast klęknąć tam, gdzie archanieli,
W gorzkim kielichu podają zbawienie,
Z Mefistofelem stanęli,
Na łysoszczytnym Brockenie.

Moc tam nieczysta roztacza swe czary.
Próchnem goreje Armidowy dworzec —
Pędzą rotami dziwokształtne mary —
Krwawy cyrograf chrzęści jak proporzec.
Blade wietrznice z ognikiem u czoła,
Tańcem okrętnym wiązują wędrowca,
I mdło-zawrotne podając mu zioła,
Pędzą ne ciemne rozkosze manowca.

Dla takich, nasze zaklęte ogrody,
Z lekka po ślizkiéj zesunięte łące,
Mkną jak jedwabne, lecz w otchłań wiodące,
Do piekła schody.

* *
*

Ale spojrz wyżéj! Gdy na Jasnéj górze,
Kordecki czuwa jak sternik u łodzi,
I zażegnywa rozszalałą burzę,
Zkąd »Gwiazda morza« nad zatoką wschodzi —

Kiedy Ignacy, rozerwawszy krwawy
Swój pas rycerski, w jaskini Manrezu,
Pisze dla bożych rycerzów ustawy,
I woła: »Wodzem, Ty bądź nam, o Jezu!« —

Kiedy nad góry Alwerneńskiéj łonem,
(W dzień Męki Pańskiéj cudownie rozpadłem,)
Frańciszek, z licem na wskróś prześwietlonem,
Pomiędzy ziemią a wyższemi światy
Rozkołysany miłosném wahadłem,
Pięcio-promienne przejmuje stygmaty,
I Chrystusowém staje się źwierciadłem —

Kiedy Benedykt, u ciemnego brzega
Burzliwych wieków staje, i zażega
Daleko-widną latarnię Kassynu,
Gmach przypruszony śniegiem pargaminu,

Gdzie mnichy zgięte pod kapicą szarą,
Na tłach z lazuru i puszkach karminu,
Alfabet wiedzy wyzłacają wiarą —

Gdy pod Mojżeszem łamie się kolano...
Twarzą przypadłszy o twarde Sinai,
Czeka pod gromem, aż Bóg sam zagai
Mowę do ludzi, w granicie kowaną —

Gdy rzesza, głodna i pociech łakoma,
Siada na górze Galilejskiéj rano,
A wieczór wstaje przesyta, ośmioma
Błogosławieństwy i pięciorgiem chleba —

Gdy na Taborze, kryształowo-ciałe
Widzenie, przyszłą wyjawia nam chwałę —

Korz się, — tworzymy strome lecz wspaniałe,
Stopnie do nieba.

* * *

Są téż i dziwne między nami szczyty,
Których na mappie nie znajdą uczeni.
Obraz ich, wiecznie mgłami upowity,
Sięga nad zakres czasu i przestrzeni.

Jednak niekiedy, czysty duch niewieści,
Lub mąż nad wszelką wywyższony trwogę,

Odnajdzie do nich zatraconą drogę,
A wtedy dziwne rozchodzą się wieści.

Oto Ezechjel wzlatuje, nad czarną
Przepaścią ziemskich oparów i dymów.
Stanął. Tam prosto, pod gwiazdą polarną,
Góra Kaf świeci, »Góra Elohimów«.
Ach, wszak to Eden, ów ogród zaklęty?
Spojrzał i westchnął. Daremne przynęty!
W krąg stoją mury z ognistych kamieni,
Twarde jak brylant, żarzące jak rubin.
Brama otwarta, lecz pełna płomieni;
Z miecza i z oczu je miota Cherubin.
Czasem, przez iskry pokaże się łąka,
Rozkoszna kwieciem, i »Drzewo Żywota«,
Błyśnie owocem jaśniejszym od złota.
Po kwiatach, postać sędziwa się błąka;
To Enoch, świadek złych dni najcnotliwszy,
Co umiał z Panem pozostać w przyjaźni.
Sam Pan go niegdyś, płaszczem zasłoniwszy,
Z przedpotopowéj uprowadził kaźni,
I raj do czasu dał przyjacielowi.
Lecz skoro ziemia obumierać pocznie,
Do ludzi gorszych niż przedpotopowi,
Każe mu wrócić, i świadczyć naocznie,
Jak Pan cierpliwy, gdy na pokajanie
Dzień po dniu czeka, zwłóczy wiek za wiekiem,
A jak straszliwy, gdy w gromach powstanie,
I zmierzy się — Bóg z człowiekiem.

Ówdzie, Rycerze »okrągłego stołu«,
Zakuci w łuskę, pod wodzą Artusa,
Ruszają z głębin łzawego padołu,
Aby odnaleźć tajną Krew Chrystusa.
Arymatejczyk, z przebitego Boku
Zabrał ją niegdyś, i wszelkiemu oku
Daleko ukrył na »Górze Salvatu«.
Stoi tam, skrzepła, w roztruchanie »Gralu«,
I będzie póty niewidzialna światu,
Aż ją roztopią łzy ludzkiego żalu.

Tu, — Katarzyna Emmerich, przejrzysta
Sybilla krzyża, po drodze z obłoków,
Idzie za wizją na »Górę Proroków«,
Gdzie złotowłosy Jan Ewangelista,
Oblany słońcem co nigdy nie blednie,
Pod rajską palmą leży pochylony,
Przerzuca xięgi przyszłe i poprzednie,
Rozważa wszystkich narodów zakony,
I porównywa wszystkie przepowiednie.

Gdy tak z doczesnych wypłyniemy ciemnic,
Gdy białe stopy Extazy nas trącą,
Jesteśmy świetlną, w pół nieba wiszącą,
Arką tajemnic.

*
* *

Ach iluż Świętych i Niebian postacie,
U szczytów naszych w zachwyceniu klęczą!

Widzisz ofiarny dym na Araracie?
Tam ojciec plemion wschodzi w majestacie.
Struchlałe Morza u stóp jego jęczą;
A pojednane po długim rozbracie,
Niebo i Ziemia całują się tęczą.

Słyszysz ten szelest co porze lazury,
Jak przefrunięcie gołębiego stada?
To poseł z nieba brylantowo-pióry,
Na górę Moria błyskawicą spada,
By nad dziecięciem schyloném bez lęku,
W Abrahamowém nóż powstrzymać ręku.

Czy tylko takie witałyśmy posły?
Wyżéj nas jeszcze niebiosa wyniosły!
Patrz: oto srebrny w obłoku rysunek,
Schodzi na Karmel. Ach to wizerunek
Matki-Dziewicy, ach to Ona żywa,
Przed płonącemi oczami Eljasza,
Proroczym szkicem po niebie przepływa,
I w opalową się rosę rozprasza.

Wyżéj! »Excelsior!« Zadrżyjcie przepaście!
Słońce i xiężyc, mdłe lica przygaście!
Oto pod niebios otworzone wrota,
Szkarłatną drogą wystrzela Golgota.
Najwyższe szczyty nizinami przy niéj.
Góra nad góry — globu monarchini —

Pan ją w cierniowy djademat oplata.
Klęknij, miłością i cześcią struchlała:
Z nas, nieśmiertelna ręka wyciosała,
Ołtarze świata.

1854.



ŚWIĄTYNIA WSPOMNIENIA.

URYWEK.

. . . .
. . . .
. . . .

Tęskniąc za bladym przeszłości aniołem,
Co skrzydłem dzieje ocienia,
Z bijącém sercem, z pochyloném czołem,
Szłam do światyni wspomnienia.

Na drzwiach, rzezanych z drzewa oliwnego,
Śmierć swe »A-Dio!« wyryła.
Tajemne mity jak sfinxy ich strzegą,
A miękkim progiem — mogiła.

. . . .

Za miękkim progiem, przyklękłam od cześci,
Pierś oniemiała od lęku.
W głębi świątyni, w postawie boleści,
Różaniec lat mierząc w ręku,

Anioł przeszłości, z twarzą — zasłoniętą
Srebrzystą podań tkaniną —
Wiecznie odmawia ostatnie Memento,
Nad plemionami co giną.

. . . .

U kolan jego bezładnie rzucone,
Leżą zdobycze stuleci.
Stopa złamaną potrąca koronę —
Tuż obok, rdzawy miecz świeci.

Gdzie spojrzę, miecze! Istny grad morderczy.
Strzały, i kule, i proce.
Ledwo gdzie-nie-gdzie ząb lemiesza sterczy,
Lub szkło badacza migoce.

Te łysnął brylant, może niegdyś wpięty
We włos piękności wesołéj?
Ach, a ta urna? Droższa niż djamenty!
W niéj, bohaterów popioły.

Plączą się wieńce, i flety, i dzbany,
Przebrzmiałych rozkoszy świadki.
Śmieją się cicho, w mowie zapomnianéj,
Xiąg bezkluczowych zagadki.

Walą się słupy, które śmiertelnicy,
Wznoszą na »wieczną« pamiątkę.

Fruwają z wiatrem świstki tajemnicy,
Których czas rozdarł pieczątkę.

Widzę i zżółkłą prawodawców kartę;
Wieki ją ryją,dzień maże.
W głębi, czernieją — zniszczone — odarte —
Znikłych religji ołtarze.

Na stopniach wiszą strzaskane bożyszcza,
Znaki wszech-wiar i nadziei.
Od dziejowego przetrawione zgliszcza,
Wszystkie runęły z kolei.

. . . .

Jeden, jedyny w gruzach się nie ściele.
Nic, tylko lekkie dwie kréski,
A jasno od nich po całym kościele:
Krzyż ze światłości niebieskiéj.

Wisi w powietrzu, jak czas niechwytliwy,
Wiecznością wskróś przekréślony.
Orszak pokoleń składa mu podziwy,
I swych sztandarów pokłony.

. . . .

Co tu sztandarów! Świątyniowe mury,
Znikają za ich gęstwiną.

Zdarte jedwabie, zbutwiałe purpury,
Od stropów płyną a płyną.

W nich, rzędem godeł, jak hieroglifami,
Wyszyte roczniki świata.
Gdzie-nie-gdzie jeszcze zsiadła krew je plami,
Lub zeschły wawrzyn oplata.

Szum który szepce: »Ach patrz, i ja żyłem!«
Brzmi w proporcowym tym lesie.
A każdy powiew, z opleśniałym pyłem,
Jakąś woń grobów mi niesie.

. . . .
. . . .
. . . .

Długo me serce, z malownych tych wzorów,
Czytało tajniki dziejów.
Aż unużona zblakłością kolorów,
I nietrwałością trofejów,
Podniosłam oczy. Chciałam zapytaniem,
Przebić sklepienie kościoła.
Tło jego czarne jak noc, ale na niém
Drżą złote iskry i koła.

To gwiazdy chwały. Płomień, co się pali
Dzieciom natchnienia na czole,
Nimbus walecznych co za kraj skonali,
I świętych głów aureole,

Zszedłszy z burzliwych widnokręgów życia,
Wschodzą na niebie wspomnienia.
Jedne, przemigną światełkiem odbicia —
W innych, czas blasku nie zmienia.

A żywy, patrzy na świetlne zjawiska,
I zcicha tym pozazdrości,
Dla których, nawet już ziemia, połyska
Promieniem nieśmiertelności.

. . . .
. . . .
. . . .

1856.



ŻYCIE.

Jest słowo, — tajemnicze jest pałac zaklęty,
Olśniewające blaskiem jak świętość ołtarza,
Powikłane, jak węża nieuchwytne skręty,
Okropne, jak sen zbrodniarza —

Potężne jak zaklęcie w ustach czarodzieja,
Ścięte na drodze myśli jak skalne urwisko,
Niezgłębione jak rozpacz, wabne jak nadzieja,
Chwiejne, jak śpiew nad kołyską —

Dzień w dzień rozraniające, i gojące ranę —
Ryte na dnie pogardy lub na chwały szczycie,
Badane jak przyroda — jak Bóg niezbadane —
Tém słowem nad słowa: życie.

1859.

HYMN DO NADZIEI.

Gdy człowiek piorunów i jęków drżąc słucha,
Ty jedna radosną rozbudzasz go nutą.
Wśród ciężkich walk miecza, wśród cięższych
[walk ducha,
Podajesz mu tarczę szmaragdem okutą.
Gdy ludy konają, żywioły szaleją,
Gdy złote stolice zmieniają sie w puszcze,
Ty jedna, zwaliska opinasz w swe bluszcze,
Najświętsza nadziejo!

Kołysze się dziecię jak motyl na kłosach.
A ojciec mu życzy korony mocarzy,
Lub kluczów mądrości. A matka dlań marzy,
Mirt szczęścia na ziemi, lub palmę w niebiosach.
I siostry je pieszczą, i starcy mu wróżą.
Co z wróżb tych się ziści? Ach, losy się chwieją,
I chwiejesz się z niemi, jak łódka przed burzą,
Kolébko nadziejo!

Dłoń Maja, w pierwiosnki kolebkę oplata,
I Troska zamyka lodowe swe bramy.
Pacholę w pierś pełną twe pije balsamy,
I starzec wspomina fjołkowe swe lata.
I więzień przez kraty twą wonią się pieści.
Poeta i słowik od woni téj mdleją.
Ty wskrzeszasz radości, ty koisz boleści,
O wiosno nadziejo!

A po-nad fjołkami ciemności się dzielą,
Skowronek wywodzi oracza na pole,
Widnokrąg zaranną uperla się bielą,
I zbrodnia się kryje z rumieńcem na czole.
Zwierz dziki ucieka do leśnéj pieczary,
I serca rzeźwieją i myśli widnieją.
Ty budzisz chór modłów, chór życia, chór wiary,
Jutrzenko nadziejo!

Na widok jutrzenki młodzieniec się miota,
I xięgi pożera i szablę pochwyca.
A w dworcu z modrzewi rozkwita dziewica,
I sztandar haftuje z purpury i złota.
Dnie przyszłe, to dla nich pałace z promieni,
Gdzie skarby, aż dotąd zaklęte, jaśnieją.
Któż z tobą nie marzył, że tobą świat zmieni,
Młodości nadziejo?

Dziewica i młodzian ku sobie spojrzeli.
Różowa mgła uczuć, (co ludzki wzrok mami,
I skazy zaciera,) obłokiem ich dzieli,
I zdala się sobie wydali, bóstwami.
I wierzą w ideał na ziemi, i płoną.
Ach, zanim orkany ten obłok rozwieją,
Ty z niego budujesz krainę marzoną,
Miłości nadziejo!

Choć wionie, moc Pieśni odtworzy go jeszcze.
O matko strun siedmiu! Żar twojéj pochodni,
Rozświeca gościniec pokoleń, bo godni
Imienia poety, są tylko ci, wieszcze,
Co z rzeszą nie ciągną, lecz wyjdą na przody,
I twierdzę przyszłości przemocą brać śmieją.
Ty wiecznèm proroctwem pocieszasz narody,
Poezjo nadziejo!

A innych Myśl nęci w zawrotne stu-kręgi,
Przyroda ich nęci harmonją bezładną.
Wieczyście schyleni u szkiełka i xięgi,
Wieczyście ufają że sfinxa odgadną.
I pierś ich wysycha, i oczy ciemnieją.
Ty ciągle im prawdę wskazujesz w oddali —
Co dłoń twa ją przyćmi, to znowu rozpali,
O wiedzo nadziejo!

A inni bój wiodą z twardemi żywioły,
I codzień im łupów i żądań przyrasta.
Pustynie zmieniają na ogród wesoły,
Namioty zmieniają na chaty i miasta.
I orzą, tną lasy, ładują okręty,
I głowa im cięży i ręce drętwieją,
A w tobie wciąż rosną szanowne ponęty,
O praco nadziejo!

A innych świat czynu porywa, — i losy
Chcą przeprzéć, i zginąć gotowi, w nadziei,
Że grób ich, kolebką dla nowéj idei.
I biegną ua miecze, i lecą na stosy,
I cierpkie łez krople, krwi krople, dla liści
Laurowych, jak rosy ożywcze się leją.
Im więcéj gaszona, tém buchasz ogniściéj,
Odwago nadziejo!

Aż oto nadchodzą bez chwały cierpienia:
Szyderstwo — pogarda — niepamięć — okowy.
Lecz łańcuch się zmienia na wieniec palmowy,
I kielich goryczy na kordjał się zmienia.
Wybrańcy męczeństwa radośnie boleją,
Świadomi, że boleść do nieba przybliża.
Ty łańcuch kotwicy związujesz u krzyża,
Ofiaro nadziejo!

A jeśli duch w bólach tak padnie znużony,
Że w nic już nie ufa, i nic go nie łudzi,
Gdy rozpacz krogulcze zanurzy w nim szpony,
Gdy serce ostatnie mu zgaśnie śród ludzi,
I gwiazda ostatnia zagaśnie na niebie,
Gdy wszystkie nadzieje pożegna z kolei,
Jeżeli żyć może, to tylko przez ciebie,
Nadziejo nadziei!

A jeśli te bóle rozniecił żar zbrodni,
Wnet miłość ją rzuci, i wiara w niéj skona,
I ludzie się trwożnie odwrócą, — lecz od niéj
Nadzieja nie pierzchnie, bo mężną jest ona.
Gdy ziemscy lekarze już radzić nie śmieją,
Jak ziele gorzkiemi sokami nalane,
Tak ciebie sumienie przykłada na ranę,
Pokuto nadziejo!

A chociaż się ziarna wyczerpią w klepsydrze,
I śpiże na wieżach zadrgają w pogrzebie,
Człowieku, nadzieja stworzona dla ciebie,
I tego ci skarbu grób nawet nie wydrze.
Jak tęcza rozpięta nad losów zawieją,
Z potopu łez, cicho wybłyskasz, skrzydlata,
Owiana wszystkiemi blaskami zaświata,
O śmierci nadziejo!

1860.

TRZY ZWROTKI.

I.

Wierzy. Dotąd gdy pytał, to drugich nie siebie.
Uśmiecha się gdy słucha skarg ludzi na ludzi,
Ufa że w nich miłością samą miłość zbudzi.
Życie kocha na ziemi — a śmierć kocha w niebie.

II.

Zwątpił. Zawrotem próżni przebudzony we śnie,
Dopiero w przepaść patrząc poznaje swe siły.
Przekonał się o ludziach i zdumiał boleśnie.
Czuje wzgardę dla życia — a wstręt do mogiły.

III.

Gnany przez bicze nieszczęść, przez głody ba-
[dacza,
Wiedzą wrócił do wiary — i odzyskał męztwo.
Już się ludziom nie dziwi; sądzi, lecz przebacza.
W życiu, widzi bój święty, — a w śmierci, zwy-
[cięztwo.

1860.

PIOSENKA W KARPATACH.

Każda góra ma swą chwałę,
Swe podanie, i swój szczyt.
Na nich leżą śniegi białe,
Jakby jakiś wieczny świt.

Orzeł wisi na szafirze,
Jak na tarczy rznięty znak.
Prąd potoku brnie po żwirze,
Jakby twardy życia szlak.

Głos odradza się cudownie,
Gada w echu dusza gór.
Stoją skały jak warownie,
Okłębione dymem chmur.

Sto źródełek z jam bulgocze,
Jakby kłótnia srebrnych larw.
Przez obłoczki pół-przezrocze,
Sto bajecznych świéci barw.

Gra w pozłocie zielonawéj,
Roztoczony wachlarz gór.
Błękitnieją na nim stawy,
Jakby oczy pawich piór.

Ogień pryska z piersi pstrąga.
Puchem fiołków pachnie głaz.
A kosodrzew się przeciąga,
Jak zaklęty w drzewo płaz.

Na koniku, okazale,
Pasterz jedzie z dolnych pól,
Tuż pod gwiazdy, na swe hale,
Jak w swém państwie jedzie król.

Idzie şteczką Podhalanka,
Na jéj licach róże dwie.
Rwie jagody, rwie do dzbanka,
Jak poeta myśli rwie.

Gemza śmiga przez otchłanie;
Za nią strzelec, iskra gór.
Owce zwisły na polanie,
Jakby biały pereł sznur.

O wieczorze, trzoda wraca.
Postrachami ćmi się las.
Przy ognisku siedzi baca,
Żółte guzy wbija w pas.

Konwie stoją pod szałasem;
Niby w liljach, mléko w nich.
Idzie zbójnik czarnym lasem,
Za nim wojsko duchów złych.

Jakby rumak rży lawina.
Orkan puścił cugle wód,
Skrzącą kosą bory ścina,
Jak śmierć, ludzki ścina ród.

Wichry pędzą skróś manowca,
Z gór na góry, w jeden skok.
Piorun zrywa zrąb lodowca,
Jak królewnę chwyta smok.

Zcichły gromy, lecz zwaliska
Zostawiły w gmachu skał.
Płyną chrzęszcząc rumowiska.
Z trumny wieków, chaos wstał.

Lśnią nabrzmiałe wodospady,
Jak pałace z tęcz i szkła.
Siadł na skale kobziarz blady.
Nad nim słońce, niżéj mgła.

Szumi kobza — szumią drzewa.
Grajek słucha pieśni gór.
Każda góra swoją śpiewa.
Tysiąc szczytów — jeden chór.

Wzlatuj duszo! Przegoń wiatry!
Nad burzami pieśnią żyj!
Niech się święcą matki Tatry,
Na ich łonie, sercu lżéj.

1860.

FANTAZJA.

Dzieje wyszły już dawno z kolébki swéj białéj,
Wieki po wiekach mijały,
A jeszcze owa,
Cudna królowa,
Kształtów, kolorów i śpiewu,
Owa wróżka nad wróżkami,
Którą czcimy pod słodką nazwą Wyobraźni,
Nie zaznała chwili gniewu.
Łza jéj powieki nie drażni,
Ani czarna zgryzota jéj serca nie plami.

To na wonnéj marzeń łące,
Zbiera jaskry pałające,
To dzwonkiem pustoty dźwięczy,
To wspomnieniem haftuje błękitne tło rąbka,
To w koralowy wózek zaprzęże gołąbka,
I przejeżdża się po tęczy.

. . . .

Aż przyszedł dzień, — dzień wielki dla poezji
[ludów.

. . . .

Słowik z jutrznią rozmowę toczył pieszczotliwie.
Wyobraźnia rozigrana
Do rozkwitniętych gajów leciała od rana.

Wśród lotu... staje w podziwie.
Na kresie widnokręgu spostrzegła młodziana.
Był to urok uroków — dziw dziwów — cud cudów.

Słońce nieśmiertelności drgało mu nad głową.
Rznięte z drzewa mądrości miał pyszne sandały.
Królestwo świata nosił szatą purpurową.
Piękniejszy od Urody, od Szczęścia i Chwały,
Otrzęsiony kwiatami z Amaltejskich rogów,
U krańców nieboskłonu, jak u złotych progów,
Przesuwał się po świetle różowém i białém.

Był to najstarszy syn bogów —
A zwano go — Ideałem.

. . . .

Posągowe jéj oblicze
Drgnęło wzruszeniem nieznaném.
Raz pierwszy uderzyło gwałtowniéj, dziewicze
Serce owéj Galatei.

I zaczęła iść, w nadziei,
Że na granicach nieba spotka się z młodzianem.

Idzie przez dnie i przez lata,
Lecz on zawsze gdzieś odlata,
Codzień daléj! A choć zdala,
Roznamiętnia i zapala.

Tęskność wzmaga zachwycenie.
Już na pół zbezprzytomniała,
Wyobraźnia się szalenie,
W Ideale zakochała.

Zaczyna bieg przyśpieszać... Z piersią w ogniu,
[leci,
Do rozwichrzonéj podobna pochodni.
Świat od jéj oczów się pali.

Próżna pogoń lat całych i całych stuleci!
On razem z widnokresem odsuwa się od niéj.
Im Wyobraźnia daléj, tém Ideał daléj.

. . . .

Aż łuk miłości prysnął pod ręką rozpaczy.
Zużyła się cierpliwość wśród bezcelnych trudów.
I nastał dzień, — dzień wielki dla poezji ludów.

. . . .

Wyobraźnia wzleciała, lecz jakoś inaczéj...
Rzuca się niby piorun, rzuty ukośnemi,
Od nieba do ziemi.

Orły przeraża drapieżnym wykrzykiem.
Komety zastanawia rozpląsaniem dzikiém.

Zdjęta Pityjskim zapałem,
Do głębi zbezprzytomniała,
Z tęsknoty za Ideałem,
Wyobraźnia — oszalała.

. . . .

Ludzie jéj niepoznali. Zdumieni, struchleli,
Szukając nówéj nazwy zmiennemu zjawisku,
»To Fantazja!« Wykrzyknęli.

. . . .

Czasem, wraca jéj spokój, lecz tylko w przebłysku.

. . . .

Odtąd, wróżko! twa postać w dwóch kształtach
[migoce.
Życie twe jak widnokrąg ma swe dnie i noce.
Pogoda ci się dziwi i burza zazdrości.

Jak Bosfor, gdy dwa prądy przeciwne nim chwieją,
Pomiędzy Europą waha się i Azją,
Tak ty, dwóch brzegów ducha chwytasz się koleją.
Dziwna! Tyś Wyobraźnią w chwilach przyto-
[mności,
W dniach obłąkania, Fantazją.

1860.

PIEŚŃ WĘDROWCA.

Cierń się czepia na méj szacie —
Czasem znajdę kwiat na drodze.
»Zkąd przychodzę?« Wy pytacie —
Ach, ja niewiem zkąd przychodzę!

Czuwa w gąszczu zdrada skryta —
Wtedy kosztur zmieniam w dzidę.
»Dokąd idę?« Każdy pyta —
Ach, ja niewiem dokąd idę!

Pytam gwiazdy, ptaszka, zdroju,
Kto mię wysłał i do kogo?
Nic powiedzieć mi nie mogą,
Tylko mówią! »Idź w pokoju!«

Wieczne pędzą mię zawieje —
Nigdy wrócić się nie mogę!
Tylko serce mię ogrzeje —
Tylko myśl rozświeci drogę.

Jestem smutny, bo wędrowiec.
Nigdy niewiem jak cel bliski?

Iść zacząłem od kołyski,
Muszę iść aż po grobowiec —
Iść w dolinie marzeń złotéj,
Po skalistym cierpień szczycie,
I przez wielki step tęsknoty...
Dziwnaż to wędrówka, życie!

. . . .
. . . .

Co tak błysło nad pomroką?
Z po-za czasu i przestrzeni,
Coś wyjrzało, niby oko,
Uwiązane z trzech promieni.

Błysk lotniejszy był niż gromy,
Lecz pokazał drogę całą.
Rozpoznałem kraj znajomy...
Serce sobie przypomniało,
I zkąd idę i do kogo,
I co budzi żal sierocy?
Ja powracam! — Życie drogą —
Świat gospodą jednéj nocy —
Lecz już zorza iskry krzesze,
Już ojczyzna niedaleka...
Ze zdobytym skarbem spieszę —
W domu, Ojciec na mnie czeka!

1860.



ODA DO CZYNU.

STROFA.

Na ciernistém bezdrożu śmiertelnego świata,
Myśl, piorunem rozdziera krąg tajemnic chmur-
[ny —
Srebrne słowo, na skrzydłach śpiewających lata —
Miłość, zasadza róże do życiowéj urny.

ANTYSTROFA.

Ale jakże przelotnie, szafirowo-oki,
Białą stopą gazelli, przebiegasz orszaku!
— Piorunowy szlak myśli rozedrze obłoki,
I ciemność jeszcze głębsza zostanie po szlaku.
— Ptak słowa, drżąc ucieknie w utopję błękitną,
I cisza jeszcze głuchsza zostanie po ptaku.
— Róże z krzaków miłości, pobladłszy, okwitną,
I zima jeszcze łzawsza zeszkli się na krzaku.

EPOD.

Tylko on, z nad tego tłumu,
W blasku żelaznéj korony,

Z pod amjantowéj opony,
Świeci groźny, niewzruszony —
Namiętności i Rozumu,
Marmurowy syn:
Czyn.

STROFA.

Czy ma postać prostaczka, czy skroń bohatera,
Czy kańczug potępieńca, czy palmę anioła,
Jak starożytne Fatum nigdy nie zamiera,
I coraz szerszém echem w nieskończoność woła.

ANTYSTROFA.

Bez czynu, świat by leżał jak rola bez plonu.
Myśl bez czynu, to xięga gdzie niestaje końca —
Słowo niebrzmiące czynem, to wieża bez dzwonu —
Miłość w czyn niedojrzała, to wiosna bez słońca.
—Nikt z nim brylantowego nie podzielą tronu.
Stalowa myśl, to tylko klucz do jego bramy —
Słowo tylko skowronkiem u jego zagonu —
Miłość tylko pochodnią z którą go szukamy.

EPOD.

Któż błyskotliwą nadzieję,
W posąg wspomnienia uleje?
Któż i gwiazdom nie zazdrości,

Bo gwiazd więcéj kładzie w dzieje?
On to, Czasu i Wieczności,
Nieśmiertelny syn:
Czyn.

STROFA.

A dziwna jego płodność. Na hańbę czy chwałę,
Mnoży się, roi, rośnie, — i w dzień Jozafatu,
Struchleje świat, gdy Czyny w ów dzień zmar-
[twychwstałe,
Wyjdą ze swém potomstwem na świadectwo
[światu.

ANTYSTROFA.

Ach, gdy widma ich staną przed stolicą Pana,
Któż z nas rąk nie załamie, i oczu z rozpaczą
Nie spuści? Może wówczas niejedni zapłaczą,
Że taka moc jak czynu została im dana!
Jeżeli raz przeklętą będzie myśl fałszywa, —
Dwakroć słowo — potrzykroć miłość zfałszowa-
[na, —
To czyn fałszywy, przekleństw siedemkroć przy-
[zywa.
Czyn fałszywy jest synem Duszy i Szatana.

EPOD.

Ale jakaż zeń potęga,
Gdy go Prawda w biel obleka!

Kto w swój rydwan przyszłość wprzęga?
Kto siódmego nieba sięga?
On to, Cnoty i Człowieka,
Przepromienny syn:
Czyn.

1861.

PIOSEŃKA PRZY GOTOWALNI.

Jestem sobie dziewczę młode!
Świat obmowny o nas głosi,
Że lubimy zmieniać modę.
Fałsz! Ja zaraz wam dowiodę,
Że jak świat jest na swéj osi —

Dwie nam dano tylko mody:
Albo habitowy len,
Albo rąbek Panny Młodéj.
Bierz koniecznie, ten lub ten.

Że tam jedna na miljony,
Śmiała nosić liście wieszcze,
Lub hełm gwałtem wywalczony,
Albo jakiś cień korony,
A! To »modą« nie jest jeszcze.

Chwile płyną szparką strugą...
Nieraz łaje mi brat mój,
Że się stroję nazbyt długo.
Właśnie mię też w głowie strój!

Myśli kto, że ile razy
Na źwierciadko spojrzę moje,
To przypinam kwiaty? Gazy?
Lub naprzykład o kim roję?
I dlatego długo stoję?

Bajka! Ja nie świécidełka,
Nie uśmiechy marzę. Nie!
Zapatrzona w głębie szkiełka,
Inne ja źwierciadła śnię!

Gdybym była bohaterką?
Takiéj stal zbyt nie obarczy,
Co słuszności jest rycerką.
Tarcza gładka jak lusterko..,
Cudnież się to przejrzéć w tarczy!

Być natchnioną? Wyższy wdzięku!
Z grot Sybilli tryska zdrój...
On źwierciadłem w Prawdy ręku.
Tam się przejrzéć, Bożeż mój!

Być królową? Bądź ostrożna...
Berło nadto daje trudu.
By dogodzić, trzeba cudu.
Tak... Lecz błogoż, gdy się można,
Przejrzéć w sercu swego ludu!

Dziwią mędrków myśli śmiałe?
Czemuż im się dziwią tak?

Jeśli chłopiec marzy chwałę,
To przyszłości wielkiéj znak.

A niby to Bóg, kobiecie,
Nie dał równéj żądzy chwały,
Jak tym panom, co świat cały
Wiodą? Ładnie go wiedziecie!
Tak, że zawsze źle na świecie.

Oto sześć tysięcy lat,
Jak rzekliście: »Piękne panie,
»Siądźcie, patrzcie co się stanie:
»Będziem urządzali świat.«

Sztuka, prawda że ciekawa,
Mało z ócz nie pryśnie dusza...
Ależ straszna! Ależ krwawa!
Na trajedję zbyt zakrawa,
Nerwy nadto nam porusza.

My, spróbujmy sił w dramacie.
Teraz *my* urządźmy świat!
Na tę próbę, téż nam dacie,
Z jakie sześć tysięcy lat.

Czy los twardy się ugłaska,
Gdy poczuje dłoń kobiecą?
Zobaczymy! Lecz dni lecą...
I cóż robić, jeśli łaska?
Najprzód, mody zmieńmy nieco.

Nie myślimy, (brońcież nieba!)
Ni ślicznego stroju gód,
Ni habitu zrzec się. Trzeba,
Dodać tylko parę mód.

Kto wié? Ziarnko niesie plony.
Może z próbką tak nieznaczną,
Lepiéj będzie świat rządzony,
Gdy kobiéty nosić zaczną,
Hełmy, laury i korony?

1861.

ODA DO PRZYRODY.

STROFA.

Gdy mi w duszy jest radosno,
Gdy nadzieje w sercu rosną,
Wtedy w szumnym drzew pokłonie,
I tętniącym jaskiń dzwonie,
W cienkostrunnym brzęku pszczółki,
W cymbałkowych szkłach rzeczułki,
W gadającéj blaskiem gwiazdce,
I w słowiczéj opowiastce,
I w szemrzącym sianokosie,
I spokojnym trzody głosie,
W złotym kłosie, srebrnéj rosie,
I w pękaniu wszystkich kwiatów,
I w symfonji wszystkich światów,
Słyszę własnych uczuć echo.
Gdy mi błogo, gdy mi młodo,
O radosna, o przyrodo,
Ty się dzielisz mą uciechą.

ANTYSTROFA.

Lecz gdy żal za serce chwyta,
Gdy zgryzoty dłoń ukryta,

Piołunowy kielich poda,
Wtedy nie zna mnie przyroda,
I koło mnie krąży w ciszy,
A mych skarg niby nie słyszy.
Czy kto cierpi, czy kto kona,
Czy kto oszaleje, — ona,
Obojętna, niewzruszona,
Dzierga wiecznie sieć promieni,
Na zwaliskach się zieleni,
Pod więzienną kratą kwitnie,
Nad kostnicą lśni błękitnie,
I po grobach i kołyskach,
Ucztach i pobojowiskach,
Równo tkając roczne pory,
Płaszcz zarzuca jednowzory.
Bezsercowa ty! Przez chwilę,
Na twéj różczki znak mistrzowski,
Rozdmuchnięte jak motyle,
Mogą pierzchnąć lekkie troski.
Lecz namiętnéj skorpjon męki,
Lecz myślowéj sęp katuszy,
Na skinienie twojéj ręki,
Nie ustąpią z ludzkiéj duszy.
Suchém okiem zapatrzona,
W tygiel życia jak świat wielki,
Ty stokrotne masz imiona,
Wszystkie, — prócz pocieszycielki.

EPOD.

Bądź-że mi więc mistrzynią! Twe zimne uśmiechy,
Nad niedolą człowieczą, nad losów rozstrojem,
Stoiczny hart i w sercu rozbudziły mojém.
Nie żebrzę twéj litości. Nie chcesz dać pociechy?
Daj więcéj: wzór! Od ciebie uczę się pogody.
Kto długo wzrok zatapia w obliczu przyrody,
Ten wstanie z Olimpijskim na czole pokojem.
Więcéj dajesz! Spokojność w zachwyt się prze-
[mienia:
Z twych liści, kwiat najwyższych zagadnień wy-
[strzela.
Kto mądrze umié patrzéć w zasłonę stworzenia,
Ten przez jéj tkankę dojrzy rękę Stworzyciela.

STROFA.

Gdy wyprawiasz w oczach ludów,
Widowisko ciągłych cudów,
Gdy podajesz nam przez fale,
Bisior, bursztyn i korale,
Gdy podajesz nam przez góry,
Złoto, brylant i marmury,
Gdy rozwieszasz na szafirze,
Wysadzaną gwiazd paiżę,
Rubinowe zórz zegary,
I puszyste chmur kotary,

Gdy nabijasz dla nas łąki,
W mozajkowe kwiatów pąki,
Gdy z kolibrzéj świecisz krasy,
Jedwabnikom tkasz atłasy,
Tęczą wiążesz ziemię z niebem,
Łan poszywasz świętym chlebem,
I jak wieńce do biesiady,
Zaokrąglasz winogrady,
Gdy zbratawszy się z człowiekiem,
Dwakroć wnosisz jego zdrowie,
Jedno miodem, drugie mlekiem,
Gdy mu kładziesz pod wezgłowie,
Puch łabędzi, krętą wełnę,
I sobole iskier pełne,
Gdy mu dajesz na usługi,
Barki wołu, lot rumaka,
I gołębi gończe cugi,
I sokoła za dworaka,
I psy wierne za odźwierne,
I kokoszkę za szafarkę,
I jaskółkę za wróżbiarkę,
Aż napełnisz dom jak arkę,
Kiedy w każdém ziółku małém,
Puzdereczko masz z kordjałem,
Co od jadu zabezpiecza,
Sen przywabia, ból ulecza,
Wtedy ciebie błogosławię,
Śpiewam Pean ku twéj sławie,
Przyjaciółko ty człowiecza!

ANTYSTROFA.

Lecz gdy wiążesz z fal wylewu,
Srebrną rózgę twego gniewu,
Gdy naszywasz z łun pożaru,
Krwawy znak twego sztandaru,
Gdy w kolczaste zbrojna mrozy,
Lawinowe pędzisz wozy,
Gdy się snem Fata-Morgany,
Naigrawasz z karawany,
Gdy powierzasz twe rozkazy,
Cichoskrzydłym ćmom zarazy,
Gdy twa zemsta moc wytęża,
Z ócz tygrysa, wideł węża,
Gdy magiczna twoja laska,
Na pioruny się roztrzaska,
Gdy przez gardziel oceanu,
Pękającą chłoniesz nawę,
Gdy nalawszy kadź wulkanu,
Miasta żywcem kładziesz w lawę,
Gdy wypruwszy ziarna z łanu,
Głód u pustych sadzasz stołów,
Gdy przez trąbę huraganu,
Głosisz sądny dzień żywiołów,
Gdy urągasz nam zwycięzko,
I bezmyślność masz na twarzy,
Gdy owijasz jedną klęską,
Sprawiedliwych i zbrodniarzy,

Wtedy kładąc dłoń u powiek,
Pół ze wstydem a pół z bólem,
Pytam cicho: Jakże człowiek,
Może zwać się twoim królem?

EPOD.

A jednakże gdy widzę, jak codzień twa xięga,
Nowe, hieroglificzne wydaje nam słowo,
Jak się dla oczu mędrców stajesz kryształową,
Jak postęp sturamienny sił twoich dosięga,
Rozhukane ujarzmia i w swój rydwan wprzęga,
Gdy widzę, (ach dziwniejszy, Edeński obrazie!)
Jak u stóp Świętych Pańskich kładziesz się ła-
[skawa,
Głos dawnego monarchy poznajesz w rozkazie,
I do wyższych praw cudu naginasz twe prawa,
Radośnie wołam: Witaj, zmiękczona w urazie!
Jeszcze więc nawiążemy przymierze rozprute!
Ów odkoronowany, czyniący pokutę,
Król-człowiek, jeszcze może wrócić do djademu!
Panowanie nad sobą niegdyś utraciwszy,
Stracił je i nad tobą. Los najsprawiedliwszy,
Sługa poszła w ślad pana. Bunt zbuntowanemu.
Odzyskać tron, to jego stuwiekowa praca.
Szczęsny, gdy żółwim krokiem rozumu, — szczę-
[śliwszy,
Gdy orlim rzutem cnoty, na majestat wraca.

1862.

SKARGA POETY NA LUTNIĘ.

Zaledwie wybiegłem z lat pierwszych poranka,
Ty lutnio zabłysłaś tęsknocie młodzianka.
Twe siedem strun złotych, jak siedem warkoczy,
Oprzędło mi serce, olśniło mi oczy,
I odtąd ci służę z wiernością kochanka.

Posyłasz mię codzień, by który ze światów
Zdobywać dla ciebie. Wśród walk tych i czatów,
Mów, jakąż nagrodą wzmocniłaś mi duszę?
Cudowna dziwaczko! Poskarżyć się muszę —
Poskarżyć przed sądem gwiazd, kobiet i kwiatów.

Od czasu gdym wróżkę ukochał tajemną,
Cóż z tego, że widzę dnie przyszłe, gdy ciemno,
Tém ciemniéj w obecnych? Jam niegdyś miał wolę!
Dziś błądzę jak senny w magiczném snów kole,
Częstokroć sam nie wiem co dzieje się ze mną?

Gdy życie dla innych uchodzi zegarem,
Mnie chwile się mącą wieczności twéj czarem.
Świtaniem piosenki rozbudzasz mię w nocy,
Moc dajesz duchowi gdy ręka w niemocy,
Z istnością mą igrasz jak wiatr ze sztandarem.

Grom każesz mi śpiewać gdy niebo w pogodzie.
Myśl w bitwę porywasz gdy marzę w zagrodzie.
Ileżkroć poeta chciał śpiewać myśl inną,
A inną wyśpiewał! Czyż tak być powinno?
Dla czegóż tak rzadko pieśń z życiem jest [w zgodzie?

Częstokroć gdy rzeknę: »Pieśń dzisiaj uleję,
»Pieśń wielką i nową«. Choć puszczę się w knieje,
I siądę na grobach, sto razy trop zmienię,
I pukam, i pytam: »Gdzie znaleźć natchnienie?«
Natchnienie gdzieś pierzchnie, a lutnia się śmieje.

Aż kiedy strudzony szturmami próżnemi,
Jak prosty syn ziemi chcę użyć praw ziemi,
Gdy sale biesiadne od świateł się trzęsą,
Gdy radość migoce pod czarną dziew rzęsą,
Gdy przecie gwar ludzki mą tęskność oniemi —

Natenczas się lutnio głos budzi w twém łonie!
Ta dumna się prosi, drga w sercu jak w dzwonie,
I muszę porzucać puhary, uśmiechy,
Powracać do lampki samotnéj z pod strzechy,
I zrzec się róż w życiu, dla listka po zgonie.

Tak w słońcu czy w burzy, od nocy do ranka,
Od ranka do zmroku, przekorna sułtanka,
Próbuje mię, dręczy rozkazy sprzecznemi.
To gwiazdki chce z nieba, to skarbu z pod ziemi.
I zawszeż mam tańczyć, jak zagra niebianka?

O! Wiem ja czém przyciąć te skrzydła swawoli!
By śpiewać, nie spytam czy lutnia zezwoli?
A kiedy głos lutni sam przerwie mą ciszę,
Odejdę i udam że prośby nie słyszę.
Tak zmuszę natchnienie, by szło po méj woli.

Kto woła? To ona... Jak wyrwać się z koła?
O szczęście! Już czuję promienie u czoła.....
Królowo! Rozkazuj i przebacz méj dumie.
Poezjo, ty jesteś jak miłość! Któż umié
Powiedziéć: »Nie pójdę!« gdy jedna z was woła?

1863.

ODA DO POKOJU.

STROFA.

»Pokoju! Ach pokoju!« Wołają żywioły.
Rzeka pochłania strumień — rzekę chłoną morza.
Sokół ściga skowronka — sęp ściga sokoły.
Noc zwalcza brzask wieczoru — z nocą walczy
[zorza.
Dąb ciężarem gęstwiny przytłacza krzew z różą —
Burza wyrywa dęby — słońce walczy z burzą.
Pod wonnym kwiatem, leży jadowita żmija —
Szyderczy robak toczy serce bohatera.
Od wymoczka do orła, wszystko się pożera —
Od orła do człowieka, wszystko się zabija.
W przepaścistościach niebios, moc rozdzierająca,
Pierś mgławicy na kruche planety roztrąca —
Ogień gryzie planetę paszczami wulkanów —
Woda bije się z ogniem szponami orkanów —
Powietrze glob owija całunem pomorów.
Co żyje, żyje tylko śmiercią innych tworów.

ANTYSTROFA.

A jednak są przestworza, gdzie cichną żywioły,
Gdzie nie słyszysz fal zgrzytu, ni szczęku pio-
[runów.
Tam Śmierć swoje lodowe buduje kościoły,
Których bożyszczem: Nicość. To kraje biegunów.

EPOD.

Ojcze! My Cię nie błagamy,
O téj zimy sen żałosny,
Lecz o żywy spokój wiosny.
Otwórz znowu rajskie bramy,
By przyrody pieśń zaranna,
Wieczne niosła Ci »Hozanna!«

STROFA.

»Pokoju! Ach pokoju!« Wołają narody.
Gdzie go znaleźć? Tu zbójca na rozdrożu czyha —
Tam żołdak wieś podpala — ówdzie zdrada cicha,
Ze złowieszczym szelestem podkopuje grody —
W domu Bożym kolumna pada na kolumnę —
Anioł rodzinny z krzykiem ucieka od zgliszczy —
Za rydwanem tryumfu idą hufce, dumne,
Że ich trud jednodniowy, pracę wieków niszczy.
Narody się rozsiadły na dziejowéj stypie —
Grają w kości... człowiecze. — Co mogło sowicie
Wyżywić pokolenia, to zwycięzca zsypie
W ciasny kraj płaszcza. — Życie, to bitwa o życie —

Biesiada ludożercza — głód nienasycony.
Nie ciesz się synu ziemi w nadziei zwodniczéj,
Abyś miał kiedy spocząć! Jeśli dla zdobyczy
Nie walczysz, będziesz musiał walczyć dla obrony.

ANTYSTROFA.

A jednak są krainy, z powietrzem tak cichém,
Że strzel, a świstu własnych nie usłyszysz grotów.
Tam Wojna śpi, bo krwawym spiła się kielichem.
To bieguny społeczne: krainy Ilotów.

EPOD.

Synu! My Cię nie błagamy,
O ten spokój, co narody
Zamarzłemi dławi tamy,
Lecz o spokój wolnéj zgody,
Co pod krzyżem jak dzwon buja,
Głosząc dziejom: »Alleluja!«

STROFA.

»Pokoju! Ach pokoju!» Wołają sumienia.
Gdzież walka potężniejsza jak pod niebem duszy?
Tam pole się najdroższą krwią serca zrumienia —
Tam za Boga samego Wiara kopje kruszy.
— Namiętności, jak wojsko ruszyły gwałtownie —
Tratują ziarno szczęścia uzbierane z laty —
Obległy granitową przekonań warownię.
Szturm straszny. Bój wątpliwy. — Któż pierwszy [na czaty

Zejdzie? Niewinność zbiegła z kryształową zbroją.
Wśród bitwy nie drżę o nią. Po bitwie, truchleję,
Czy Pokusy jéj senną rozkoszą nie spoją?
Rozum jéj niesie odsiecz — może i nadzieję?
Lecz i Pokusy mają swój Rozum. Przed światem,
One braćmi, — i Kain Ablowi był bratem.
— Wytrwają-ż białe siły w oblężeniu ducha?
Ach biada! Czarne wojsko roi się bezmiernie,
Celniéj strzela, i karniéj swych przywódców słucha.
Białe, wtedy zwycięża, gdy walczy na ciernie.

ANTYSTROFA.

A jednakże są dusze, którym bój nieznany.
Te się o nieśmiertelne nie pokuszą łupy.
U nich myśl tylko jedna: z bitew ujść bez rany.
Więc przypadły do ziemi — i udają trupy.

EPOD.

Duchu! My Cię nie błagamy,
O ten spokój serc bez troski,
Którym dosyć ziemi saméj,
Lecz o cnoty spokój boski,
Co i w śmierci, tryumfator,
Może wznieść »Veni Creator!«

1863.

ODPOWIEDŹ.

Samotne dziewczę szło daleką drogą.
»Czyż cię« pytano »samotność nie nuży?
»Czemuż z wędrowców nie wybierzesz kogo,
»Za towarzysza podróży?«

— Jeśli się znużę, sama wam obwieszczę.
Widzę was wszystkich, od wszystkich odchodzę.
Nię, — ten którego wiernie czekam, jeszcze
Nie przeszedł po mojéj drodze.

»Niewidzianego jakżebyś poznała?«
— Jak? Niepodobny on tu do nikogo.
Wiem, bo w méj duszy obraz jego pała.
Nie, jeszcze nie szedł tą drogą.

On gdzieś jest... czuję to po serca biciu.
Gdzie? Dotąd nie wiem. Na ziemi? Czy słońcu?
Czy jakiéj gwieździe? Spotkam go przy końcu,
Lecz może aż w innėm życiu.

1866.



PTAK I DZIEWCZĘ.

Oj przecudnież to tam w lesie!
Co szeptania! Co igraszek!
Wiatr po liściach płosnkę niesie.....
Kto tak śpiewa? Ptaszek.

Na kibici gnąc się gibkiéj,
Dziewka siadła w cieniu drzewa.
Ma w koszyku złote grzybki,
I ona téż śpiewa.

Chce przygasić piosenkarza,
Wyśpiewuje z całéj duszy.
Ptak się dziewce przekomarza,
Aż gardziołko puszy.

Wielka cichość legła w borze;
Chciałby słyszéć ich oboje,
Lecz zrozumiéć nic nie może;
Ten swoje, ta swoje.

Zatém prośbę im szeleści:
»Moja paro ty nadobna,
»Śpiewaj piosnkę jednéj treści,
»Lub każdą z osobna.«

— »Jakto?« Ptaszek woła w dumie.
»Czyż to znaczy, że ta dziewa,
»Co się w niebo wzbić nie umié,
»Lepiéj niż ja śpiewa?«

A dziewczyna: »To ja może,
»Nie bywałam sercem w niebie?
»Ja mój ptaszku się założę,
»Iż prześpiewam ciebie.«

Ptak nie waha się ni chwili.
— »Czyjże« pyta »wyrok będzie?«
Tu na jedno się zgodzili:
»Las weźmy za sędzię.«

Do ich woli bór się skłania,
I te słowa szumnie huką:
— »Trzy postawię wam zadania.
»Do trzech razy sztuka.«

Na lesistéj, krągłéj łące,
Ptak i dziewczę stają w szrankach,
Widzów piętrzą się tysiące,
Po zielonych gankach.

W górze, same drzew korony.
Niżéj, kwiatów dwór jaskrawy.
Jeszcze niżéj, mchów i trawy,
Lud nieprzeliczony.

Skrzętne mrówki, krzepkie pszczółki
Pracujące w słodkim cechu.
Dziarskie wilgi, i kukułki,
Grające na echu.

Zdrój, czekając z niepokojem,
Gadatliwą wstrzymał pianę.
I jelenie po-nad zdrojem,
Stoją zasłuchane.

Nawet wilki na tę chwilę,
Zawiesiły wieczną wojnę.
W koło szranków mkną motyle,
Jak heroldy strojne.

W gąszcz od czasu też do czasu,
Ciekaw, zbiegnie promień słońca.
Tłum prześliczny, tłum bez końca,
Obsiada cyrk lasu.

Strach, szermierzy przejął skrycie,
Gdy ujrzeli tyle gości.
A las szumi: »Zanucicie
»Piosnkę o Radości.«

Ptak zaśpiéwał. Blednie dziewka.....
Któż podobnie śpiewać zdoła?
Dość powiedziéć, że ta śpiewka,
Jak ptaszek wesoła.

Ni przeczucie, ni wspomnienie,
Tam nie rzuca cienia troski.
Piosnka dzwoni jak w Edenie,
W pierwszy ranek boski.

Skończył. — Dziewka zaśpiéwała.
Głos jéj czysty, dźwięki złote,
Lecz wesołość jéj nieśmiała,
Trąca o tęsknotę.

Pokręciły głową drzewa,
Zkąd w radości smutek rośnie?
I wyrzekły jednogłośnie:
— »Ptaszek lepiéj śpiewa.«

Oh, jak dziewczę mu zazdrości!
Całe mieni się w szkarłacie.
A bór szumi: »Zaśpiewacie,
»Piosnkę o Miłości«.

Ptak i dziewczę, po kolei,
Głos namiętny z piersi wznoszą.
Kwilą trwogą, drżą rozkoszą,
Wirują w nadziei.

A tak serce równo bije,
W tamtym śpiewie i tym śpiewie,
Że gęstwina sama niewie,
Które dźwięki czyje?

Jak podcięty przez żelazo,
Las w najgłębszéj zadrgnął dali,
I zawołał: — »Ach, tą razą,
»Oboje wygrali.«

Potém, długa drzew narada.
Sędzia szuka trzeciéj treści.
— »Zaśpiewajcie mi« — powiada,
»Piosnkę o Boleści.«

Głos dziewczęcia brzmi po rosie,
Brzmi łkająco... rozhukanie.....
Otwierają się w tym głosie,
Bezdenne otchłanie.

Coraz rzewniéj, coraz smętniéj,
Żal wybucha, pieśń się kruszy.
Cała wielkość ludzkiéj duszy,
Łzą w jéj głosie tętni.

I ptak skarży się i zżyma,
Jakby gniazdka bronił czule.
Ma w głosiku różne bóle,
Tylko łez w nim niéma.

Las oniemiał jakby skała,
Potém westchnął po cichutku,
I dał wyrok: »W pieśni smutku,
»Dzieweczka wygrała«.

Ta spłonęła niby róża,
Tryumf osiadł u jéj czoła.
Lecz ptaszyna się oburza,
I szydząco woła:

— »Czyż uchwała sprawiedliwa?
»Jedném słówkiem ją odmienię:
»Tam gdzie chodzi o cierpienie,
»Kto przegrał, wygrywa.«

1866.

PORWANY WICHREM.

BALLADA.

Chata w dolinie, i chata na wzgórzu.
Pstro w ich ogródkach jakby w piórze pawiém;
Nasturcje płoną wśród malw i jarmużu,
A studnia skrzypi żórawiem.

Krzepko pracują w chatach gospodarze.
Syn u jednego, u drugiego córka.
Przez nich się wiąże, jako powieść każe,
Miłość doliny i wzgórka.

On tęsknie patrzy na ptaki skrzydlate,
Chciałby świat zmierzyć, wichrowi zazdrości.
Ona, co lubi? Swą trzodę i chatę.
Podobni, tylko z miłości.

On jakby potok zbiega do niéj z góry,
Ona jak powój ku niemu się wspina.
— Lecz krótko szczęście kwitnie jak dolina!
Szczyt jego, przyciąga chmury.

W przeddzień wesela, gdy dziewczę bez troski,
Rwało rozmaryn do ślubnego wieńca,
Przyszedł nieznany czarodziej do wioski,
I rzucił czar na młodzieńca.

Czemu? Czy w jego zakochał się dziewie?
Czy mu znak orli wyczytał na czole?
Niewiem, — nikt myśli czarodzieja niewie —
Lecz tak wykonał swą wolę:

Wziął pęczek cierni, wziął pióro łabędzie,
Pod próg podłożył, przysnuł zielem dzikiém.
— Wybiega z chaty młodzieniec, i w pędzie,
Na progu staje z wykrzykiem.

W téj chwili słońce wydało się bledsze,
Nadpełzła chmura gromami nalana,
Wicher zahuczał, uderzył młodziana,
Wzniósł go, i porwał w powietrze.

Porwany wichrem szarpie się w rozpaczy.
Woła... głos jego stłumiła zawieja.
Spojrzał ku ziemi: widzi czarodzieja,
Lecz jakże widzi inaczéj!

To już nie człowiek o podróżnej szacie.
W ręku wywija różczką piorunową,
Na tle z błyskawic, stoi w majestacie,
Z niebieską gwiazdą nad głową.

I woła głosem co jak złoto dźwięczy:
— »Odtąd ci życie będzie promienistszém.
»Pokłony orłów i kochanie tęczy
»Zdobędziesz, bom ja ci mistrzem.

»Ale o ziemi zapomnij na niebie.
»Rozstań się z marnym dziewczęcia obrazem.
»Nieba i ziemi nie można mieć razem.
»Jam niebo wybrał dla ciebie.«

Wionął czarodziej niby mgła zwodnicza.
— A pleban czeka w kaplicy bieluchnéj,
Jadą drużbowie trzaskający z bicza,
Na wozach świergocą druchny.

Spieszą się, słyszą nadchodzącą burzę.
Spojrzeli w niebo, i mowę stracili.
W chmurze! Młodzieniec mocuje się w chmurze,
Błagalnie dłoń ku nim chyli.

Kto go dosięgnie? Kto rękę mu poda?
Chłopcy bezsilne wytężają ramię,
Kobiety płaczą, ach! a Panna Młoda?
Upada i rączki łamie.

Porwany wichrem, bez wytchnienia wzlata.
Już chat nie widzi, już nie słyszy głosów.
Cicho, i jakby przed stworzeniem świata,
Znalazł się sam wśród niebiosów.

Zrazu, trwożliwy był lot podróżnika.
Drżał czy nie spadnie? Czy nie trąci gromu?
Ale do nieba szybko się przywyka,
Duch czysty, tam jest jak w domu.

Nie znał pragnienia, ni męki głodowéj.
(Człowiek pod czarem ich nie zna). Z rozkoszą
Muskał błękity, co jak nurt go wznoszą,
Wyuczał się ptasiéj mowy.

Orzeł na ręku mu siadał jak chwała.
Nizko pod stopą miał chmury i klęski.
Tęcza pokoju w nim się zakochała,
I łuk mu wzniosła zwycięzki.

Leciał dni wiele. Doleciał do słońca.
Tam prawda świeci, od światłości czystsza.
Tam się napatrzył tajemnic bez końca,
W mądrości doścignął mistrza.

Szczęście samotne! Rozkosze surowe!
Na życie twarzą spoglądał pogodną,
Modra mu gwiazda spłynęła nad głowę,
Lecz w sercu — było mu chłodno.

Czasem go wicher opuszczał ku ziemi.
Raz, przez szczelinę rozdartą w obłoku,
Spostrzegł dwie chatki z ogródkami pstremi,
I łza zadrżała mu w oku.

Wszystko z wysoka wydaje się cudniéj.
Zatęsknił orzeł do strzechy gołąbka.
Ach... czy to ona? Z pod kraśnego rąbka,
Poznał swe dziewczę przy studni.

Oczy fartuszkiem otarła, i drogą
Idzie, a patrzy w tę tam chmurkę ciemną,
Jakby na niebie wyglądała kogo.
On woła, lecz nadaremno.

Nie słyszy! Z sierpem odeszła do żniwa.
On walczy z wichrem jak w dzień pierwszéj burzy.
— Uczucie ludzkie, im tłumione dłużéj,
Tém się gwałtowniéj wyrywa.

Przy swojéj chacie ujrzał czarodzieja.
Ten milcząc, jego przyglądał się męce.
W serce młodzieńca wróciła nadzieja;
Zawołał, składając ręce:

— »Szczęścia! Miłości! Lub z tęsknoty zginę!
»Wzniosłeś mię cudem. Ach, co mi po cudzie?
»Oddaj mi strzechę! Oddaj mi dziewczynę!
»Chcę żyć i kochać jak ludzie.«

— »Kto zaznał niebo, niech ziemi się zrzecze«.
Mówi czarodziej.
— »Ha mistrzu! W tém niebie,
»I ja zdobyłem siły nadczłowiecze.
»Znam czary, nawet na ciebie.«

Tu promień światła jakby strzałę chwyta,
Ostrze jéj, łzami nasącza własnemi.
Puścił ją... W stopę czarodzieja wbita,
Wskróś go przykuła do ziemi.

— »Mistrzu! Od ziemi ciebie nie wyzwolę,
»Póki nie zdejmiesz czaru nieba ze mnie.«
— Mistrz chociaż cierpiał, miał dumę na czole.
Mistrz się uśmiéchał tajemnie.

— »Gdyś tak potężny, losy twe odmienię,
»Ale pamiętaj: kiedyś, méj obrazy,
»Pomści się własne twych życzeń spełnienie.«
— Tu go odżegnał trzy razy.

Młodzian się spuszcza... Stanął. Jak mu błogo!
Całuje ziemię. — Lekko wyjął strzałę
Ze stopy mistrza, i puścił się drogą,
Radosny jak dziecię małe.

Ściska przechodniów, pędzi do zagrody,
Kłania się nizko ojcu swojéj lubéj.
— »Witajcie!« — Woła. — »Powracam na gody.»
Ojciec uśmiéchnął się z chluby.

Pięknie miéć zięcia co aż z gwiazd przybywa!
— I znów rozmaryn zaplatają druchny,
Pleban ich łączy w kaplicy bieluchnéj,
I para żyje szczęśliwa.

Czy tu już koniec? O, jeszcze nie! Życie,
Ma drogę dłuższą niż droga powieści.
— Serce młodzieńca ze szczęściem się pieści,
Lecz myśl zostawił w błękicie.

Gdy tęcza błyśnie, gdy orzeł przeleci,
Żal go podrywa, iskrzą mu się oczy.
Nawykł do rzeźwéj, wichrowéj zamieci —
Powietrze dolin go tłoczy.

Coraz mu puściéj wśród ludzkiego gwaru.
Istnienie jego na dwoje się kruszy.
Ach, on nie wiedział, że mistrz, z jego duszy,
Zdjął tylko połowę czaru!

Duszno mu w chacie, wybiega na pole,
Podniósł ramiona do wyższego świata,
I, o radości! Gdy wytężył wolę,
Uczuł że znowu podlata.

— »Teraz mię troski nie dościgną żadne!
»Tam będę wielki, tu będę kochany.
»Czy zechcę wzlecić czy zejść, na przemiany,
»Niebem i ziemią zawładnę.«

Jak rzekł, wykonał. Niekiedy, nieśmiało,
Latał na chwilę między wyższe moce.
Lecz co tam jemu chwilą się zdawało,
To były tu, dnie i noce.

Spokojne szczęście w chacie się zamąca.
Żona wygląda z podejrzliwą trwogą.
— »Gdzie tak odchodzisz?« Pyta go, i drżąca,
Dodaje ciszéj: »Do kogo?«

Mąż się daremnie na wierność zaklina,
Niewiasta płacze lub milczy z żałobą.
Chce do pagórka dorosnąć dolina,
I prosi go: »Weź mię z sobą!«

I wziął ją z sobą w potężne ramiona.
Lecą. Struchlała w niebieskiéj pustyni.....
Blednie, lecz krzyki zapiera w głąb' łona.
Miłość odważną ją czyni.

On ją unosząc, mdleje od ciężaru.
Gdzie nie drżał dawniéj, tam o nią się trwoży.
I coraz rzadziéj latają w świat boży.
Na dwoje mało pół czaru!

Aż dnia jednego, gdy wzlecieli rano,
(Mówił mi starzec, świadek owéj chwili),
Czekano długo, bez końca czekano,
I nigdy nie powrócili.

Czy śmierć ich zaszła w niebezpiecznéj jeździe?
Czy się rozwieli w tym ciągłym powiewie?
Czy zamieszkali na szczęśliwszéj gwieździe?
Nikt w wiosce do dziś dnia niewie.

Chaty się chylą, chwast buja do koła.
Niekiedy lirnik na gruzach tych stanie,
Od siwych ludzi usłyszy podanie,
Siądzie przy studni, i woła:

»Porwany wichrem, to obraz genjuszu.
»Ideał rzuca na niego zaklęcie,
»A rzeczywistość go ściąga w objęcie.
»Któż znajdzie klucz ich sojuszu?«

1866.

Z SZUMÓW LEŚNYCH.

Przed laty wielu, może przed tysiącem,
Przez pełną ciemnic i postrachów puszczę,
Pod noc, wędrowiec szedł z sercem bijącém.
Jakże mu nie drżéć? W bagnisku co pluszcze,
W echu co huka, w rozłomach co trzeszczą,
Słyszał wyraźnie głosy leśnych bogów,
A ich obecność była mu złowieszczą.
Człowiek naonczas miał w żywiołach wrogów.

Kraj nasz był jednym niezmierzonym lasem.
Po nim drapieżne hulały zwierzęta,
A mgła wyziewów pod słońcem rozpięta,
Tłoczyła piersi. Człowiek, tylko czasem
Wyprosił sobie jakie gniazdko małe.
Ilekroć stawał z siekierą pod drzewem,
Truchlał przed mściwym bogów leśnych gniewem.
Dla przebłagania, święcił im na chwałę
Nietknięte gaje. Tak zakląwszy dolę,
Z latami, wązką wykarczował rolę.
Jak oblężony w chwiejącéj zagrodzie,

Drżał czy mu wilki nie plądrują w trzodzie,
Czy mu niedźwiędzie nie burzą pasieki,
Stert nie unoszą rozhukane rzeki?
Owad zrojony w topielnym zamęcie,
Tysiącznêm żądłem ścigał go zawzięcie.
Sępy w powietrzu, tury śród manowców,
Niebo i ziemia, wieczyście się biły.
A grzązkie drogi stały jak mogiły,
Znaczone kośćmi niebacznych wędrowców.

Co za szum dziwny wionął po dąbrowie?
Podróżny spojrzał i przeszło go mrowie.
Pijany trwogą, nie może się ostać,
Pada o ziemię czołem niewolnika,
Patrzy raz jeszcze, znów oczy przymyka.

Cóż ujrzał? Z gąszczu wysuwa się postać,
Do chmur wysoka, cała spowinięta
Falą wichrzystą, złotawo-zieloną.
Nad głową, kruki, sowy i orlęta,
Z krzykiem wirują rozprysłą koroną.
Łudzące czary majaczeją z lica,
W czole się zmierzcha groźna tajemnica.

Jak w dobréj doli jest chyżym lot czasu,
Tak widmo szybko przefruwa przez gaje,
Lecz z owéj grozy człowiek je poznaje,
To on: Duch lasu.

O... jeszcze szumi po drzewach... W tym szumie,
Wędrowiec śpiewkę zwycięzką rozumié:

»Święto wam ogłaszam! Święto!
»Póki człowiek nie dorośnie,
»Póki wieńca nam nie zdjęto,
»Hej ! Obchodźmy w każdéj wiośnie,
»Naszego wszechwładztwa święto!«

Bór na to hasło zadarł pyszną głowę.
Drzewa porwane w ruchy orkanowe,
Klaszczą gałęźmi, chwieją się szalenie.
Ptaki pląsają chmurą świergocącą,
Płazy ze świstem tańcują w pierścienie,
Pluskliwym śmiéchem źródliska się mącą,
Żubry i rysie, zbite do gromady,
Zawodząc ryki zwycięzkie i wycia,
Skaczą dziwacznie. Nawet grzyb z ukrycia,
Złośliwie strząsa rdzawokraśne jady.

W tym opętanym przyrody sabbacie,
Wszystko się cieszy, prócz karła-człowieka,
Co skronie cisnąc pięściami, ucieka,
Dopada progu, zamyka się w chacie,
I drży.

Aż powstał z podniesioném czołem.
— »Po co« posępnie zapyta, »pierzchnąłem?
»Wszak i ja w sobie czuję moc tajemną?

»Los się przesila! Kiedyś przyjdzie chwila,
»Że nie ja zadrżę przed ślepym żywiołem,
»Ale świat zadrży przedemną.«

* *
*

I oto dzisiaj, podróżnik wesoły,
Idzie śpiewając po zrzedniałym lesie.
Gdzie tylko echo głos jego zaniesie,
Liście się trzęsą, truchleją żywioły.

Jakże im nie drżéć? Ród cienistych bogów,
Napotkał w ludziach nieprzełomnych wrogów.
Kraj się rozlega niezmierną równiną,
Gdzie kłosy morzem złotodajném płyną.
Ziemia wioskami jak trawą porasta,
Kamiennym lasem wybujały miasta.
Drapieżnych zwierząt szukaj po zwierzyńcach,
Niejedno przeszło w bajeczne już dziwo.
Strach nie śmié chodzić po białych gościńcach,
Gdzie para pędzi wywijając grzywą.

Człowiek Tytanem rozparł się na świecie.
Jak chce, żywioły do jarzma nagina.
Przyszła dla niego odwetu godzina.
Cóż, kiedy miary nie zaznał w odwecie?

Z dymem, plon wieków! Dla kuźnic olbrzyma,
Trzeba paliwa. Szaleje siekiera —

Starodrzew jęczy — puszcza obumiera —
Gaju świętego pod słońcem już niéma!

Co za kształt mignął w oczach podróżnika?
Czy to Duch lasu? To cień jego raczéj!
Ludzkiego wzroku jakby zbieg unika,
Skroń ma strzaskaną piorunem rozpaczy.
Ów płaszcz bezmierny gdzieś rozwiał się wszy-
[stek —
Na sercu tylko ciśnie zwiędły listek —
Wlecze się zwolna jak czas dla boleści,
I konającym podmuchem szeleści:

»Oto nadszedł wiek żałoby.
»Wprędce ludzie świat przemienią
»W same łany, lasów groby.
»Z beznadziejną tą jesienią,
»Opłakujmy dzień żałoby!«

Las się podrywa, zielony włos targa,
Wszystkie gałęzie załamują ręce,
Krynice łkają, i głosy ptaszęce
W niebo jak jedna wylatują skarga.

A ty wędrowcze? Jéśliś synem piéśni,
Lub rozkochanym przyrody badaczem,
Wzruszą twe serce ci płaczkowie leśni,
I ty pod drzewem zatrzymasz się z płaczem.

Lecz jeśli duch twój nic już nie rozumie
Z głosów przyrody, pójdziesz w dalszą drogę,
Ni się domyślisz że łzy są w tym szumie,
A las ci szemrząc tę rzuci przestrogę:

»Do twéj litości prawo utracone —
»I jam się nie dał rozbroić twym głosem.
»Lecz ci powtarzam: szanuj mą koronę,
»Przez litość nad własnym losem.

»Spojrzyj na państwa starożytnych czasów:
»Były podobne sadowi złotemu,
»Dzisiaj z nich żółte pustynie. I czemu?
»Topór im zdjął wieniec lasów.

»Liściowe mury są warownią świata.
»Z murów upadkiem, padł i dom człowieka —
»Piasek go zalał — orkan po nim lata —
»Deszcz z jego nieba ucieka.

»Dziś inne kwitną. Ale i tym krajom,
»Jeśli ja zniknę, pustynia zagraża.
»Kapłanie ziemi, strzeż twego ołtarza,
»I przywróć świętość jéj gajom.«

1866.

OCZEKIWANIE.

(Z NIEWYDANÉJ POWIEŚCI).

Wicher gra jak na organie.
Białe snują się zamiecie.
Niéma większéj troski w świecie,
Nad oczekiwanie!

Choć w zawiei nie znać słońca,
Ja wychylam się na ganek,
Tam przestoję cały ranek,
Wyczekuję gońca.

Noc nadeszła, — cóż przyniosła?
Mróz krzaczysty ścieram z szyby,
I na gwiazdy patrzę niby,
A wyglądam posła.

. . . .

Szeleściły zżółkłe liście,
Gdyśmy, z bólu skamieniali,
Na czas długi się żegnali, —
Ale nie wieczyście!

Pobłogosław jemu Boże!
Powodzenie daj mu z chwałą, —
A co wczoraj się nie stało,
Jutro stać się może.

Nie zapomnę owéj chwili.....
Od bladości był aż biały.
Myśmy łzy nie uronili,
A serca pękały.

Tkwiąc u ręki jego lewéj,
Sokół kręcił się złocisty.
— »Przezeń« mówił, »do méj dziewy,
»Będę ja słał listy.«

Ach, jam ufnie uwierzyła!
Na wronego siadł konika,
Z ganku widzę: jak sen znika.....
Znikła moja siła.

. . . .

Obraziła-żem anioła?
Czy mię zaklął guślarz jaki?
Przelatują wszystkie ptaki,
Wszystkie, prócz sokoła!

Wiem że pisał do przyjaciół,
O mnie jednéj zapomina.
Czy się w żalu gorzkim zaciął?
Smutnaż ja dziewczyna!

Za co w żalu? Za co w gniewie?
Ni ja zdradną, ni obłudną,
A on milczy! Ach czyż niewié,
Jak to czekać trudno?

Cóż ja winna winie losów?
Niebo dzieli nas niezłomnie.
Niech nie pisze do niebiosów,
Lecz na ziemi, do mnie!

Ach niech pisze i do nieba!
Może wolę jego zmieni?
Wiele modlić się tym trzeba,
Co są rozłączeni.

Jak gromnica smutnie pałam,
W obłok wrosłam już oczyma.
Tyle niedziel przeczekałam,
A sokoła niéma!

. . . .

Co tak leci? To nie sokół,
To skowronek, gość radosny,
Szklanne dźwięki sypie w okół,
Przepowiednie wiosny.

O szczęśliwy kto skrzydlaty!
Ach, on właśnie leci w strony,
Gdzie go uniósł depcąc kwiaty,
Jego konik wrony.

Niech cię wiedzie słonko złote!
Niech cię srebrne gwiazdy strzegą!
Weź skowronku mą tęsknotę,
I z nią leć do niego!

Leć i wszystko mów mu szczerze:
Jak ja czekam niecierpliwie,
Jak się lękam, jak się dziwię,
I wątpię, i wierzę.

. . . .

Mój skowronek skinął główką.
Spokojniejsza już zostanę.
On poniesie moje słówko,
Choć nie w list wpisane.

. . . .

Teraz, czekać mam roztropnie.
Wezmę igłę, stłumię trwogi.
Wiem że trzeba z dobę drogi,
Nim ptak celu dopnie.

. . . .

Już tam pewnie jest skowronek.
On wziął piórko, kreśli słowa —
Wstążka wiąże się różowa —
Znów dla gońca dzionek.

. . . .

. . . .

No, już teraz dość czekania.
Dnie mi dłuższe od stuleci.
Co po chmurach tak się słania?
Sokół z nieba leci!.....

Otwierajmyż mu okienko!
Uwolnijmy z węzła szyję!
Przewiązany wstążką cienką,
Biały liść się wije.....

Daj, co miłość mi przysyła!
Niech na listku usta złożę.
A Ty wybacz dobry Boże,
Jam o nim wątpiła!.....

1866.



PRZYPISY.

PRZYPISY
DO TOMU PIERWSZEGO.

Str. 9.

Krucjaty.

Krucjaty zostały napisane w skutku rozmowy z osobą wielce wykształconą i wymowną, ale która twierdziła, że na odżywienie dawnéj wiary i zapału w narodach, niéma skuteczniejszego środka, jak przedsięwzięcie nowych wypraw krzyżowych do Palestyny. Autorka, zagadnięta o wyjawienie i udowodnienie swego zdania, będąc wówczas bardzo nieśmiałą w rozmowie, wolała odpowiedzióó napisaniem powyższego wiersza.

Kamienie.

Str. 53. Czasem, nić grubą ciągnąca z wrzeciona,
Chłopka go kryje za zgrzebłem koszuli.

Słynne są wyrazy Mikołaja Flamel'a, który tłumacząc, jak znalezienie Kamienia Filozofalnego jest łatwém i prostém dla ludzi umiejących brać się właściwie do rzeczy, powiada:

„Qu'une femme filant fusée,
„N'en serait du tout détournée".

Str. 61. Samoświecące Bonońskie kamienie.

„Tak zwany kamień boloński, który po wyprażeniu w ogniu, w ciemności świeci, iest... odmianą siar-

czanu barytu. Pewny szewc włoski nazwiskiem Garasciolo, znalazłszy ten kamień w Monte paterno, niedaleko Bononii, wniósł z ciężaru że się w nim cząstki metalu drogiego ukrywaią. Długo zatém prażył go na ogniu chcąc mniemany kruszec wytopić, lecz postrzegłszy daremne usiłowania, zaniechał przedsiewzięcia i z domu go wyrzucił. Wkrótce potém blisko niego w nocy przechodząc, uyrzał cały kamień w iasności, otoczony warstwą pięknego światła. Znowu go zatém wziął do siebie i powtórnie palił, a po wielu bezskutecznych usiłowaniach, oddał go wreszcie do Akademii Bonońskiey, którey nauczyciele dali mu nazwisko bonońskiego kamienia". **Wiadomości z nauk przyrodzonych dla użytku szkoły Guwernantek** przez *Antoniego Wagę* Professora Szkoły Wojewódzkiéj Warszawskiéj — z Figurami — w Warszawie — Nakł. i Drukiem A. Brzeziny — 1826 — Tom I — Str. 297. Dzieło dawne ale szacowne, bo prócz wiadomości naukowych, zawiera dosyć dużą liczbę anegdot historycznych, legend i osobliwości.

Str. 61. . . . . To prześliczna Mika,
Swoje skrzelowe tafelki odmyka.
. . . . .
Żeglarz ją wprawia w okienko kajuty.

„**Mika.** ... Massy iéj równie iak i kryształy, złożone są z wyraźnych blaszek, na które prawie do nieskończoności dzielić się daią. Blaszki miki... są giętkie i sprężyste. W Syberyi znayduią się naywiększe kryształy miki, z których oddarte blachy, czasem na łokieć szerokie, używane są w Irkucku i innych sybirskich miastach na szyby do okien. Robią z niéy także okna w okrętach, ponieważ mocą swéy sprężystości wytrzymuie najsilnieysze wstrząśnienia sprawione od huku dział okrętowych. **Tamże** — Tom I — Str. 270.

Str. 64. W téj oto bryle majaczy „Obłoczek".
. . . . To „Włosy Wenery!"

„Czasem w massie przezroczystego kryształu, zawarte są drobne białe i iak iedwab' połyskujące włókna

amiantu; takie kawałki kryształu, u amatorów otrzymały nazwisko **w ł o s ó w W e n e r y**, i dla rzadkości drogo się płacą... Z wielkich i zupełnie przezroczystych mass kryształu górnego, wyrabiaią różne naczynia szklanym podobne... W przezroczystéy massie jego zawsze prawie dostrzedz się daią mniéy więcéy wyraźne **o b ł o c z k i**, niby delikatne płatki rozciągnięte, gdy tymczasem szkło okazuie natomiast drobne bańki powietrza; ta różnica może być dostateczną do rozpoznania naczyń z dwóch podobnych sobie materyałów wyrobionych". **Tamże** — **T o m I** — **S t r. 257.**

Str. 70. . . . . To Kocie Oczy,
Śledzą nas białkiem latającéj plamy.

„Z kraiów wschodnich... a mianowicie z wyspy Ceylon przychodzi do nas wpół-przezroczysty, szary, zielonawy lub żółtawy agat, iuż szlifowany w kształt owalnych, z iednéy strony płaskich, z drugiéy wypukłych oczek do pierścieni, tę szczególną własność maiących, że rozmaicie nakłaniane ku światłu, ukazuią w sobie przebiegaiącą z mieysca na mieysce świetną plamę, i dla tego kamień taki **k o c i é m o k i e m** nazwano". **Tamże** — **T o m I** — **S t r. 263.**

Str. 71. To Hjacynt, lekarz niegdyś zawołany.
. . . . On umié, obniązką z purpury,
Wywabiać jady, przytępiać żelaza.
Przed nim pioruny wracają do chmury,
I czarno-skrzydła ucieka zaraza.

„**Hyacynt** ma kolor czerwono-żółty sobie właściwy. ...Używa się, iako kleynot do ozdób. W czasach, w których zabobonność, wielu istotom nadzwyczayną moc, własności i skutki przypisywała, hyacynt noszony był na szyi, iako naypewnieysza i bardzo skuteczna ochrona od zaraźliwych chorób; nadto kamień ten miał na woynie dodawać odwagi, bronić od ran i śmiertelnych pocisków; w życiu domowém zasłaniać od piorunów, pomnażać bogactwa, zaszczyty, rozsądek i mądrość". **Tamże** — **T o m I** — **S t r. 215**

Str. 71. Daléj Beryle . . . .
Przenoszą szkliste, długoszyjne dzbany,
Po brzeg od morskiéj mieniące się wody.

„**Beryl** iest... zielonego koloru... Bywa nayczęściéj krystalizowany nakształt różnéy grubości i długości prętów. Znaydowano kryształy berylu na ćwierć łokcia grube a na łokieć długie... Nazywaią go także wodą morską (aqua marina)“. Tamże — Tom I — Str. 247—48.

Str. 72. . . . . Turmalin.
Płaszcz na nim czarny o tłach z axamitu.
Ale się strzeżmy tych zdradnych jedwabi,
To kamień fałszu. Magnetyczna siła,
W zimne mu piersi dwa prądy puściła;
Dotknięty, razem odpycha i wabi.

„**Turmalin**, jest-to ważny minerał, z przyczyny swych szczególnych własności fizycznych, odnoszących się zwłaszcza do elektryczności i polaryzacyi światła. W przyrodzie trafia się najczęściéj w postaci graniasto-słupów pręcikowych, aksamitno-czarnéj barwy, nieprzezroczystych i podłużnie krésowanych, które mają tę szczególną własność, że za ogrzaniem, elektryzują się w jednym końcu dodatnio, a w drugim ujemnie“. Encyklopedyja powszechna Orgelbranda — Tom XXV — Str. 746.

Stronnice 69—74—75—78—80.

Rozmaite owe legendy przytoczone w opisie Klejnotów, (jako to: że Bursztyny są zeschłemi „łzami ptaków“, — że Korale, nienoszone, bledną i „chorują“, — że Ametyst broni od pijaństwa, — że Szmaragd oślepia węża, — że Turkus użyty przy zaręczynach, sprowadza zerwanie zamierzonych związków, i że najlepszym jest w takim razie Rubin, — że Opal przynosi nieszczęście, — że Brylant dostaje skaz, jeśli nas jego dawca zdradza) nie potrzebują poparcia xiążkowych źródeł, bo są powszechnie znane, jako wieści albo przestrogi, które od niepamiętnych czasów, przechowały się w ustnéj tradycji narodów.

Pierwszy widok morza.

Str. 100. To Cuxhaven! To przystań i morska Latarnia!

„**Cuxhaven**, wioska w okręgu hamburskim Ritzebuttel, na lewym brzegu Elby, przy samém jéj ujściu, liczy 400 osady, wyborny port, komora celna i budynki kwarantanny, oraz kąpiele morskie bardzo uczęszczane. W średnich wiekach, Cuxhaven było gniazdem niebezpiecznych korsarzy, wreszcie miasta Hanzeatyckie, mianowicie Hamburg, znudzone tak szkodliwém dla handlu sąsiedztwem, przedsięwzięły przeciw łupieżcom formalną wyprawę; zdobyły zamek, którego szczątki dotąd istnieją, a całe terytoryjum zakupione od właściciela, poszło na własność miejską Hamburga". **Encyklopedyja Powszechna Orgelaranda — Tom VI — Str. 13.**

Góry.

Str. 111. Czy te widziałaś bazaltowe stropy,
Gdzie się zielona zataczając fala,
Szeleści imię Fingala?

„**Fingala** (grota). Na południowo-zachodnim krańcu Hebrydzkiéj wyspy Staffa, znajduje się szereg kolumn bazaltowych, wysokich na 70 stóp, tworzących z natury trzy groty, z których najwyższa nosi miano groty Fingala, ponieważ bardowie szkoccy utrzymują w swych pieśniach, że tam przebywał wielki ów rycerz. U wnijścia groty przedstawia się oku wędrowca najwspanialszy widok. Pieczara długa na 270, wysoka na 68, a szeroka na 105 stóp, składająca się z olbrzymich kolumn bazaltowych prostych, jednolitych, podobnych do piszczałek piramidalnych organów". **Tamże** — Tom VIII — Str. 899.

Str. 112. Czy te słyszałaś echa Pauzylippy,
Co powtarzają przekleństwa Dydony?

„**Pauzylippo...** góra pod Neapolem, sławna ogromną grotą (la grotta di Pausilippo), która mając wysokości

od 80—90. szerokości od 24—30 stóp, a długości do 1,000 kroków, w prostéj linji z Neapolu do Puzzuolo prowadzi. W tém obszernėm, lampami oświeconém sklepieniu, przechodzą nieustannie podróżni. Galeryja ta już za czasów Rzymian istniała... Nad grotą znajdują się szczątki tak nazwanego Grobowca Wirgilijusza". **Tamże** — Tom XX — Str. 473.

Podanie téż miejscowe przypisuje przebicie owéj grotty Wirgiljuszowi, który miał potęgą magji sprawić takie dziwo, lud bowiem tamtejszy poczytuje Wirgiljusza nie za poetę, ale za czarodzieja, i nie myli się w gruncie rzeczy, tylko niewié, że całą magją owego czarodzieja, była właśnie jego poezja.

Str. 112. *Czy wiosłem cięłaś różowe polipy*
Ciepłego morza, co bije pokłony,
Pali fosfory, i perły roztrzęsa,
Pod śpiewającą grottą Kamoensa?

„Na najwyższym punkcie przesmyku, łączącego Makao ze stałym lądem chińskim, po dziś dzień jeszcze pokazują tak zwaną grottę Camoënsa, z któréj ukazuje się zachwycający krajobraz; w téj to grocie, jak niesie podanie, napisał on wielką swoją epopeję narodową Os Lusiadas, to jest Luzyjady. czyli Luzytanie (Portugalczycy). **Tamże** — Tom IV — Str. 820.

I tak, wszystkie trzy wymienione tu jaskinie, wiążą się z pamięcią poetów: Ossjana, Wirgiljusza i Kamoensa. Z tego téż powodu, na końcu strofy, grotty są nazwane: „marzeń namiotem".

Str. 117. *Kiedy nad góry Alwerneńskiej łonem,*
W dzień Męki Pańskiéj cudownie rozpadłém,
Frańciszek, z licem na wskroś prześwietlonėm,
. . . .
Pięcio-promienne przejmuje stygmaty.

„Przed samém odejściem z Alwernii, raz jeszcze Frańciszek obszedł całą górę, którą bardzo polubił, gdyż było to z miejsc zajmowanych przez Braci, najsamotniej-

sze... a ztąd najsposobniejsze do życia bogomyślnego... W téj powtórnéj swojéj po pustyni onéj wycieczce, nadszedł na miejsce, w którém widok nadzwyczajnéj wielkości skał, poodrywanych i zawieszonych jakby w powietrzu, nad bezdennemi przepaściami, a w skałach widok ogromnych rozpadlin, które nie zdawały mu się naturalnemi, wprawił go w wielkie zdumienie. Ukląkł i począł się modlić, aby mu Pan Bóg objawić raczył, czy tak gwałtownego odłączenia się skał tych, od miejsc w które' były wrośnięte... przyczyną było trzęsienie ziemi, czy inne jakie zjawisko natury? A wtedy okazał mu się Anioł, i oznajmił, że skały te poodrywane zostały i popękały się, podczas śmierci Chrystusa Pana na krzyżu, i że by!y to jedne z tych, o których mówi Ewangelia, wspominając szczegóły krzyżowéj śmierci Zbawiciela: i porozpadały się skały (Mat. 27. 51). . . . . Piszą téż współcześni mu kronikarze jego życia, że z tego to powodu mąż Boży odtąd tak wielkie miał do téj góry nabożeństwo... I słusznie przydaje jeden z tych dawnych pisarzy, że w istocie przystało miłosierdziu Bożemu tak opatrznie tém wszystkiém pokierować, aby na téj górze popękały skały podczas Męki Pańskiéj, na któréj, na ciele najświętszego sługi Jego, znamiona téjże Męki Zbawicielowéj cudownie wyryte, żywy jéj wizerunek oczom ludzkim na nowo miały przedstawić". **Żywot Świętego Franciszka z Assyżu** przez O. Prokopa Kapucyna — Kraków — Druk. Korneckiego — 1876 — Tom pierwszy — Str. 444—45.

Str. 119. *Oto Ezechjel wzlatuje nad czarną*
Przepaścią. . . . .
. . . *Tam prosto, pod gwiazdą polarną,*
Góra Kaf świeci, „Góra Elohimów".
. . . .
W krąg stoją mury z ognistych kamieni,
Twarde jak brylant, żarzące jak rubin.
Brama otwarta, lecz pełna płomieni;
Z miecza i z oczu je miota Cherubin.

Jan Godfryd Herder (pisarz wielce uczony i świetny, ale którego trzeba zażywać z ostrożnością, gdyż strasznie

po świecku szasta świętościami), w swojém osobliwszém studjum nad „Cherubinem“, pisze ciekawe rzeczy z powodu owego ustępu Ezechjela, i tak zwanéj „Góry Elohimów“.

„Ezechiel (chap. 28 vers. 14) donne le titre de chérubin au fier roi de Tyr, qui habite l'Eden, le jardin des Elohims sur la montagne sacrée, où il marche à travers des pierres enflammées. . . . L'éclat des pierres précieuses lui sert de parures, son existence est un long jour de bonheur, et il se montre à nous dans ses oeuvres comme une créature parfaite, mais fière. Ces exemples suffiront pour nous prouver quelles étaient dans le monde antique et chez les Orientaux de cette contrée, les figures d'animaux consacrées à servir de symbole à la magnificence et à l'orgueil (?), et qui devaient nécessairement entrer dans la composition des cherubins. Il est incontestable que ces figures d'animaux étaient le lion, le taureau, l'homme et l'aigle. . . . Les Orientaux croyaient à un animal ailé qui avait choisi sa demeure sur le mont Kaf, et qui soutenait de longues et rudes guerres contre les géants du monde primitif. C'était un animal raisonnable et religieux (!); il parlait toutes les langues, il avait la sagesse du sphinx, la ruse des griffons, et gardait les trésors du Paradis. En un mot, c'était une des plus merveilleuses créatures de Dieu, que l'on ne pouvait vaincre ni par la force ni par la ruse. . . . On trouve dans les traditions de tous les peuples sur ce sujet une foule de données, dont la plupart ne sont point sans probabilité. Toutes confient au Chérubin le soin de garder l'arbre de vie, l'arbre de l'immortalité. . . . Ezechiel et tous les dires de l'Orient nous prouvent, que les Chérubins des Orientaux habitaient une montagne, où ils se promenaient à travers des pierres enflammées. Cette montagne fait partie du groupe des monts de l'Asie, derrière lequel se cache le Paradis; et elle se trouve dans la même contrée où Moïse place son paradis à lui. . . . Quelques'unes de ces traditions, adoptées par la poésie hébraique, placent vers le nord cette montagne habitée par des dieux, des Lahes, des Elohims“. Histoire de la poésie des Hébreux par Herder — trad. par la Baronne A. de Carlovitz — Paris — chez Didier — 1846 — Pages 132 et suiv.

Str. 119. *To Enoch, świadek złych dni najcnotliwszy,*
Co umiał z Panem pozostać w przyjaźni.
Sam Pan go niegdyś płaszczem zasłoniwszy,
Z przedpotopowéj uprowadził kaźni,
I raj do czasu dał przyjacielowi.
Lecz skoro ziemia obumierać pocznie,
Do ludzi gorszych niż przedpotopowi,
Każe mu wrócić.

„Pour désigner le sort des favoris de Dieu dans l'autre monde, on disait: Dieu l'a pris avec lui, Dieu l'a reçu dans sa demeure. Ces locutions ne pouvaient tirer leur origine que de la disparition d'Enoch, et elles se rapportaient toujours à ce premier ami de Dieu. Il vivait à une époque de perversité, et se montra défenseur ardent de la gloire de l'Eternel. Selon toutes les probabilités, il fut honni et persecuté, comme le fut plus tard le prophète Elie, à qui Dieu accorda une faveur à peu près semblable; si l'introduction d'Enoch dans la demeure céleste fut moins brillante, il est certain du moins, qu'elle fut accompagnée de marques visibles de la protection de Dieu. C'est ainsi que Saint Paul interprète le passage qui raconte ce fait; c'est ainsi que le dernier livre des saintes Écritures (l'Apocalypse) le reproduit par l'image des deux témoins qui montent au ciel sur une nuée; c'est ainsi enfin que tout l'Orient l'a compris. Les Arabes ont une foule de fables sur la sagesse et la piété, sur le zèle et la puissance prophétique d'Idris, nom par lequel ils désignent Enoch. Ces fables peignent l'isolement dans lequel il vécut, et les persécutions que les méchants lui firent subir, jusqu'au moment où Dieu l'appela et l'installa à côté de lui dans son Paradis. D'autres peuples le placent sur le haut de l'Albordi, sur ce mont brillant où se réunissent les Dieux; et dans toutes ces traditions, on le met en rapport journalier, non avec Jehovah, mais avec les Elohims“. Tamże — pag. 161 et suiv.

„Enoch albo Henoch, siódmy patryjarcha od Adama, syn Jareda, urodził się roku 622 od stworzenia świata... Pismo Święte mówi, że Enoch „chodził z Bogiem“, to jest żył według woli Bożéj, czyli podobał się Bogu, i że „wziął

go Bóg i nie było go widać"; zkąd wnoszą, że nie umarł, ale żywo był przeniesiony do raju ziemskiego (I. Mojż., 21–24). To przeniesienie wymieniane jest w wielu kalendarzach pod dniem 3 Stycznia". **Encyklopedyja powsz. Orgelbr. — Tom VIII — Str. 314.**

„Seth avait laissé des descendants qui marchèrent comme lui dans les sentiers de la justice et de la vertu. Adam. dans un esprit prophétique, leur avait annoncé qu'avant de périr par le feu dans une catastrophe finale, le monde serait ravagé par les eaux d'un déluge universel. Mais cette voix ne fut pas écoutée par les enfants des hommes. Le patriarche Hénoch, digne fils des Saints, fit retentir sur la tête des coupables les menaces de la vengeance divine, comme on le voit d'après l'Epitre de saint Jude. (Vers. 14—15). Cet appel à la pénitence se fit entendre au monde pendant trois siècles (żył bowiem pomiędzy ludźmi od r. 622 do 987 od stw. św.), puis la voix prophétique se tut sur la terre; Hénoch ne reparut plus au sein de ces générations corrompues: Dieu l'avait enlevé du milieu de tant d'iniquités et de crimes, et nul, dit Josèphe, n'a jamais rien écrit de sa mort." . . . . „En récompense de sa foi, dit saint Paul, Hénoch fut enlevé de ce monde pour qu'il ne souffrit pas la mort. Il ne se retrouva plus, parce que le Seigneur l'avait enlevé. Mais, avant cette translation, il avait mérité le témoignage que lui rend l'Écriture, d'avoir été agréable à Dieu". Epist. ad Heb. XI. 5. — „Hénoch, dit l'auteur de l'Ecclesiastique, plût au Seigneur; il fut transporté dans le Paradis, pour revenir prêcher la pénitence aux nations". XLIV. 16. — „Les Pères de l'Église s'accordent tous dans ce sentiment, et ils appliquent à Hénoch et à Elie le passage de l'Apocalypse où saint Jean nous enseigne, qu'aux derniers jours du monde, ces deux témoins du Seigneur reparaîtront au milieu des hommes, pour combattre, dans une lutte suprême, l'Antechrist et ses milices impies." **Les Petits Bollandistes ou Vies des Saints** — par M-gr Paul Guérin — Septième édition — Paris — chez Bloud et Barral — 1880 — Tome premier — page 110. — Pod dniem 3-go Stycznia.

Str. 120. *Ówdzie, Rycerze „okrągłego stołu“,*
Zakuci w łuskę, pod wodzą Artusa,
Ruszają z głębin łzawego padołu,
Aby odnaléźć tajną Krew Chrystusa.
Arymatejczyk, z przebitego Boku,
Zebrał ją niegdyś, i wszelkiemu oku
Daleko ukrył na „Górze Salvatu“.
Stoi tam, skrzepła, w roztruchanie „Gralu“.

„**Greal** albo **Gral**, starożytny wyraz celtycki, oznaczający statek płaski. W poematach wieków średnich, często jest mowa o św. Gralu. . . . Strzegli go mężowie święci. . . w nieprzystępnéj świątyni, na szczycie wyniosłéj góry . . . Prowansal Guiot pomiędzy r. 1160 a 1180 napisał na téj osnowie obszerny poemat; po nim Krystyjan Troyes i inni trubadurowie pomieszali to podanie z legendą o królu Artusie i okrągłym stole, wreszcie z podaniami o Apostole Celtów, św. Józefie z Arymatei. Utrzymują oni, że święty Gral był to półmisek, na którym Chrystus błogosławił baranka w czasie ostatniéj Wieczerzy, że następnie Józef zabrał ten półmisek, a w czasie Męki Zbawiciela zebrał nań krew i wodę, spływającą z ran i boku Pana. Po rozejściu Apostołów, Józef udał się do Anglii, półmisek miał z sobą, a gdy z czasem zaginął, rycerze postanowili odszukać nieoszacowany ten przedmiot. Przygody ich w czasie poszukiwań, posłużyły za tło do wielu rozmaïtych utworów romantycznych. Wolfram Eschenbach pisał na téj osnowie poemat niemiecki w XIII wieku. Legenda Klinsor'a i Lohengrin'a, jest także w związku z historyą świętego Grala“. **Encyklopedyja powsz.** Orgel. — Tom X — Str. 598.

Autor pominął tutaj tylko wiadomość, że ową „górę wyniosłą“, na któréj szczycie ukryty był święty Gral, poeci z Artusowego cyklu nazywają „górą Salvatu“.

Trzeba także dodać uwagę, że podania o kształcie owego świętego naczynia bardzo się między sobą różnią. Wielu pisarzy widzi w niém nie półmisek, ale kielich użyty przy ostatniéj Wieczerzy Pańskiéj.

„**Greal.** On appelle dans la légende le Saint-Gréal un vase mystique que l'on prétend être celui même dans lequel était contenu le vin que but le Sauveur à la der-

nière Cène. . . . . Ce vase aurait été conservé par Joseph d'Arimathie et transporté par lui dans la Bretagne (Angleterre); il conférait à celui qui le possédait toutes sortes de privilèges merveilleux. Le Saint-Gréal joue un grand rôle dans les romans des chevaliers de la Table-Ronde; ces chevaliers firent plusieurs expéditions à la recherche de la précieuse relique". **Dictionnaire universel d'Histoire et de Géographie** par M. N. Bouillet — Paris — chez Hachette — 1843 — Pag. 740.

Str. 120. Tu Katarzyna Emmerich, przejrzysta Sybilla Krzyża.

Czasy nasze, tak często pomawiane o „brak cudów", i o „brak świętych", wydają się takiemi tylko dla tych oczu, które nie patrzą głębiéj w bieżące roczniki duchownego życia. Są i w naszych czasach postacie, koronne niebiańską aureolą, oślepiające blaskiem cudowności. Do takich postaci należy niezaprzeczenie Anna Katarzyna Emmerich. urodzona w roku 1774-ym, z rodziców ubogich wieśniaków, od lat dziecinnych pasterka, późniéj zakonnica Augustjanka w miasteczku Dulmen w Westfalji, ubogacona łaską Stygmatów, oraz wielu innych nadprzyrodzonych darów, a nadewszystko bezprzykładną potęgą i ciągłością widzeń. Po długim szeregu cierpień i prześladowań, znoszonych zawsze *dla* drugich, lub *za* drugich, zakończyła swój błogosławiony i prawdziwie męczeński żywot w r. 1824-ym. Dotąd jeszcze nie jest kanonizowaną, ale wolno żywić nadzieję, że kiedyś dostąpi téj chwały, która naszemu dziewiętnastemu wiekowi nada w przyszłości więcéj blasku, niż wszelkie inne jego, czysto-ziemskie chluby.

Tymczasem, xięgi zawierające jéj wizje, (wiernie spisane przez Klemensa Brentano), opatrzone upoważnieniem Biskupów, i gorąco polecone wiernym do czytania, stanowią nieprzebrany skarbiec, którego dzisiejsze pokolenia jeszcze nie oceniły dostatecznie. Najlepszy znawca tych przedmiotów, Görres, mówi w swojéj Mistyce:

„Katarzyna Emmerich... nietylko była obecną Męce Zbawiciela. ale przez całe trzy lata, krok w krok chodziła za nim po wszystkich Jego drogach, przebiegała z Nim

razem wszystkie okolice Palestyny. Wtedy mogła najdokładniéj rozpoznawać różne rodzaje gruntu, rzeki, góry, lasy; widywała mieszkańców rozmaitych krain, opisywała ich domy, ubiory, obyczaje, aż do najdrobniejszych nawyknień ich codziennego życia; wszystko to przesuwało się przed jéj wzrokiem w obrazach jasnych i wyraźnych. Nie dość na tém: czasem z powodu jakiéj miejscowości, osoby, lub którego ze świąt kościelnych, mogła zagłębić spojrzenie w przeszłość jeszcze nierównie dalszą; wtedy, od początku rzeczy do ich końca, obejmowała całe dzieje, pochwycone w jeden olbrzymi zarys, niby przepyszną religijną epopeję, która zstępując od nieba do ziemi, przebiega kolejno wszystkie epoki świata i losów człowieczeństwa.... Te wizje są w swoim rodzaju może najcudowniejsze, najbogatsze, najszersze, najgłębsze i najbardziéj porywające ze wszystkich, jakie duchowi ludzkiemu dano było kiedykolwiek oglądać“. **Mistyka** — Tom Drugi — **Rozdział IX.**

Większa część czytelników, zwłaszcza w naszym kraju, zna tylko jéj opis Męki Pańskiéj, który został najwcześniéj drukiem ogłoszony. Ale dopiero jego połączenie z innemi tomami, tworzy tę niezrównaną całość, tę — rzec można — „boską historjozofję“, która nigdy jeszcze przedtém nie była z równą jasnością ludziom pokazana. I nie dziw: dawniejsze wieki nie potrzebowały takich dobitnych odpowiedzi, ani tak szczegółowych wyjaśnień, bo jeszcze nie znały ani tak przepaścistych zwątpień, ani tak wytwornych zaprzeczeń, jak te do których doszedł czas obecny. Wié Opatrzność komu i kiedy ma co dawać.

Kto nie może czytać tego dzieła w oryginale niemieckim, znajdzie już wszystkie dotychczasowe*) jego tomy w przekładzie francuzkim, wydanym w Tournai i Paryżu u Casterman'a, a mianowicie: **La Vie de la Sainte Vierge**, un Volume — **Vie de N.-S. Jesus-Christ,**

*) Mówimy »dotychczasowe«, bo rękopisma pozostałe po Klemensie Brentano przedstawiają takie bogactwo materjałów, że od lat sześdziesięciu coraz nowe głowy i ręce pracują nad ich uporządkowaniem, a jeszcze nie zdołały wszystkich zużytkować. Jest więc nadzieja, że przyszłe wydania pomnożą się jeszcze niejednym cennym nabytkiem.

Six Vol. — La Douloureuse Passion de Notre Seigneur, un Vol. — Razem tomów osiem.

Daj Boże, abyśmy i w naszym języku mogli je czytać jak najprędzéj! Trudno zrozumiéć nawet, dla czego dotąd ich nie posiadamy? Na tyle rzeczy miernych lub szkodliwych znajdują się tłumacze, i to natychmiast, i to po kilku naraz, a takie pole olbrzymie, które przedstawia niewyczerpaną kopalnię studjów i zdobyczy, nietylko dla dusz pobożnych, ale i dla artystów, i dla archeologów, i dla myślicieli, leży u nas dotąd nietknięte.

Prawda, że tłumacz musiałby pierwéj dobrze obliczyć się ze swemi siłami; takie przedsięwzięcie winno być przeprowadzone z wielką nauką, ścisłością i uszanowaniem, a zwłaszcza bez żadnych skracań, bo główna wartość tych obrazów, leży w niesłychanéj obfitości malowniczych i objaśniających szczegółów. Koniecznie by téż było potrzeba gruntownie obrobić, i w jednym osobnym tomie zamknąć, wyczerpujący ale jednolity Żywot Katarzyny Emmerich, który w zagranicznych wydaniach, jest bardzo nieporęcznie rozstrzelony po różno-tomowych Przedmowach, Szkicach i Przypisach.

Praca byłaby niezaprzeczenie ogromną. Wszakże, po sumiennném dokonaniu, mogłaby przynieść nietylko duchowe ale i doczesne korzyści, bo widzimy, że gdziekolwiek to dzieło zostało raz poznaném, tam już bez przerwy coraz szersze rozbudza zajęcie, i w coraz częstszych rozchodzi się wydaniach.

Str. 120. *Tu Katarzyna Emmerich . . . .*
. . . . po drodze z obłoków,
Idzie za wizją na „Górę Proroków“,
Gdzie złotowłosy Jan Ewangelista,
Oblany słońcem co nigdy nie blednie,
Pod rajską palmą leży pochylony,
Przerzuca xięgi przyszłe i poprzednie,
Rozważa wszystkich narodów zakony,
I porównywa wszystkie przepowiednie.

Katarzyna Emmerich wspomina w niejednym ustępie swoich wizji o jakiéjś górze tajemniczéj, którą zwie

Górą Proroków. Nie staje tu miejsca na wypisywanie wszystkich tych ustępów; najlepiéj podobno będzie, gdy przytoczymy tylko Dopisek, w którym Wydawcy streścili główne wiadomości odnoszące się do tego przedmiotu:

„La Soeur Emmerich donnait ce nom de Montagne des Prophètes, à un lieu élevé au dessus de toutes les montagnes de la terre, où elle fut transportée pour la première fois le 10 décembre 1819, et plusieurs fois après dans ses voyages extatiques. Elle y vit les livres prophétiques, les livres religieux de tous les temps et de tous les pays conservés sous une tente, examinés et gardés par un personnage qui lui rappela saint Jean l'Evangéliste et Elie, mais surtout ce dernier, parce qu'elle vit non loin de la tente, le char sur lequel il fut transporté au ciel, couvert d'une florissante verdure. Ce saint lui dit qu'il avait en depôt tous les livres de révélations qui avaient été donnés ou étaient destinés à l'homme, livres dont plusieurs n'étaient pas exempts d'altérations, qu'il en comparait le contenu à celui d'un livre qu'il avait à côté, enfin qu'il effaçait ou comdamnait au feu un grand nombre de passages.... La tente était dressée au milieu d'une île couverte de verdure, et baignée par un lac aux eaux limpides; on y voyait plusieurs tours, aux formes les plus variées, et entourées de jardins. Il lui sembla que ces tours étaient les arsénaux et les réservoirs de la sagesse de différentes nations, et que l'île même renfermait la source des fleuves considérés comme saints par les peuples, du Gange en particulier, lesquels apparaissaient au pied de la montagne. D'après son point de départ, elle devait toujours, pour arriver à la montagne des Prophètes, se diriger vers les hauteurs de l'Asie centrale. Elle observait la position, la température des pays qu'elle parcourait, les particularités relatives aus trois règnes, puis après avoir traversé un espace complètement solitaire et avoir, pour ainsi dire, pénétré dans la région des nuages, elle était transportée sur la montagne, dont on trouvera la description dans l'histoire complète de la Soeur, avec toutes les particularités de ces voyages extraordinaires. Au retour, après avoir été de nouveau transportée dans la région des nuages, elle traversait encore des pays, dont elle admirait la

riche végétation et les espèces animales étrangères à nos climâts; puis elle arrivait au Gange et observait, sur les bords de ce fleuve, les pratiques religieuses des Indiens.— La situation géographique de la montagne, et cette particularité que tout y était recouvert d'une admirable végétation, ont rappelé, à une personne qui lisait ces notes vingt ans après qu'elles avaient été recueillies, les traditions asiatiques touchant une montagne de ce genre, habitée également par un personnage mystérieux. Pour les Musulmans, le prophète Elie, qu'ils appellent Chis r, c'est à-dire le Vert, est un personnage mystérieux, à moitié homme et à moitié ange, qui habite dans les régions du nord le mont Kaf, si célèbre dans leurs livres tant religieux que poétiques, et là, à la source même de la vie, veille sur des choses mystérieuses confiées à sa garde. Les Indiens et les Chinois placent également dans l'Asie centrale, où est suivant la Soeur Emmorich, la montagne des Prophètes, les uns, leur montagne sainte Mérou, et les autres leur Kuen-loun, dont les habitants n'ont rien perdu de leur félicité primitive. — Les anciens Perses avaient aussi une localité du même genre qu'ils appelaient Elbords ou Albordsch. On peut croire, d'après Isaïe (XIV, 13) que les Babyloniens avaient une croyance analogue. Que si, comme les Babyloniens et les Musulmans actuels, ils placent cette montagne au nord, la chose s'explique par leur position géographique relativement à la haute Asie. „**Vie de la Très-Sainte Vierge** d'après les méditations de la Soeur Anne-Catherine Emmerich — Recueillies par Clément Brentano — Traduction nouvelle — Sixième édition — Paris et Tournai — chez Casterman — 1878 — Note à la page 81-me.“

Pomimo wszelkich objaśnień zawartych w tym Przypisie, czytającemu jeszcze nasuwa się mnóstwo pytań, mianowicie dwa: Czém jest właściwie ta „Góra Proroków?“ I gdzie ona leży? — Czy ją trzeba odnieść do świata czysto-duchowego, rządzącego losami naszéj ziemi? — Czy téż to tylko jest symbol? (Bo i takie obrazy znajdują się w wizjach Anny-Katarzyny). Symbol, w którym wszystko można wytłumaczyć allegorycznie, nawet i ten szczegół, że chcąc się tam dostać, trzeba najprzód wrócić do gór

środkowéj Azji, coby mogło znaczyć, że kto chce zrozumiéć przyszłość, musi zawsze wracać do kolébki wszelkich religijnych tradycji? — Czy téż to jest „góra“ rzeczywista, znajdująca się na któréjś planecie, lub na słońcu, lub na jakiéj gwieździe? I taki bowiem wniosek możnaby wyciągnąć z niektórych wyrażeń Siostry Emmerich, a mianowicie z ustępu pod nazwą: **Coup d'oeil sur Saint Jean après sa mort**, gdzie mówi:

„J'ai su... que son corps n'est pas sur la terre; on m'a montré vers le nord-est une région lumineuse, semblable à un soleil, et j'y ai vu l'Apôtre servant en quelque sorte d'intermediaire entre le ciel et la terre, donnant à l'une ce qu'il recevait de l'autre. Cet endroit m'a paru dépendre de la terre, bien qu'il soit placé au dessus d'elle et tout-à-fait inaccessible; j'ai vu aussi que le paradis terrestre est encore dans cette région, mais complètement séparé de ce qui l'entoure.... Cette fois-ci je n'ai pas aperçu l'endroit où se trouve l'Apôtre comme la montagne des Prophètes, parce que je n'y étais pas moi-même, mais comme un corps lumineux.“ **Vie de N.-S. Jesus-Christ** d'après les visions de la Soeur Emmerich — Paris et Tournai — 1879 — Tome Sixième — Page 200.

W każdym razie, ta Góra Proroków, „któréj na mappie nie znajdą uczeni“, istnieje gdzieś ne mappie Bożéj, a wzmianki o niéj, stanowią w opowiadaniach Katarzyny Emmerich jedno z owych dziwnych odchyleń zasłony, jakich tam spotykamy tak wiele, a które przed czytelnikiem niezupełnie ślepym, roztwierają całe światy niespodzianych odkryć, nieskończonych rozmyślań i przewidzeń.

Str. 121. ... *Oto srebrny z obłoku rysunek*
Schodzi ne Karmel. Ach, to wizerunek
Matki Dziewicy, ach to Ona żywa,
Przed płonącemi oczami Eljasza,
Proroczym szkicem po niebie przepływa,
I w opalową się rosę rozprasza.

„Góra Karmelu położona w Ziemi Świętéj, nad morzem Śródziemném, jest jedną z najwyższych i najpiękniejszych gór w Palestynie. Jest-to miejsce z tego powodu

14*

szczególnie ubłogosławione, że na niém po raz pierwszy, zaczęli ludzie oddawać cześć Matce Bożéj. i to nawet na lat dziewięćset przed przyjściem Pana Jezusa, i znowu tamże, już po przyjściu Syna Bożego na ziemię, pierwszy stanął na cześć Jéj kościół, a to wszystko w ten sposób: Był w narodzie Żydowskim wielki i święty Prorok, Eliasz. Ten, jak to zwykłém było Prorokom ludu wybranego, unikając stosunków ze światem i oddając się bogomyślności, obrał sobie samotne mieszkanie właśnie na górze Karmelu, i tam z uczniem swoim świętym Elizeuszem i wielu innymi podobnież życie wiodącymi, przebywał. — Razu pewnego mieli oni widzenie, w którém okazał się na niebie cudowny obłok, mający kształt postaci kobiecéj, i który rozpadając się w deszcz rzęsisty, użyźnił kraj cały, po suszy półczwarta roku trwającéj. Święty Eliasz i jego uczniowie poznali w tym cudownym obłoku, obraz i przepowiednię Przenajświętszéj Maryi, jako Matki przyszłego Zbawiciela świata, i oczekując Go z gorącą wiarą, już wtedy cześć oddawali Téj błogosławionéj Niewieście, z któréj się On miał narodzić. Po odejściu z téj ziemi Eliasza, który na wozie ognistym uniesiony był do nieba, (a obdarzony został takim przywilejem za to właśnie, że pierwszy z ludzi oddał cześć przyszłéj Matce Boga), uczniowie jego połączeni w Zgromadzenie, jak teraz Zakonnicy, przetrwali aż do czasów przyjścia Chrystusa Pana. Wtedy... Chrzest Święty przyjęli. A że wierni byli podaniu, jakie się pomiędzy niemi przechowywało, o czci szczególnéj Matki Zbawiciela, więc jak tylko Chrześcianami zostali, starali się zbliżyć do Przenajświętszéj Panny, mieć pociechę poznania Jéj, i oddania czci najgłębszéj. Jakoż, nietylko dostąpili tego szczęścia, ale jak niesie podanie, Matka Boża widząc w nich swoich najdawniejszych sług i czcicieli, z wielką ich łaskawością przyjęła, i do szczególnéj nawet z sobą, a świętéj poufałości przypuszczała, jak się o tém wyrażają Lekcye Brewiarza.... Wróciwszy do swojéj puszczy na górę Karmelu, pierwsi tam wystawili kaplicę albo kościołek na cześć Przenajświętszéj Panny Maryi... gdy zaś z ubiegiem czasów... zaczęły zakładać się zakony zatwierdzone przez Kościół, pustelnicy z góry Karmelu, uzyskali także zatwierdzenie jako Zakon, i nazwani zostali Karme-

litami". **Żywoty Świętych Pańskich** przez Ojca Prokopa Kapucyna — Warszawa — u M. Orgelbranda — 1874 — Str. 500.

Porwany wichrem.

Str. 173 i następne.

Legenda o parobku, który na zaklęcie czarownika, został porwany przez wicher, opowiadana z różnemi odmianami, krąży szeroko pomiędzy naszym ludem. Patrz Klechdy K. Wł. Wójcickiego — Tom I — str. 94.



SPIS PRZEDMIOTÓW
ZAWARTYCH W XIĘDZE PIERWSZÉJ.



DEOTYMA.

WYBÓR POEZJI.

XIĘGA DRUGA.



WARSZAWA.
NAKŁAD I WŁASNOŚĆ KONSTANTEGO TREPTEGO.
1898.

WYBÓR POEZJI.

Własność A. Kubickiego

DEOTYMA.



WYBÓR POEZJI.

XIĘGA DRUGA.



WARSZAWA.
NAKŁAD I WŁASNOŚĆ KONSTANTEGO TREPTEGO.
1898.

Дозволено Цензурою.
Варшава 23 Іюня 1897 г.

Kraków. — Druk W. L. Anczyca i Spółki.

POEZJE.



NOC ŚWIĘTOJAŃSKA.

ROMANS DO ŚPIEWU PRZY TOWARZYSZENIU VIOLI.

1*

SŁOWIK.

Królowo moja! Różo jedyna!
Wejrzyj ku niebu: oto godzina,
W któréj się ciemność ze dniem przesili.
Ach czy pamiętasz, podobnéj nocy,
Jak się przesilał nasz los sierocy,
Kiedy to jeszcze ludźmi-śmy byli?

RÓŻA.

Czy ją pamiętam? *On* o to pyta!
Rosa trwa długo, w kwiecie ukryta,
A łza miłości czyliż nie dłużéj?
Chociażbym kwitła do setnéj wiosny,
Téj Świętojańskiéj nocy żałosnéj,
Nic nie wygładzi z serca twéj róży.

SŁOWIK.

Pomnę... Od świtu, szedłem daleko,
Ciągle nad wodą, nad naszą rzeką,
Gdzie miały dziewy los badać kwiatem.
Może tam ujrzę moją dziewicę?

Może — dumałem — wianek jéj chwycę?
Wszak miłość, mówią, rządzi tym światem?

Zkąd takie myśli biegły przedemną?
Wszak jam niewiedział żeś mi wzajemną?
Prawdziwa miłość dziwnie nieśmiała!
Jam tylko wiedział, że pan bogaty,
Do twéj rodziny posyłał swaty,
Dom twój go witał, — a tyś milczała.

Jam był ubogi. Za skarb jedyny,
Nosiłem serce chciwe na czyny,
Rzewnie namiętne jak śpiéw słowiczy,
I jakąś jeszcze siłę nieznaną,
Któréj mi wówczas pojąć nie dano.
Jam Świętojańskiéj nieznał zdobyczy!

Cały dzień błądząc, zwolna widziałem,
Jak tłum nadpływał kraśnym nawałem.
Wianek za wiankiem fruwał koleją.
Choć nie mówiłaś czy przyjdziesz z wieńcem,
Choć już się zachód oblał rumieńcem,
Jam czekał jeszcze. Miłość... nadzieją.
W końcu, zabłysłaś!

RÓŻA.

I ja od rana,
Wyszłam do lasu, wyszłam spłakana.
Tysiąc się kwiatów prosiło w lesie,

Lecz ja zoczyłam krzak dzikiéj róży,
I już nie chciałam wybierać dłużéj.
Może mi róża szczęście przyniesie?

Wpół od radości, a wpół od gniewu,
Poobrywałam cały kwiat z krzewu,
Plotłam rękami, zaklęłam łzami.
Niech-że raz jeden — mówiłam sobie —
Z okrutnym losem tę próbę zrobię.
Wszak los nie człowiek, on nie omami?

Przebacz... Mnie samą wstyd dziś przenika —
Ja ciebie brałam — za obłudnika!
Że się twe serce ku memu skłania,
Wiedziałam, — dziewczę zawsze dostrzeże.....
Ale wątpiłam czy kochasz szczerze.....
Wszak nie słyszałam z twych ust wyznania?

Jeżeli jeszcze — rzekłam stroskana —
Nie przeczuł w wilję Świętego Jana,
Że mię z różami spotka na moście,
Jeśli za niemi w łódkę nie skoczy,
Zamrożę serce, wyjaśnię oczy.
Niech gody huczą, niech jadą goście!

Ach, bo sierocie, wyrok rodziny,
Jutro naznaczał już zaręczyny,
Z bogaczem, zimnym jak senna mara.
Już nikt nie zważał na me zwlekanie,

A ja wierzyłam że się coś stanie,
Co nas połączy. Miłość, — to wiara.

Dopóki w lesie, byłam tak śmiała!
Ale gdy w tłumie, jakżem truchlała!
Róże pod białą kryłam zasłoną.
— Aby swój wianek puścić na fale
W obliczu ludzi, — potrzeba wcale
Niemiéć miłości, lub mieć szaloną.

Mnie się zdawało, że wszystkie oczy
Na mnie zwrócone, w serca przezroczy,
Mą tajemnicę śledzą ciekawie.
A gdy ujrzałam jeszcze nad wodą,
Tyle rówiennic pysznych urodą,
Jak ja — pytałam — przed nim się stawię?

SŁOWIK.

Czyż ja prócz ciebie widziałem kogo?
Kiedy wschodziłaś płonąca trwogą,
To jakby naraz dwa słońca błysły.
Gdy wianek wodnéj rzuciłaś tęczy,
Pytałem, czemu ten lud nie klęczy?
Ty mi się zdałaś boginią Wisły!

Skoczyłem w czółno, porwałem wiosło,
Jak myśl pędziłem, serce mię niosło.
Już, już go chwytam... Los chciał inaczéj!
Wianek jak senne pierzchał złudzenie,

Uciekł i przepadł w morskie bezdenie,
A ja... spojrzałem w morze rozpaczy.

Czółno puściłem na wolę fali,
Leżąc jak martwy. — U brzegu, w dali,
Dogorywały ognie Sobótki,
Jak szczęścia mego wypalenisko.
Noc wiała żarem, — las kładł się nizko, —
Czasem kiść kwiatu spadła do łódki.

Raz, paproć moją musnęła głowę.
Dotknięcie lekkie, — a piorunowe!
Wszak to dziś kwitnie ów kwiat paproci,
Co ludzi darzy oczy takiemi,
Że widzą skarby zaklęte w ziemi?
Znajdę! On czarę dni mych wyzłoci.
I ja się stanę jak król bogaty,
Do méj królowéj wyprawię swaty,
Poślę obrączkę, odbiorę wianek.

Wybiegłem z łódki. Choć na kraj świata,
Pójdę go szukać przez dnie i lata,
Jak tylko szukać umié kochanek!

Ścieżką, robaczek szedł cichuteczko,
Ze Świętojańską swą latareczką.
Nabłogosławić go się nie mogę!
On mię prowadził wierném żarzewiem.

Jak szliśmy długo? Gdzie szliśmy? Niewiem.
Wiem, że do kwiatu pokazał drogę.

Ach, i znalazłem! Ale cóż? Nie to
Czego szukałem. Skarb to bez granic,
Lecz między ludźmi nie zda się na nic.
Jam przez cierpienie, został — poetą.

I gdy wróciłem z puszczy do świata,
Nikt mię nie poznał. Dusza skrzydlata,
Biła się we mnie jak ptaszę w burzy.
Trony na ziemi, gwiazdy na niebie,
Miałem dla wszystkich, — oprócz dla siebie.
Bo téż i żyć już nie chciałem dłużéj.
Nie miałem komu śpiéwać na ziemi,
Jam cię nie znalazł między żywemi.
Znalazłem grób twój, — przy nim, krzak róży.

RÓŻA.

Gdy łódź twa znikła, stałam zmartwiała,
Jeszcze się łudząc że sen mię łudzi.
Już mię nie trwożył bystry wzrok ludzi.
Tłum się rozpłynął, jam jeszcze stała.
Aż przyszli krewni, pod ręce wzięli;
Z rana mię całą ubrano w bieli,
Zaręczynowy pierścień włożono.
Ja ani mdlałam, ani płakałam;

Czułam że dziwnym rumieńcem pałam;
Płomień mi w czoło wrastał koroną.

Od owéj nocy, więdłam tajemnie.
Wszyscy płakali, patrzyli we mnie,
Nawet »on« płakał nad narzeczoną.

Niedługo potém leżałam w grobie.
Chciałam natenczas pomyśléć sobie,
O wielkim Bogu, o jasném niebie.
Chciałam, — nie mogłam... Ciągle w oddali,
Widziałam wianek na zdradnéj fali,
Widziałam tylko róże i ciebie!

A w grobie coraz zimniéj i czarniéj.....
Aż Bóg położył kres téj męczarni.
Do grobu mego anioł zszedł w gości,
Z gwiazdą u czoła, co się rozpłania
Różowo. (Pewnie anioł kochania).

»Kto« wyrzekł »umrze z ziemskiéj miłości
»Nie godzien nieba, lecz godzien raju.
»Wrośnij-że w ziemię, serce różane,
»Aż samo, nieba zechcesz w zamianę«.

Rzekł, jam się różą zbudziła w gaju.
Była noc. Czyste jak łza niebiosy.
Wypiłam chciwie kropelkę rosy.

Czułam, że dziwnym rumieńcem pałam.
Dźwięk brylantowy sypnął się z drzewa.....
Patrzę, gdzie jestem? Słucham, kto śpiewa?
Tak, jestem w raju! *Twój* głos poznałam!...

SŁOWIK.

Jam dnie przepędzał przy twoim grobie,
Pieśnią cię wołał, płakał po tobie.
Bywa, że słowik śpiéwa bez końca,
Aż się zaśpiéwa na śmierć. Tak we mnie,
Rana tęsknoty rosła tajemnie,
Aż raz pastuszek, o wschodzie słońca,
Znalazł me zwłoki. Tłum zszedł się ku mnie,
Kładziono wieńce na mojéj trumnie,
I wszystko zcichło. — Ja, leżąc w grobie,
Chciałem zbudować pieśń o wawrzynach,
Wielkich nieszczęściach i wielkich czynach,
Pieśń się składała zawsze o tobie.

Lecz była smutna. W piersi zamarłéj,
Serdeczne rany jeszcze się darły.

Aż téż i do mnie anioł zszedł w gości,
Z gwiazdą błękitną, co rozpromienia
Sam grób. (Zapewnie anioł natchnienia).

»Kto« rzekł »był śpiewcą ziemskiéj miłości,
»Nie godzien nieba, lecz godzien raju.

»Śpiewaj-że ziemię, serce spłakane,
»Aż samo, nieba zechcesz w zamianę.«

Rzekł, — jam się zbudził słowikiem w gaju.
Szczęsny, kto skrzydłem raz pierwszy wzleci!
O skrzydłach wiecznie marzą poeci.
Jam je miał. — Xiężyc błyszczał po burzy.
Mnie wciąż bolało serce spłakane,
Aż oto... balsam padł mi na ranę.....
Tém pełniéj żyłem, im padał dłużéj.
Zkądże przywionął prąd aromatu?
Patrzę: zapewnie z bliskiego kwiatu?
Poznałem różę, i *ciebie* w róży!

RÓŻA.

Wieszczu mój, powiedz, czyby nie trzeba,
Już nam się z raju wybrać do nieba?
Mnie ztąd nie spieszno, ale się boję,
Czy nie obrażą się archanieli,
Żeśmy tak długo ich zapomnieli?

SŁOWIK.

Różyczko moja! Natchnienie moje!
Zkąd ci ta troska? Czy niepokoje,
Są niewieściego serca potrzebą?
I do mnie anioł przemawiał w grobie,
A jam się na to uśmiechnął w sobie,
Kto z nas dwóch lepiéj wié gdzie jest niebo?

Człowiek zna więcéj niż aniołowie,
Bo zna cierpienie. Wierz, co ci powie
Serce, ta wieszczba słowiczo-głosa:
Niebo nie przy nas, lecz w nas się tworzy.
Gdziekolwiek żyją w zgodności bożéj,
Miłość z poezją, tam są niebiosa.

1869.

TY PÓJDZIESZ GÓRĄ, JA PÓJDĘ DOLINĄ.

Xięgi mówiły, ludzie mi mówili,
Że wszystko mylne, lecz jedno, jedyne
Przeczucie serca, nigdy nie omyli.
Ja uwierzyłam w tę dobrą nowinę,
I życie lekko niosłam od téj chwili,
Jak dziecię wierzy na słowo matczyne.
Aż czas, co wszystko rwie niepostrzeżenie,
I na téj wierze napisał: »Złudzenie!«

Znałam ich dwoje. Gwiazdy ich w błękicie,
Świeciły blisko, jak dwoje ócz świeci.
Za to ich ścieżki tak różnie szły w życie,
Że się nie mogli, wśród krętéj dróg sieci,
Ni jawnie spotkać, ni dopatrzyć skrycie.
Lecz mój wzrok, (czegóż nie dojrzą poeci?)
Obie ich drogi widział jednocześnie.
Gdzie? Nie pamiętam. Na jawie? Czy we śnie?

Ona szła górą, a on szedł doliną.
W tęczach płynęła na obłocznéj bieli.

W puszczowych jarach łamał się z lawiną.
Oboje uśmiéch i hart jeden mieli.
A ja pytałam, czy zawsze się zminą?
Skarżyłam życie, dla czego ich dzieli,
Kiedy ich gwiazdy tak bliskie na niebie,
I jak dwie gwiazdy podobni do siebie?

Ach, wyście jednak nieraz się przeczuli!
Widma, we mglistéj majaczyły szacie.
Gdyście zosobna swe rojenia snuli,
Ideał wzajem brał wasze postacie.
A wy pytając, czy na ziemskiéj kuli,
Czy aż na innych go światach spotkacie,
Szliście samotni, zatęsknieni w tłumie,
Co chłód wasz ganił, i dziwił się dumie.

Aż przyszła chwila, (jakby dziś ją pomnę!)
Kiedy jéj ścieżka, lodowcem zepchnięta,
Z grozy chmur zbiegła nad poniki skromne —
Gdy jego ścieżka, schwycona jak w pęta,
Przez nurt i ściany przepaści niezłomne,
Na stok wybiegła, jako piorun kręta.
I na wpół góry zeszły się ich drogi,
I objawili się sobie, — jak bogi.

Słowa zamienić jeszcze nie zdążyli,
Już głos w nich szepnął: »Wszak to on!« — »To
[ona!« —
A ja szepnęłam: »Jeśli w jakiéj chwili,
»To w téj zaiste, przyszłość mię przekona,

»Czy serce pierwszém przeczuciem nie myli?«
A drżąca byłam, cała zapatrzona
Jakby w mą własną, w przyszłość owéj pary.
Ach, mnie chodziło o klejnot méj wiary!

Miejscem spotkania była górska łączka.
Eden, maleńki, lecz w urok bogaty.
Na wzgórzach, w koło zgiętych jak obrączka,
Las go zagradzał iglastemi kraty.
Wązki wodospad, jak perłowa sprzączka,
Przepinał razem skały, las i kwiaty,
Bo łąka była kwiatami nabita,
Jak dusza, kiedy raz pierwszy rozkwita.

Podczas gdy wzrok mój błądził po téj hali,
Oni w rozmowie, stłumionéj lecz szybkiéj,
Całą swą przeszłość już wyspowiadali.
I jakby razem chowani z kolébki,
Szli zwolna, brodząc w ziół szemrzącéj fali.
Tak dwa łabędzie toczą pochód gibki.
Czasem stanęli wśród skał, by z uśmiechem
Wzajem swe imię wywoływać echem.

Doszli do źródła. Na rozłomie głazu,
Siedli. On zrywał różowe jagody,
I na listeczku jéj przynosił. — Zrazu,
Wzrok ich był trwożny, tylko w szybie wody,
Wzajem swojego szukali obrazu.
Nagle, spojrzeli ruchem dziwnéj zgody,

Wyżéj, nie w źródło co ze skał się toczy,
Lecz w źródło czarów i łez, w żywe oczy.

Od téj się chwili stali jacyś inni.
Nad zagadkami życia zadumani
Jakby starcowie, a w życiu dziecinni.
Ledwie znajomi, a już zaufani.
Płomienni myślą, a sercem niewinni.
Jak zawieszeni w poprzek dwóch otchłani,
Stali na dziwném międzymorzu owém,
Gdzie miłość wszystkiém już mówi, prócz słowem.

Łzą, co źrenicę przemienia na djament,
Albo uśmiéchem, co usta w kwiat zmienia.
Tą grą oblicza, co ma jak firmament,
Gwiazdy i burze, słońca i zaćmienia.
I tą grą ruchów, co jak fali zamęt,
Zdradza bijące na jéj dnie wzruszenia.
I przelotami owéj nagłéj ciszy,
Gdzie dusza mówi, ach i drugą słyszy.

To czas przedburza. — Bywa, że w przedburze,
Wicher się zrywa i znów się pokłania.
W sercu, dwa prądy, jak w nawałnéj chmurze
Grzmią. Jeden woła: »Spuśćmy grom wyznania!«
A drugi błaga: »Niech jeszcze przedłużę,
»Ten przerozkoszny dreszcz oczekiwania...«
— I także bywa, że gdy wicher czeka,
Burza omdleje, i przejdzie zdaleka.

Tak się tu stało. Ona, chcąc wstydliwie
Oddalić chwilę stanowczą dramatu,
Wzrokiem po krągłéj zatoczyła niwie.
Dojrzała w dali kwiat z barwą szkarłatu.
»Jak piękny!« Rzekła. On, w niemym podziwie
U jéj stóp, niby nie słyszał. Aż kwiatu,
Tak się naparła, że musiał, jak dziecię
Posłuszny, powstać, i pójść po jéj kwiecie.

Przestrzenie w górach złudne są dla oka.
Kwiat purpurowy zdawał się tak blisko,
A drogę cięła szczelina głęboka.
Tam on się puścił. Lecz i ona, ślizką
Steczką, podbiegła w górę, i z wysoka
Śmiała się, skryta za mszyste urwisko,
Tą się pustotą mszcząc, że nie od razu
Jéj wszechwładnego usłuchał rozkazu.

Gdy ze szkarłatną powrócił zdobyczą,
Już jéj nie było. Stanął porażony.
Lecz się uśmiéchnął zaraz tajemniczo.....
Z za głazu dojrzał brzeżek jéj zasłony.
Ręką pogroził z przekorną słodyczą,
I chciał jéj zabiedz od przeciwnéj strony,
By mu nie pierzchła. Krąg zakreślił chyży,
Lecz ona coraz uciekała wyżéj.

Jak dwa motyle igrają na łące,
Jak się dwie rybki gonią przez odmęty,

Jak dwa skowronki w słońcu wirujące,
Tak oni, krążąc w skręty i rozkręty,
Głosem się tylko wiązali w rozłące.
Aż on, uporną jéj ucieczką tknięty,
Nagle się wstrzymał, i siadłszy pod drzewem,
Ręce założył z udawanym gniewem.

Jak ptaszę patrzy z za prątków ciekawie,
Tak, zadziwiona milczeniem zbyt długiém,
Z gąszczu wyjrzała w niepewnéj postawie,
I już zielonym zestąpiła smugiem.
Wtedy on, mszcząc się w odwetowém prawie,
Zaczął uciekać po wybrzeżu drugiém.
I biegli równo, bliscy siebie znowu,
Lecz rozdzieleni przecięciem parowu.

Czemuż nie miały piór nasze gołębie?
Parów nieznacznie wąwozem się stawał.
Potokiem toczył przez pomroczne głębie,
Coraz tłumniejszy kłód i złomów nawał.
Brzegi rozszczepiał jak skrzydła jastrzębie,
W ziemię się coraz przepaściściéj wkrawał,
Aż rozwarł paszczę i stał się otchłanią.
Ach, gdybyż sercem zarzucić most na nią!...

Oboje razem stanęli jak wryci.
Ku łączce chcieli powrócić oboje,
Ale kto szczęścia w pierwszy lot nie chwyci,
Niech sobie powié: »Żegnaj szczęście moje!«

Wspomnieniom brakło Arjadnowéj nici.
Skracając drogę, przeskakując zdroje,
Sami nie wiedzą, w leśném pół-przezroczu,
Jak się i kiedy utracili z oczu?

Żeby téż można przesłać im przestrogę:
»Tędy!...« — Raz jeszcze oto się ujrzeli,
Raz! Chciałam wołać, próbuję... niemogę!
Świat marzeń, ludzi od poetów dzieli. —
— Ją, sęp nastraszył, i zmyliła drogę.
On, przynęcony od jakowéjś bieli,
Wśród skał zabłądził, zbiegł do wodospadu,
Lecz do innego, — a jéj, ani śladu.

Odtąd się tylko tęsknemi wyrazy,
Długiém hukaniem wabili wzajemnie.
Głos, przeleciawszy śród nich kilka razy,
Znikł, jaskiniami schłoniony tajemnie.
Zeszli do górskiéj niejednéj oazy,
Lecz nie do tamtéj! — Aż zwolna i we mnie,
Zaczęło serce zapytywać z trwogą,
Czy jeszcze kiedy odszukać się mogą?

Przeklęty kwiatku! Bliski a daleki!
Godło rozstania! Uslysz moją mowę:
Oby do morza uniosły cię rzeki!
Obyś, rozpięty na łoże mumjowe,
W żółtym zielniku spoczywał na wieki!
Niech wina spadnie na twą krwawą głowę,

Bo téj pewności nic we mnie nie zmieni,
Że od gwiazd byli sobie przeznaczeni.

›Teraz-to«, rzekłam »dopiero zobaczę
»Nieukojone niczém niepokoje.
»Będąż to jęki! Będąż to rozpacze!
›Samém przeczuciem już cierpię za dwoje.
»On się zabije — ona się zapłacze,
›I z żalu skona. Spojrzéć się tam boję.....«
I długo, oczów nie wzniosłam struchlała.
Aż gdy podniosłam... ach! cóżem ujrzała?

Idą spokojnie, idą obojętnie,
Jakby starcowie... Swobodni, jak dzieci!
Może ich oczy mgłą zachodzą smętnie,
Ale w tych oczach żadna łza nie świeci.
Może drga boleść w prędszém serca tętnie,
Lecz jéj nie dojrzy nikt, nawet poeci.
Życie nie xiążka. — Próżna trwoga cała!
Ni on się zabił, ni ona skonała.

Niemość rozpaczy, — tak sądziłam zrazu.
W pewne też rano, gdy przy małym zdroju
Siadła, (jak owdzie!) na rozłomie głazu,
Przeszyła wodę wzrokiem niepokoju,
Jakby szukała czyjegoś obrazu,
I ust muśnięciem tknęła liść powoju.
Lecz wnet, po czole przesunęła rękę,
I poszła, nucąc pasterską piosenkę.

On, raz napotkał u wiszaru drogi,
Krzak obsypany w kiście purpurowe.
Widząc je, wydał krzyk drapieżnie srogi,
Obu rękami chwycił się za głowę,
Obrywał kwiaty, ciskał je pod nogi,
Deptał, sam z sobą wiódł gniewną rozmowę —
Aż... dał znak ręką jak na pośmiewisko,
I odszedł, nucąc piosenkę myśliwską.

Zwolna, podróżnych spotykać zaczęli,
Wyszli na szersze gościńce żywota;
Szli w tłumie rześcy, nieledwie weseli,
Do celów nowych wrzała w nich ochota.
Śmieli się nawet, — tak! oni się śmieli!
Ja, wciąż pytając, gdzie żal, gdzie tęsknota?
Zaczęłam wątpić w duchowéj jesieni,
Czy kiedy byli sobie przeznaczeni?

Wśród dziew co szepcą, i mężów co gwarzą,
Nieraz przed jedném, drugie wymieniono.
Żebyż zmieszaną zdradzili się twarzą!
Nic!... Nie zagrało ni oko ni łono.
— Ja, z oburzeniem, w którém łzy się warzą
Spojrzałem wyżéj. Byłam przeświadczoną,
Że gdy ich serca tak dalekie siebie,
Już się i gwiazdy rozeszły na niebie?

Nie! Jedna z drugą koło w kole toczy,
Jakby w objęcia brały się wzajemnie.

Czemuż tam jasno, kiedy tu się mroczy?
Tysiące pytań zahuczały we mnie.
Gwiazdy! Ja kłamstwo wam rzuciłam w oczy!
Gwiazdy się tylko uśmiechnęły ze mnie,
I rzekły: »Serce uspokój w błękicie.
»Czyż jedném życiem człowiek spełnia życie?

»Wy, zadziwieni sceny wyrwanemi,
»Możecież sądzić o boskich dramatach?
»Miłość, prologiem zaczęta na ziemi,
»Może na innych rozegra się światach?
»Wam, czucia więdną z kwiatami waszemi,
»Ale są światy o niezwiędłych kwiatach.«
— Tak, widok nieba kojąc nieskończenie,
Z xięgi mych myśli starł słowo: »Złudzenie«.

Szerszą się wiarą zapisała xięga.
»Tak!« Zawołałam. »Przeczucie nie myli,
»Lecz jeszcze daléj niż sądzimy, sięga.
»Spokojni? Wiedzą, że choć się stracili,
»To nie na zawsze, i ztąd ich potęga.
»Kto raz się znalazł, ten się w danéj chwili
»Odnajdzie, niebu wiadomym sposobem.
»Tylko pytanie, czy przed, czy za grobem?«

1869.

OBJAWIENIE SIĘ MUZY.

Wybrzeże Grecji. Po lewéj stronie morze. Nad niém brzeg skalisty. Daléj góry oświetlone złotą i fjoletową łuną zachodzącego słońca. Na pochyłości gór, zwaliska świątyni. U brzegu uwiązana łódka.

Wchodzi PODRÓŻNY.

PODRÓŻNY.

Po długich wędrowaniach, staję więc na ziemi,
Gdzie człowiek bogów zwołał, i gdzie śmiał żyć
[z niemi.

Tu dusza, z codziennego letargu zbudzona,
Jakby w powietrzu piła elixir młodości,
Porywa się, i wita dawno znanych gości,
Bohaterów Plutarcha i mędrców Platona.

Przyjmij pokłon miłosny, ty marzeń mych celu,
Hellado, co jak bujne liście kapitelu,
Wykwitłaś wszech-pięknością na dziejów kolu-
[mnie!

Choć w huraganie wieków zwisły skrzydła twoje,
Choć tyle krwi zbryzgało twych szat białe zwoje,
Dziś jeszcze z sarkofagu uśmiéchasz się ku mnie.

Siada na odłamie głazu.

Tu duch mój, wytrzeźwiony z szyderstwa, co [tknęło
Nasz wiek goryczy, może zrozumié przytomnie,
Czego Genjusz przeznaczeń spodziewa się po [mnie?
Wszak on każdemu daje do spełnienia dzieło?
I niech się nikt nie żali, że mu żyć przystało
W dniach, gdy nie ma co czynić. Czyż chce, nie- [ruchomy,
Siąść u szczytów, jak niegdyś bogowie błękitni
I tylko w kataklizmach świata, ciskać gromy?
Życie mógłby przeczekać! Nieraz, robić mało,
Bywa trudniéj niż wiele. Trudniéj, więc zaszczyt- [niéj.

I mnie, duchu przyszłości, rzucasz kartę białą!
Czuję w sobie potęgi co rwą się do życia,
Chcą stwarzać i budować.

Najprzód, łódź podróżną,
W przeszłość musiałem zwrócić, sprawdzić jéj [odkrycia,
Zwycięztwa i przegrane, by pracą napróżną,
Nie błądzić po manowcach gdzie błądziło wielu,
Nie gonić za skarbami, które już zdobyto.

Jest przecie kres wahaniu. Podróż woła celu.
Oto kraj, gdzie raz pierwszy została wyrytą,
Pierwsza ustawa wiedzy: »Znaj samego siebie«.

Kraj, gdzie wieszcz, zanim sięgnął po laur epopei,
Nim rozpiął skrzydła ody, — wzrok zatapiał w nie-
I wzywał boskiéj Muzy. [bie,

I ja, w odyssei
Mych dni, w ojczyźnie twojéj, Muzo! Wzywam
[ciebie!
Oto trzymam tablicę życia marmurową —
Muzo! Powiedz mi, jakie wyryć na niéj słowo?

Wśród zwalisk świątyni, ukazuje się postać MUZY, w powłóczystéj białéj szacie, w wieńcu z liści na głowie.

PODRÓŻNY.

Bogi niebieskie! Cóż to za zjawienie?
Czy mgła się podniosła z morza,
I jakąś myśl Fidjasza unosi w przestworza?
Czy posąg dawny, uśpiony na kwiatach,
Z pomiędzy ruin wstał niepostrzeżenie,
I przyszedł zajrzéć na czatach,
Czy nowa nie wschodzi zorza?

Chwila milczenia.

Ani mgła — ani posąg. — Zagadka nad siły.
Czy powietrze tych krain zwiewa łuskę z oczu?
Czy gdzieś na drodze, pod skałą,
Węzeł zaplotłszy w warkoczu,
Czarodziejki Tessalji urok mi rzuciły,
Że mię szaleństwo piękna obłąkało?

Milczenie.

Szał czy zaklęcie,
Sny czyli cuda,
O niech się święci, niech zwodzi mię święcie,
Błogosławiona ułuda!

Nie śmiem odetchnąć, by się nie rozwiała.....
Chciałbym pójść bliżéj, bliżéj, a truchleję,
Że z owém »bliżéj« wszystko się rozwieje.
Jak wszystkie cuda, jak wszystkie nadzieje!

MUZA zstępuje zwolna z pomiędzy zwalisk, schodzi na brzeg wyniosły, i oparta o skałę, spogląda na morze.

PODRÓŻNY.

Tak, spływaj z wyżyn, wizjo moja biała!
Zarysowana na tle błękitu,
W drżącém powietrzu unosi ją skała,
Jakgdyby w niéj zmartwychwstała
Grecja cała!

. . . .

Zbiegajcie się narody, klękajcie z zachwytu!

. . . .

Nie, tyś nie zwodną złudą wyobraźni;
Widzę cię bliżéj a widzę wyraźniéj.

O, gdyby jeszcze zechciała
W tę stronę zwrócić oblicze!

. . . .

Czémże tak cię to morze nęci tajemnicze?

Dzięki! Zwraca oblicze — ku mnie czoło skłania.
Ten wzrok! Spokojny jak gwiazda przyjaźni —
Ogarniający jak pożar kochania!...
Jakaś ty cicha, a jaka wspaniała,
Ruin królowo!
Ach, gdyby jeszcze przemówić zechciała...
Słowo!

MUZA.

Wywołana, zstąpiłam.

PODRÓŻNY.

Przezemnie wołana,
Raczyłaś zstąpić? Dla mnie? O patrz, na kolana
Padam z modlitwą dziękczynną.
Żadna już mię od stóp twych nie oderwie siła.
Po widzeniu, już tylko umrzéć się powinno.

. . . .

Ktoś ty jest, tajemnico z oczy bezdennemi?
Jam wywoływał Muzę. Tyż-byś Muzą była?

MUZA.

Taką nazwę śmiertelni dali mi na ziemi.
Na innych światach noszę nazwę inną.

PODRÓŻNY.

Ale w jakiém-że ciebie wzywać mam zaklęciu?
Talja, Polymnja czy Klio —
Którą-że jesteś z dziewięciu,
Co wawrzyny u szczytów Helikonu wiją?

MUZA.

Więc i ty uwierzyłeś w podania zwodnicze,
Jakie gmin nagromadził przy stopniach méj
[wiary?

Ja, przez nieznane wam czary,
Tak umiem zmieniać postać i oblicze,
Od gwiazd do kropli rosy spadam jednéj chwili,
Od tańca wodzonego przy fletni prostaczéj,
Do łamania rąk w rozpaczy,
Od śmiéchu, w którym dusza ma trzepot motyli,
Do lwiéj zadumy —
Wszędzie tak się przerzucam, że zdziwione tłumy,
Widząc mię tylokrotną, wszechobecną w świecie,
Rozłamały me imię za wielkie. — A przecie,
Ja jedna jestem, zawsze byłam jedna,
Jam jest — Poezja.

PODRÓŻNY.

Pozwól, niech w pokorze,
Usta na kraju twojéj szaty złożę.
Usta te odtąd, w twéj obronie śmiałe,

Będą fałsz poskramiały, Jeśli głos mój, zjedna
Twym prawdom jedno serce, dość na moją chwałę.

Mów, jak mam odpowiadać, gdy mię pytać będą,
Zkąd twój ród, gdzie kolébka, jakie twoje dzieje?

Wśród retorów się z dziwną spotkałem legendą,
Jakby odwieczny mocarz Tracji tajemniczéj,
Był ci ojcem...

Ten uśmiéch! Gdy Muza się śmieje,
Ach, to jest uśmiéch słodyczy,
Co tak dumna, że nawet gniewać się nie raczy.

Inni, od bóstw Olimpu twój ród wywodzili.....

MUZA.

Dosyć. Uśmiechu tylko godzien, kto mi znaczy
Kolébkę wśród śmiertelnych. Lecz i ten się myli,
Kto mię z Olimpu wywodzi.
Czyliż Olimp mógł istniéć, póki mnie nie było?
Wszyscy jego mieszkańcy, to bogowie młodzi,
Przybysze, miałką obdarzeni siłą,
Na których my, pierwotne stworzenia olbrzymy,
Jak na pacholę patrzymy.

Rody bogów się piętrzą, nie na dniach ni latach,
Lecz na miljonach wieków. Ich przestraszne
[dzieje,

Na których przypomnienie duch we mnie truchleje,
Rozgrywały się dawno na dalekich światach.
Do was ledwo wieść o nich przywionęła chmurna.

Znacie wiek złoty Saturna?
Saturn młodszy od Muzy. — Wiész jak gasł taje-
[mnie
Uranus, gorącemi słońcami skrzydlaty?
I ten młodszy. — Słyszałeś, jak niegdyś szałenie,
Kronos i Okeanos rozrywali światy?
I oni młodsi odemnie.

Starszych od mego rodu jest bóstw tylko troje:
Noc, Chaos i Przeznaczenie.
Wnet po nich się w wieczności ważąc nieskoń-
[czenie,
Idą bieguny ducha, — to rodzice moje:
Matką mi była Miłość, a ojcem Cierpienie.

PODRÓŻNY.

Matką ci była Miłość..... a ojcem Cierpienie.....
Pozwól — niech myśli zbiorę — ja sam się ru-
[mienię,
Ale pojąć nie mogę... przebacz, wszak ja człowiek!
Cierpienie! Czyż być może? Ty, któréj oczyma
Patrzy wieczna pogoda, — ty, u któréj powiek
Nigdy łza nie zawisła, — znałażbyś cierpienie?

MUZA.

Czyż może być poezja, gdzie cierpienia niéma?

PODRÓŻNY.

A miłość?... jeszcze przebacz..... pył mówi tak
[śmiało!
Ty umiész śpiéwać miłość z czarem, z niepokojem,
Z siłą, w kastalskiem źródle sztuki wyczerpaną,
Lecz nigdy w dziejach bogów, nigdy nie słyszano,
Aby się objawiła, żywa, w sercu twojém?

MUZA.

Czy ludzie wiedzą wszystko co się w niebach
[działo?

PODRÓŻNY.

Więc tybyś mogła kochać?

Chwila milczenia.

Już kochałaś może?...

MUZA.

Już, i jeszcze.

. . . .

Odwieczna, tragiczna to powieść.
Na jéj odgłos umarli wzdrygają się w grobie —
W niéj spoczęły najgłębsze tajemnice boże.
Tylko moim wybrańcom, kiedy chcę im dowieść
Że są wybrani, moje opowiadam dzieje.
Opowiem, tobie.

PODRÓŻNY.

Chwilkę jeszcze... Przed takiém niebem zachwy-
[cenia,
Moc śmiertelnika się chwieje...
Ja, wybrany? To słowo świat dla mnie przemienia!
Sama mi opowié?
Mów! Słucham... Duch mój, los mój, zawisł na
[twém słowie!

MUZA.

Gdy młodzieńczy, hardy, śmiały,
Saturnową mocny klęską,
Zeus na tronie siadł zwycięzko,
I wychylił czarę chwały,
Spojrzał, nie na bohatery,
Nie na bogi, — lecz boginie.
Brwi naciągnie, ręką skinie,
I wnet przybiegł syn Wenery.

Przybiegł, dał mu łuk i strzały.
Wstał król bogów z majestatu,
I w świat poszedł, hardy, śmiały,
Już nie gromem grozić światu,
Sercom tylko grozić klęską.
Z czary niepokonanemi,
Wśród cór nieba, wśród cór ziemi,
Pan Olimpu szedł zwycięzko.

Aż przybył do krainy mojéj, zaświatowéj,
Gdzie milcząca, topiłam oczy nieskończenie

W xiędze, którą mi czytać dało Przeznaczenie,
Pisanéj na tle czarném tęczowemi słowy.

Czujna byłam, jak wszyscy którzy skarbu strzegą.
Ja, Muza, w sercu strzegłam ognia niebieskiego.

Zdumiony, że tam jasno bez gwiazd ani słońca,
Zeus nie śmiał wtargnąć pierwszy, na zwiady słał
[gońca.

Wleciał orzeł, mirt świeży przynosząc mi w dzio-
[bie.
Ja, nie znająca jeszcze waszych godeł z ziemi,
Wzięłam drobną gałązkę, i roztargnionemi
Rękoma, między włosy zaplotłam ją sobie.

Wtedy, hardy i wspaniały,
Stanął przy mnie wódz niebianów,
Stanął w huku huraganów.
Chciał mię olśnić słońcem chwały,
Chciał piorunem zmódz.

PODRÓŻNY.

Zuchwały!....

MUZA.

On w źrenicach nosił strzały.
Czego inni nie dostrzegą,
Skarb, dla niego był widomy.
On miał tylko niebios gromy,
A chciał ognia niebieskiego.

Ja ciekawie patrzyłam w nowe dla mnie dziwy.
Obraz jego nasuwał złotych myśli nawał,
Ale serce milczało. Zeus mi się wydawał,
Nadto tryumfujący, i nadto szczęśliwy.

Spojrzę w xięgę gdzie przyszłość jasną stoi wie-
I w xiędze czytam: [ścią,
»Grzmiące Zeusa panowanie,
»Krótkie będzie, jak burza; — nic się nie ostanie,
»Jeżeli nie zdobyło zasługi, boleścią.«

Chciałam go wypróbować. Patrząc prosto w lica,
»Jeśli« mówię »tak silnie serce cię nakłania,
»Kładę warunek, jeden, lecz bez odwołania:
»Pójdź Zeusie i proś o mnie u mego rodzica.«

Ha! Uląkł się spotkania z Cierpieniem! Pan bogów
Zbladł. — On łez niechciał wpuścić w rozkoszne
[podwoje
Swego Olimpu! — Zadrżał o pioruny swoje!

Skinął na orła, odszedł, i — wrócił się z progów.
Żądłem oczu mię przeszywszy,
Z drżeniem w głosie, rzekł ponury:
»Strzeż się! Jeśli z bogów który,
»Wyjdzie kiedy ztąd szczęśliwszy,
»Poszlę mu innego ptaka.....
»I ja wieszcz! I zemstę wieszczę!
»A ta zemsta będzie taka,
»Jakiéj świat nie widział jeszcze!«

. . . .

PODRÓŻNY.

Ukój się Muzo..... Czemuż drogie słowa,
Jakby rosa na róży, na twych ustach wiszą,
A ja czekam jak żeglarz, przerażony ciszą?

MUZA.

Tak, — tu na ustach zamiera mi mowa.....
Przychodzę do największéj życia mego chwili....
Muszę dotknąć najkrwawszéj serca mego rany....

. . . .

Był ród bogów najmłodszych — ci na ziemi żyli:
Tytany.

Ród lepszy od Olimpu, lecz nie znał sam siebie.
Pod gromami pokorny i zapracowany,
Nie czuł, że to on godzien zapanować w niebie.

Ale był śród nich jeden..... Najmilszy z postaci,
Najwaleczniejszy sercem. On kochał tak braci,
Że pojął poniżenie ich martwego życia,
I przysiągł, że wszystko straci,
Lub wróci im godność bogów.

Grom nieba już był w ręku Zeusa, w ręku wrogów.
Jeszcze niebieski ogień został do zdobycia.

PODRÓŻNY.

Prometeusz!

MUZA.

On! — W wieczność poszedł niestrudzenie,
Poszedł szukać mię. — Stanął w mém zaklętém
[kole,
Nie jak ów Olimpijczyk z pychą i wszechmocą,
Lecz cichy i łagodny; — a nosił na czole,
Znak mi dotąd nieznany, znak smutku..... za-
[ćmienie.....
Na jego widok oczy podniosłam od xięgi,
I oczy mi raz pierwszy zaszły ową nocą,
Z któréj wstaje dzień wyższy. Zaznałam dreszcz
[trwogi.....
Gdy mówił o braci losie,
Łzy miał w oczach, łzy miał w głosie.....
Słyszysz, łzy? Większéj potęgi,
Nie posiadły żadne bogi!.....

. . . .

Jam sercu panowała lat i wieków tyle —
Lecz jakież siły serca przed łzą się ustrzegą?

. . . .

Z ust mych, uniósł w jedną chwilę,
Iskrę ognia niebieskiego.

. . . .
. . . .

PODRÓŻNY.

Szczęsny! Ha! Nazbyt szczęśliwy!....

MUZA.

Kiedy z tą jedną iskrą powrócił do ziemi,
Ziemia się przemieniła.

Jak lew złotogrzywy,
Ród Tytanów, zbudzony, strząsnął pył ze skroni.
Zrozumieli, że i oni
Są nieśmiertelnemi.

. . . .

Lecz on..... Znasz jego losy — zna je ziemia cała.
Kiedy zatrzęsła się skała,
Kiedy zemsta w prawicy Zeusowéj zagrzmiała,
Wtedy zbiegłam pomiędzy Tytanidów plemię.
Poezja przyszła z nieszczęściem na ziemię.

Tyś mówił żem spokojna? Żem łez nie zaznała?
Od widoku boleści jam jest skamieniała —
Ja wypłakałam już wszystkie łzy moje.

U skały poświęcenia, i w noce, i we dnie,
Pieśniami płaczę, pieśnią ból mu koję.

Czesem, pieśń uśpi ptaka co mu targa łono.
O! W takiéj chwili, śpiéwam przepowiednię,
W xiędze przeznaczeń skreśloną
Piórem, wyrwaném ze skrzydeł nadziei:

— »Każdy ród bogów ma swój wiek z kolei.
»Przyjdzie czas, kiedy ślepe olimpijskie siły,
»Co tylko gromem rządziły,
»Przejdą jak burza, — a Tytany ducha,
»Niebo zdobędą w powtórnym rozpędzie.«

On, wieszcz, słucha z uśmiéchem, — i Zeus nawet
[słucha,
I nie może zaprzeczyć, bo wié że tak będzie.

. . . .

Oto są, serca Muzy dzieje tajemnicze.
Młodzianie! Czemu wzrok twój chmurzy się i mro-
[czy?

PODRÓŻNY.

Jeśli trzeba iść z bogów, by zwrócić twe oczy,
Pocóżem twoje oglądał oblicze?

MUZA.

Jeszcze mię nie zrozumiał?... Każda ludzka dusza,
Co bohatersko idzie przez boleść i trud,
Jest jedną chwilą w dniach Prometeusza,
Bo Prometeusz, to człowieczy ród.

PODRÓŻNY.

O! Jeśli tak, ja szturmem chcę zdobyć niebiosy!
Wziąć przyszłość w proroczém słowie!
Śpiéwać boleść na wszystkie ducha mego głosy!

. . . .

Lecz wiem-że czy dar pieśni dali mi bogowie?

MUZA.

Ach, czyż tylko do pieśni natchnienia potrzeba?
Czy to zapał, czy to wiara,
Czyn, czy mądrość, czy ofiara,
Wszystko woła ognia z nieba.
Idź, niech tylko twe życie będzie poematem,
A Muza pójdzie z tobą, przez świat, i za światem.

PODRÓŻNY.

Idę wyzwać wszystkie męki!
Albo na tarczy zostanę,
Albo wrócę zwycięzcą po wieniec z twéj ręki.

MUZA.

Ach, nie wyzywaj cierpień! Przyjdą niewołane,
Przyjdą w liczbie co ciebie samego zadziwi.
Im będziesz czuł szlachetniéj, żyć zechcesz cno-
[tliwiéj,
Tém więcéj gromów twe czoło ogarnie.
O to chodzi jak cierpieć, mężnie czy nikczemnie?

PODRÓŻNY.

A przeszłość moja? Przeszłość?.... Minęła-ż tak
[marnie?
Wierz mi, znam się z nieszczęściem. W niejednéj
Jam już wieki przecierpiał. [godzinie,

MUZA.

Któż lepiéj odemnie,
Zna tajnie twéj przeszłości? Dla tegoż jedynie,
Żeś i ty już miał swoją prometejską skałę,
Muza ci się objawia. Taką wielką chwałę,
Może tylko dać wielka.....

PODRÓŻNY.

Miłość!.... O natchniona,
Tu, na sercu rozkochaném
Spocznij — pójdź w moje ramiona!
I jam uczuł się Tytanem!

MUZA odrywa się od ziemi i zwolna pierzcha w powietrzu.

MUZA.

Wstrzymaj się! Miłość Muzy groźna, bo skrzy-
[dlata.
Im duch namiętniéj ku niéj się przybliży,
Tém ona daléj odlata,
Ale na to odlata, by pociągnąć wyżéj.

Po spiętrzonych stopniach świata,
Musisz łamać wszystkie bramy,

Musisz zrywać wszystkie tamy,
Z próby w próbę, z życia w życie!
Gdzieś i kiedyś się spotkamy,
Lecz to aż na niebios szczycie.

MUZA rozwiewa się w powietrzu. PODRÓŻNY, goniąc za jéj lotem, staje między zwaliskami świątyni.

PODRÓŻNY.

Więc iść mi za nią! Między czarne losy,
Nad gruzy świata i nad szczęścia gruzy,
Z ziemi do nieba, z niebiosów w niebiosy,
Cierpiéć i kochać, przez Muzę — dla Muzy.

Chwilę patrzy w niebo — zstępuje z gór, wsiada w łódź i odpływa.

1869.

GŁOS POWSZECHNY

DO ANTONIEGO EDWARDA ODYŃCA.

Dla naszéj ziemi to już nie nowina,
Że pieśń u ciebie brzmi jak Alleluja,
W eterze hymnu orli lot rozpina,
I pięciolistnym dramatem wybuja.

Lecz co zniedawna wieścią w naszéj ziemi,
To żeś poetą w niewiązanéj mowie.
Ach, niewiązanéj! Któż tę zgrozę powié,
Gdy się tak wiąże z sercami naszemi?

»Listy z podróży« obiegły kraj cały,
Wszędzie witane jak list przyjaciela.
Zdrowie z nich tryska jak aromat z ziela,
Dowcip z nich puszcza niezatrute strzały.

Tam staropolska jest owa prostota,
Co jakby kotek mruga filuternie.
Czasem wspomnienia zakwitną jak ciernie.
A na dnie, serce ze szczerego złota.

I my wędrujem od modrego Niemna,
Po Ren zielony. Stajem na tém samém
Rozdrożu wrażeń, gdzie wróżka tajemna,
Poezja, wiodła Edwarda z Adamem.

Bo też to była podróż nad podróże,
Gdy dwaj lutniści, płomienni i młodzi,
W kwiatach doliny i gruzach na górze,
Śledzili drożyn gdzie Natchnienie chodzi.

Starszy, śpiewając szedł, i wyobraźnią,
Między gwiazdami już widział swe trony.
I młodszy śpiéwał, w niego zapatrzony,
Dwakroć poeta: pieśnią i przyjaźnią.

Bo to jest jedną z chwał twojego ducha,
Że zapomniawszy o wrodzonéj dumie,
Pieśni swych braci jakby własnych słucha,
I chwałą drugich radować się umié.

Rozwarłeś serce, i cień Mickiewicza,
Mignął przed nami odmłodzoném licem.
Ale te rysy rozpierzchłe, są szkicem;
Ach, gdybyś zechciał zdjąć całość oblicza!

Już się głos jeden z ust wszystkich wymyka,
Woła o pełne kształty życiorysu.
Dotąd rzucałeś nam listki cyprysu —
Czemuż-byś nie miał postawić pomnika?

Wiem: taka prośba, to wielka odwaga;
Lecz że wysłuchasz, więcéj niż nadzieja,
Bo i od kogóż czarów się wymaga?
Wszak tylko od czarodzieja?

1870.



ŚPIÉW NA DWA GŁOSY.

Jest muzyka co światy wiąże grą liczbową,
Zrozumiała jedynie dla duchów przyrody.
Jest inna, co zapałem porywa narody,
Przezroczysta dla wszystkich jakby proste słowo.
Jest inna, co ma trudność i szlachetność cnoty;
Jéj zagadnień, kwiat mistrzów z namaszczeniem
[słucha.
Jest nakoniec i taka, co dla wszystkich głucha,
Słyszalną bywa tylko dla jednéj istoty.

Znałam ja dziewczę, z parą tak pogodnych oczu,
Jakby dwie aureole wykrojone w niebie,
Z duszą świéżą jak pączek róży w jéj warkoczu.
Znałam tę rozśpiewaną, jakby samą siebie.
W najgłębszych tajniach serca nuciła piosenkę,
Ale jéj przez czas jakiś nikt nie słyszał w tłumie
Wielu się odzywało patrząc na panienkę:
»Szkoda że ust otworzyć nie chce, czy nie umié?«

4*

Byli jednak i tacy, którzy ją słyszeli,
Lecz słyszeli fałszywie, lub piosnkę niecałą.
Kilku chciało wtórować, — i zawtórowało.
Napróżno pierś trudzicie śpiewacy za śmieli!
Cóż, że piosnka taż sama, gdy z innego tonu?
Im bliżéj, tém okrutniéj dźwięki się skłóciły.
Ich śpiéw, jak przedrzéźnianie, dzieweczce nie-
[miły.
Serce trzeba dostrajać, nietylko u dzwonu.

I świat się na nią zgniewał. Pomawiał ją o to,
Że u niéj serce nieme. A ona się wzajem
Skarżyła, że świat cały dotknięty głuchotą.
I tak czyśćcem szło życie, co miało być rajem.

Był młodzian, co szedł mężnie na losy człowiecze.
Twardy głaz doświadczenia bywał mu wezgło-
[wiem.
W oczach miał, jak cherubin, i gwiazdy i miecze.
Widziałam go.—Gdzie? Kiedy? Nie wiem,—lub
[nie powiem.

W najgłębszych tajniach serca, śpiewał pieśń
[wspaniałą,
Lecz przez jakiś czar dziwny nie miała słuchaczy.
Przechodząc mimo niego, wielu się pytało:
»Czemuż takich ust pięknych otworzyć nie raczy?«

Były serca niewieście, co jak nikłe echo,
Głos jego podchwyciły. Ale pieśń młodziana,
Dochodziła je mętna, lub na wpół przerwana.
Chciały mu zawtórować serdeczną pociechą.
Próżna złuda! Umiały naśladować dźwięki,
Ale rytm był odmienny. Głos niemógł za głosem
Podążyć, i w wykrzykach obustronnéj męki,
Co miało być harmonją, stało się chaosem.

- - -

I zasmucone dziewczę i młodzian zraniony,
Nic o sobie nie wiedzą. Tłum gwarny ich dzieli
Aż oboje, fałszywe chcąc zagłuszyć tony,
Tak mocno głos podnieśli, że się usłyszeli.

O cudowne odkrycie! Niebiański zachwycie!
Ich głosy, choć odmienne, były sobie wtórem.
W jednym tonie i rytmie, nad życiem ponurém,
Wyleciały radośnie, jak zdwojone życie.

Szczęsny, kto ma co słuchać, i znalazł słuchacza!
Jak ptaszę w ukochaném ręku się rozpieści,
We wszystkiém znajdzie rozkosz, chociażby w bo-
[leści,
I na wszystko mężnieje, i wszystko przebacza.

Dla dwojga, drugie słońce weszło na niebiosy.
Z całym światem stanęli w uprzejmym sojuszu.

Życie im popłynęło pieśnią na dwa głosy.
Pieśń wyższa, niż najwyższe utwory genjuszu.

Kto tę muzykę serca zaznał choć przez chwilę,
Pojmie, czemu wybrani mają śpiéwać w niebie?
Miłości! Czyż przez wieczność wyśpiéwają ciebie?
Tu tylko na dwa głosy, a już nieba tyle!

1870.



SEN.

Trzy siostry Parki, władczynie ziemi,
W trzy nitki wiążą dni naszych len:
Tam śmierć, — tu życie; — a między niemi,
Pół życia, pół śmierci: sen.

Świat to osobny, iskrzących ciemnic —
Własnych praw — dziwnych uciech i prób.
Może pełniejszy jeszcze tajemnic,
Niźli kolébka i grób.

A przecież dusza, branka zwyczaju,
Tak do tajemnych przywyka trwóg,
Że codzień, (codzień!) bywa w tym kraju,
I nawet nie pomni dróg!

Ach, bo pomiędzy dzienną pogodą,
A senną chmurą, jezioro jest.
Przeszłość je zwała Letejską wodą.
Śmierć daje w niém pierwszy chrzest.

* * *

Gdy dusza, ciasném przeczuć okienkiem,
Tak rwie się tęsknie w błękitną dal,
Czemuż-by pieśnią, niby czółenkiem,
Nie puścić się z wolą fal?

Ukołysana ruchem otchłani,
Płyń duszo! W innym świecie się budź!
Pójdźcie znużeni, pójdźcie stroskani,
Wsiadajmy w cudowną łódź.

Jeszcze nie Charon steruje w łodzi,
Lecz jakiś Genjusz nieznany. Ach,
Patrzcie: on z kształtu w kształty przechodzi....
Patrzcie: pół-anioł, pół-strach!

U brzegów, mroczne wiszą opoki.
Słychać pacierze jak szelest drzew.....
Przed nami płynie łabędź wysoki,
Zawodząc przedśmiertny śpiew.

Modremi mgłami mrzy okolica.....
I niby słońce wyjrzało znów,
Lecz słońce inne..... ma łzy xiężyca.
Wpływamy — w dolinę snów.

Po jednéj stronie, jak raj wesoła;
Po drugiéj, straszna, jak piekieł dno.
Na brzegach, gęsto kiełkują zioła,
I trzciny się z falą gną.

Sitowie życia, jeszczė tak nisko.
Wrośnięte w cichą, Letejską toń,
Związując prątki, niby kołyską
Ocienia dziecięcą skroń.

I tych dzieciątek cała drużyna,
Jak mały Mojżesz wypływa z wód.
To cała ludzkość, snem, rozpoczyna
Życie, skazane na trud.

Nad kołyskami schylając głowę,
Matki śpiewają, co serce śni.
A sny lątają, bezkolorowe,
Sny białe dziecięcych dni.

Ach, śpijcie błogo, bo niedaleko,
Na drugim brzegu, na złomach skał,
Z grubo zasutą trudem powieką,
Tłumy już legły jak wał.

Wszystko ubóstwo, krzepcy wieśniacy.
Oto trzy czwarte lndzkości w śnie.
Choć śpią na skale, na twardéj pracy,
Swoboda z ich lica tchnie.

Lecz ich sny, z gęsto zakrytą twarzą,
Chodzą bez kształtów, świateł ni skaz.
Ci spracowani, choć śpią, nie marzą;
Odpoczywają jak głaz.

Cicho i tęskno. Spòjrzenie ducha
Znużone, wraca na pierwszy brzeg.
Co na nim świta? Co na nim grucha?
Ach łódko, powstrzymaj bieg!

U stoków góry, stoją zwaliska
Świątyni szczęścia. Zwaliska już!
A przecie szczyt ich jeszcze połyska,
Jako drogoskaz śród burz.

Tam przed ołtarzem, na którym świeci
Ideał boski, król snów i pan,
Wszystkie marzenia wszystkich stuleci,
Zawodzą wiosenny tan.

Kibić wykwita z różanych rąbków;
Wawrzyn się wplata w promienny włos;
Z ramion tryskają skrzydła gołąbków;
Wzrok orli, słowiczy głos.

Rafaeliczny wdzięk w ich postawie.
Uścisk ich dłoni wiernością cny.
Sny takie nieraz chodzą na jawie.
Młodości! To twoje sny!

Ach, czemuż czółno tak prędko płynie?
Kraśne marzenia pierzchły..... jak sen!
Mrok zewsząd pada.... Słychać w dolinie,
Zgrzyt zębów i wycia hjen.

Na drugim brzegu, żużlowe wzgórza,
Jak obszarpany wulkanu zrąb.
W szczelinach kipi i świszcze burza.....
        Szalony, kto spojrzy w głąb!

Tam sny gorączki, tam sny choroby.
Dziwadła ciągną płomienny wóz.
Mary się wloką w kirach żałoby.....
        Strach leci, siejący mróz.

Lunatyk pląsa nieludzkim skokiem.
Zmora, u czarnych milczenia drzwi,
Jak lew przysiadłszy, śmiéchem i wzrokiem,
        Ze swojéj ofiary drwi.

W głębi, jaskinia, otwiera ku mnie
Paszczę, zkąd zieje krwi świeżéj woń.....
Tam sny zbrodniarzy biją się tłumnie.
        Ostatnia sumienia broń!

Uciekaj prędzéj, łódeczko trwożna!.....
Ta baśń, straszniejsza jak życia treść.
Nieraz na jawie przetrzymać można,
        Co we śnie się nie da znieść.

Wulkan mijamy. — Nad pierwszym brzegiem,
Ciągną się pustki smętarnych pól.
Wśród mogił, żywi legli szeregiem,
        Na twarzy ich zastygł ból.

Ach, to rodzice! Ach, to sieroty!
To dusze wdowie, pomne na ślub!
Każde z nich lubéj wzywa istoty,
Każde z nich w sercu ma grób.

Sen, choć na chwilę ich uszczęśliwi.
Wracają drodzy! To ona! On!
Pełni uśmiéchu, i tacy żywi,
Że sam nie wierzysz w ich zgon!

Lecz ranek przyjdzie zwiać te uśmiechy,
I powié: »Znowu to wszystko trać!«
Ach, lepiéj nie znać sennéj pociechy,
Niż chwilę zbudzenia znać!

A jednak czasem, zagrobna ręka,
We śnie nam skréśli hieroglif łask,
Lub sądów bożych. Zasłona pęka.....
Ach patrzcie, co tam za blask!

To Jakubowa świeci drabina —
Prawdy, szczeblami, — niebo jéj tłem.
Tam się prawdziwsze życie zaczyna,
Przy którém to życie, snem.

Tam, wysunięci za kres przestrzeni,
»Widzący« mocą wewnętrznych ócz,
Ciałem uśpieni, duchem zbudzeni,
Już..... już..... chwytają za klucz.

Lecz co w koło nas? Niknie dolina.....
Ustaje zgodny żywiołów zbrat —
Góra tu nagle w bezdeń się ścina —
Czyżby tu kończył się świat?

Woda Letejska w otchłanie spada.....
Stańmy..... O nieba! Tu śmierci próg!
Gdzieś w wieczność leci straszna kaskada —
A nad nią tęcza — i Bóg.

* *
*

Łabędź poezji zaśpiewał tkliwiéj,
Plusnął, i zginął w zamęcie wód.
Zawróćmy łódkę, póki-śmy żywi!
Z łabędziem zniknął i cud.

Pierzchły obrazy..... Nikt już nie powié,
Że tędy duchów przeciągał chór.
Tylko u brzegu szumi sitowie,
I zioła wonieją z gór.

Wszystko to, zioła usypiające;
Groźna, magiczna w nich kipi ciecz.
Makówka wstrząsa główek tysiące,
Konopie chrzęszczą jak miecz.

Lecz między temi sennemi kwiaty,
Co widzę? W gąszczu, jak biała kiść,

Rośnie zwój kartek! To poematy,
Puszczają zbyt długi liść.

Nic nie usypia, nic tak nie nuży,
Jak równych rymów przedwieczny tren.
Więc i ja nie chcę śpiewać wam dłużéj,
By wszystkich nie zmroczył — sen.

1870.

WYZNANIE PRZEZ KWIATY.

FJOŁEK.

Chiałbym téż spytać, — ale się trwożę —
O czém konwalja marzy nad strugą?

KONWALJA.

Jabym się chciała dowiedziéć może,
O czém to fjołek duma tak długo?

FJOŁEK.

O czém ja dumam? Konwaljo biała,
Ty o to pytasz? Czyś ty widziała,
Pokorniutkiego tego młodzianka,
Który się do mnie skrada co ranka?
Lubi zapewnie klon co tu rośnie,
I głaz ten mszysty. A że pod głazem,
Ja sobie kwitnę, za każdym razem
Co siądzie, patrzy na mnie żałośnie.

KÓNWALJA.

Czemu żałośnie?

FJOŁEK.

O! Wy nie wiecie,
Jaką — choć fjołek — chlubą się szczycę.
On mnie jednemu na całym świecie,
Mnie.....

KONWALJA.

Cóż?

FJOŁEK.

Powierzył swą tajemnicę.

KONWALJA.

Nie sam tu fjołek ma taką chlubę.
Widziałżeś kiedy dziewczątko lube,
Z oczkami w ziemię, ubrane schludnie,
Co tu ze dzbankiem schodzi w południe?
Ilekroć przyjdzie, stanie koło mnie,
I mówi do mnie. Cichutko, skromnie,
Lecz rzeczy dziwne.....

FJOŁEK.

Dziwne?

KONWALJA.

Jam rada,
I ztąd u kwiatów rośnie mi chwała,
Że ta co dotąd zawsze milczała,
Mnie się jedynéj szczerze spowiada.

FJOŁEK.

I z czémże takiém?

KONWALJA.

Ba! »Z czémże takiém«!
Niby to słówko wyleci ptakiem,
I ptakiem wróci? Za nic na świecie,
Jabym powtórzyć jéj słów nie chciała.
Jak las szeroki, tak wszyscy wiecie,
Że jest konwalja bardzo nieśmiała.

FJOŁEK.

Więc, za nic?

KONWALJA.

Chyba..... Gdyby zdradzono
Coś z tajemnicy tego młodzianka,
Może i jabym — przez wymuszoną
Wdzięczność — zdradziła dziewczę od dzbanka.....

FJOŁEK.

Ja? Zdradzić jego? Za nic na świecie!
Prędzéj by gwiazdy w las pospadały.
Jak świat szeroki, tak wszyscy wiecie,
Że fjołek fjołkiem, bo jest nieśmiały.

KONWALJA.

Cóż tu zagadek? Więc choć na moje
Pierwsze pytanie, chciéj dać odpowiedź:
O czém to fjołek duma?

FJOŁEK.

Ja roję.....
Lecz nie..... Nie powiem. Ach ja się boję
Zdradzić młodzianka, bo jego spowiedź,
To słowo w słowo jest spowiedź fjołka.

KONWALJA.

A gdybym ja téż dawno wiedziała,
Co fjołek roi? Tak, wiem dokładnie.
To mi mówiła ma przyjaciółka,
Owa dzieweczka, jak ja nieśmiała.
Czy to znalazła w dzbanku swym na dnie?
Czy ów młodzianek przyniósł jéj wieści?
Wszystko wiem, oprócz źródła powieści.

FJOŁEK.

Jeśli wiesz wszystko, to wyznam szczerze,
Iż ja wiem także, o czém tak długo
Konwalja marzy nad srebrną strugą?
Od przyjaciela wiem, od młodzianka.
Czy to dosłyszał w krynicznym szmerze?
Czy mu szepnęło dziewczę od dzbanka?
Źródła nie powiem, lecz wiem i wierzę.

Długa chwila ciszy.

KONWALJA.

Przeleciał tędy anioł milczenia.

FJOŁEK.

Tak, — ten co myśli w kwiaty przemienia.

1870.

POŻEGNANIE.

(Z DRAMATU.)

Chcesz mię żegnać? Jeszcze chwilę.....
W przeznaczeniu zwrotów tyle!
W ludzkiéj mowie tyle słów!
Powiédz wszystko co masz w duszy,
Co rozrani i co wzruszy,
Co wiem i co niewiem, mów!

Lecz niech słowo »Pożegnanie«,
Wymówionêm nie zostanie,
Bo gdzieś przy nas, tu czy tam,
Stoi zawsze moc ukryta,
Która nas za słowo chwyta,
I zwraca je przeciw nam.

Czy rozejdziem się na lata,
Czy pojedziem na kraj świata,
Po za przestrzeń, po za czas,
Rzućmy sobie: »Do widzenia!«
Słowo ludzkie wiele zmienia —
Może wcześniéj zbliży nas?

Jeśli nawet czasem burza,
Niebo zgody pozachmurza,
Serce zajdzie łzami z krwi,
Niech głos nigdy nie dopowié
Słowa: »Żegnaj!« Bo w tém słowie,
Urok, i zły urok tkwi.

Chmury serca są najłzawsze.
Lecz i wtedy, zawsze, zawsze,
»Do widzenia« powiem ci.
Niech znów tylko ujrzym siebie,
Chmury pierzchną w naszém niebie.
Miłość się miłością mści.

1870.



STANOWISKO KOBIETY.

Między słońcami dziejów, na niebiesiech ducha,
Nieobliczonym rozpędem komety,
Jawi się i zaćmiéwa, iskrząca a głucha,
Władza kobiety.

Gdy duch męzki, chwyciwszy cugle trzeźwéj myśli,
Jasno wytknąwszy cel, szranki i pole,
Ellipsę toczy w przeznaczenia kole,
Duch niewiasty, we mgłach kréśli,
Nieścignioną parabolę.

Rzekłbyś, że skrzydła zdała na przypadku wolę.
Ale nie drżyjcie o nią, nie drżyjcie! I ona,
Ta dziwna, ta niezgadniona,
Ma swą drogę, nieugięcie
Wypisaną w firmamencie.

Tylko, że jak dla komety,
W jéj obiegu są dwie mety,

Dwa ogniska, gwiazdy dwie —
Ta jak dzień, tamta jak noc —
Których wojująca moc,
Dwoma ją bieguny rwie.

To téż pytać jéj nie trzeba,
Czy gdziekolwiek krańce zna?
Kiedy nieba dosięgnie, to siódmego nieba.
Kiedy zstąpi do piekieł, to aż do ich dna.

Dwoista wielkość! I kogóż zadziwi,
Dwoisty sąd o niewieście?
Sędziowie! Wy mówicie sami, że jesteście,
Najnieszczęśliwsi przez nią, i przez nią szczęśliwi.

Prawo ją wiecznie stawia w drugim rzędzie,
A miłość stawia po-nad wszystkie stopnie.
Niech jawnie żąda, niczego nie dopnie —
Niech prosząc każe, a wszystko zdobędzie.

Jéj ręce okute w pęta,
A na jéj włosach korona.
Przez wszystkie wiary wyklęta —
Na wszystkich ołtarzach czczona.

Nauka ją pomiędzy niższe twory strąca,
Sztuka ją w ideału wieńczy aureolę.
Kusicielka zbawczyni, branka królująca,
Wąż u stóp, gwiazda na czole.

Wsłuchaj się w dramat dziejów, śledź ludów ro-
[zmowę,
Tam same głosy męzkie wołają: »Żyjemy!«
Chór niewiast, głębią sceny przesuwa się, niemy.
Ledwie czasem w świat ciśnie imię wyjątkowe,
Co jak palma samotnie wybujała, czyni
Jeszcze widniejszą oczom, jałowość pustyni.

Gdyby Postęp, ów jeździec Apokalipsowy,
Który cwałuje wsiadłszy na tętniący czas,
Pokazał nam sto męzkich wieńców u swéj głowy,
I groźnie zapytał nas:

»Co przyniosłyśmy jemu do dziejów budowy?
»Jakie kładły pieczęcie w społecznym sojuszu?
»Jakie spisały ustawy?
»Gdzie pomniki naszéj sławy?
»Korony genjuszu?
»Dla nauki gdzie zdobycze?
»I gdzie owa twórcza siła,
»Co jak »stań się!« tajemnicze,
»Z chaosu myśli, światy arcydzieł wysyła?«

Ach cóżbyśmy odrzekły? Z wiekami się liczę,
Cisza.

Nie! Jest odpowiedź. Miłość ją wykryła.

Ty, którego niesie czas!
Postaw pod światłością bożą,
Dzieje tych co dzieje tworzą,
A w ich sercach dojrzysz — nas.

Jeździec uśmiéchnął się ze mnie,
Jak mędrzec się uśmiécha na dowcip dziecięcy.
Spiął rumaka i szepnął: »Bronisz nadaremnie.
»Dla przeszłości to dosyć, lecz Postęp chce więcéj.«

Choć tylko szeptał, echo piorunami trzasło,
I wichrem się w niewieściéj rozpłynęło skardze.
Skargo, ty precz odemnie! Twém kwileniem gar-
[dzę —
Lecz wiem, że skarga, to hasło.

Co się stało? Jako w mieście,
Gdy uderzy śpiż na trwogę,
Tak owa skarga, w duszach wydzwania pożogę.
Słychać szum, niby skrzydeł..... To tłumy nie-
[wieście,
Rzucają ciche domy..... Falującą rzeszą
Tłoczą się, spieszą,
Gdzie? Niepewne, — każdego pytają o drogę.

Wieku nasz! Ty zwan będziesz wielkim kobiet
[wiekiem.
Niewiasta się ozwała z żądaniem nieznaném:

Dotąd aniołem była lub szatanem,
Dzisiaj, chce zostać człowiekiem.

Ach stójmy! Nim dotkniemy wrzeciądzów téj
[bramy,
Za którą chodzą siły jasne lub złowieszcze,
Chwilę..... Rozmyślmy się jeszcze.....
Powiédzcie: nie stracimyż więcéj niż zyskamy?

Nie czas ostrzegać! Rwaniem niewstrzymaném
Duch wieku je unosi..... Stało się. Niczego
Duchy wieków napróżno nie czynią przed Panem.
Więc idźmy, siostry! Postęp nam hetmanem.
Tylko, — w sumieniu, królestwa bożego
Strzeżmy, a wszystko będzie nam dodaném.

1870.

BIAŁA RÓŻA.

MAZUREK.

Śnieżnolica pól dziewica,
    Mistycznym szelestem,
Róża biała mnie pytała:
    »Powiédz, czém ja jestem?
»Czy miłością? Czy przyjaźnią?
    »Gdy motyle, ku mnie
»Garnąc się, z wietrzykiem drażnią,
    »Drżę — i milczę dumnie.
»Gdy się bluszcz do nóg mych ściele,
    »Jestem posmutniałą.....
»Dla mnie miłość, to za wiele —
    »A przyjaźń, za mało.«

*   *
*

Różo! Ja ci powiem wszystko.
    By cię pojąć, trzeba
Być kobietą i lutnistką.
    Chcesz na ziemi, nieba!

Przyjaźń twoja, różą pała,
Jak przyjaźń kobiety.
Miłość twoja, wiecznie biała,
Jak miłość poety.
Czy ze sprzecznych tych żywiołów,
Szczęście ci się zbudzi?
Chcesz miłości u aniołów,
Przyjaźni u ludzi.
Tymczasem się ludzie boją
Twéj surowéj bieli,
A przed różanością twoją,
Pierzchają anieli.

* *
*

»Cóż chcesz? Może wiara łudzi?«
Róża mi odpowié —
»Lecz ja wierzyć chcę, że z ludzi
»Będą aniołowie.«

1870.



PIEŚŃ BŁĘKITNA.

Do mojéj Przyjaciółki

Eugenji Wolff.

I.

Miałam sen dziwny. U wstępu żałosny,
Że aż się łzami spłakałam rzewnemi.

Byłam ja niby jak zawsze na ziemi.
Ziemia tętniła od życia i wiosny,
Pola szumiały złotokłosym puchem,
Od gór szło grzmienie lasów i potoków,
Widnokrąg pisał poemat obłoków,
Mieszkania ludzkie, jak ul, wrzały ruchem,
I dziwno! Świat ów, lica burzliwego,
Pławił się w słońcu, omdlewał od kwiatu,
A jednak czegoś brakowało światu,
I wzrok mój łaknął, sam nie wiedział czego?

Długo chodziłam z duszą zatroskaną,
Jak przed niedoszłym do końca obrazem,
Gdzie barwom dobrze z osobna, źle razem.
— Aż nagle, wzrok mój zgadł co mu zabrano?

Ach, cóż po blasku i krasie królewskiéj,
Kiedy tam jednéj brakowało farby?
Jednéj, a bez niéj, za nic wszystkie skarby!
Z owego świata, znikł — kolor niebieski.

Jak to być mogło? Nikt nie pyta we śnie.
Lecz mnie się zdało, że wszystko się zmienia,
Że wszystko zginie. Straszno i boleśnie,
Zwątpić o wiecznym porządku stworzenia!

Mętny niepokój ogarnął mi duszę.
Inne kolory już wzięłam w ohydę,
I szłam bez drogi, wołając: »Ja muszę
»Coś niebieskiego tu znaleźć!«

Więc idę.
Żebyż bławatek zamigotał w kłosach!
Makowych świéczek pełgają tysiące,
Mdławy rumieniec faluje po wrzosach,
Róża wylania rubiny żyjące,
Pérz od łabędzia zapożycza piórek,
Tulipan skręca zawoje stuwzore,
Fjołek przykląkłszy nasuwa kapturek,
Złoty słonecznik aureolą gore,
Są wszystkie kwiaty ogrodów i zboża,
Ach tylko jedne niebieskie nie kwitną!

W dali, przeświéca ruchomy pas morza.
Z fal, żebyż ujrzéć choć jedną błękitną!

Wklęsłe ich ztoki połyskują stalą,
Wrą żywém srebrem gdy wichry je podrą,
W słońcu się kratą brylantową palą,
Grają wszechbarwnie, tylko nigdy modro.

Ale jak żądać od wody szafiru,
Kiedy i niebo straciło błękity?
W nocy, rozpina płat szczerego kiru,
Srebrnemi gwiazdy jak łzami naszyty.
W dzień, chmur malownych rozwija sztandary,
Lub krwią nabiera jak pożarna łuna,
Lub żółto pała jak niebo Sahary,
Lub zielonawo jak niebo bieguna,
Nigdy niebiesko!

Niech was Gracje strzegą,
Od rozżalenia podobnéj tęsknoty.
Żeglarz tak żywo nie wzdycha w dzień słoty,
Jak ja, za skrawkiem nieba błękitnego.

II.

Kiedy mi niebo odmawia lazuru
Patrzę na ludzi, patrzę oko w oko.

W czarnych źrenicach grom widzę głęboko,
Inne się mienią żyłkami marmuru,
Ja czegoś jeszcze szukam w ich przezroczu,
I szukam próżno.

Któż słowem oznaczy,
Jakby świat ludzki wyglądał inaczéj,
Gdyby niebieskich zabrakło w nim oczu?

Nie żeby piękniéj od czarnych patrzyły,
(Los by mię skarał czarnemi oczyma
Za to bluźnierstwo —) lecz są to dwie siły:
Jedną odejmij, żadna siły niéma.
Dwoistość prawem. Planety i dusze,
Ku dwóm biegunom sferycznie się garną.
Wszystko co krąży w życia zawierusze,
Musi w świat patrzéć niebiesko lub czarno.

Ach, a tam, oczów niebieskich nie było!
— Tłum krążył wielki. Każdy sobie siłą
Drogę na przebój torował. — Ja trwożna,
Zdziwiona zgiełkiem, pytałam, jak można
Bez troski chodzić, i żyć bez obawy,
W świecie gdzie braknie pierwiastku jednego?
Wzrok mój podglądał tych ludzi, ciekawy,
Czy im i w duszy nie brakuje czego?

III.

Tu znagła w sennéj wizji ujrzałam przemianę;
Świat zprzezroczał, — treść wyszła z pod po-
[włoki kruchéj.
Mogłam patrzéć w ludzkie duchy,
Jak w akwarium szklane.

Widziałam namiętności z wężowemi ruchy,
I myśli rozrośnięte w koralowe sploty,
I te muszle sumienia, w których piersi głuchéj,
Wije się robak zgryzoty,
Lub dojrzewa perła cnoty.

I byli niby ci ludzie
Jak my, — a jednak nie tacy.

Kipiała w nich żądza pracy,
Stokroć wytrzymalsza w trudzie,
Ale taka co wspólne bogactwo umniejsza,
Bo stokroć samolubniejsza.

Kwitło i pragnienie chwały,
Lecz komu pozwolono dosięgnąć jéj liści,
Temu śród ludzi one nie dawały
Nic, oprócz kolców zawiści.

Była tam i cześć dla prawa,
Lecz miała czoło Katona,
Sprawiedliwa, mądra, krwawa,
Nigdy łzą nie rozbrojona.

Tam była nawet wiara, ale pustelnicza,
Co w pieczarze, ludzkiego zapomni oblicza.

Ach, tam była i miłość. Paląca jak lawa,
Rozpieszczona jak słowik z xiężycem w rozmowie,

Lecz to miłość co pierzcha gdy sny swoje ziści.
Kochankowie, małżonkowie,
Przechodzili
W jednéj chwili
Z miłości do nienawiści.

W tym rażącym obrazie nie było półcieni.
Tam dusze się rzucały nakształt pstrych motyli.
Tam ludzie raz powaśnieni,
Już nigdy się nie godzili.

Wieczna wojna szczękała w tym twardym narodzie.
Gmach uczuć się rozpękał, zapadał w otchłanie,
Bo zniknął boski cement serca: zaufanie.

Jak jednego koloru niestało przyrodzie,
Tak jednego pierwiastku światu duchowemu.
Lecz którego?

Szukając, między rzeszą chodzę.
Aż znużona, usiadłam na głazie przy drodze,
I pytam każdego: »Czemu
»Ten świat jest i z postaci i z ducha kaleką?
»Czybym ja już umarła, i rzuciwszy ciało,
»Szła na planetę gorszą, od nieba daleką?
»Boże mój! Co się tu stało?«

IV.

Jeden z przechodniów, blady, z ciemno-lśniącym
[włosem,
Przystanął, i me oczy przyciągnąwszy swemi,
Bezgłębnym ozwał się głosem:

»Przyjaźń odeszła z téj ziemi.
»Odeszła, i wnet prysły ogniwa łańcucha.
»W sercach i w tęczy próżnia stała się głęboka.
»Bo czém jest błękit dla oka,
»Tém przyjaźń dla ducha.

»Nie płacz, ale patrz mądrze, i pojmij złamaną
»Tę wizję. Dziś dopiero zrozumiész wyraźniéj,
»Czém jest przyjaźń dla świata, gdy ci pokazano,
»Czém byłby świat bez przyjaźni.«

Napróżno mówił: »Nie płacz.« Szlochanie dziecięce
Porwało mnie. Łkająca, twarz ukrywszy w ręce,
Powtarzałam to jedno, jedyne pytanie:
»A więc niéma przyjaźni?« — I niepowstrzymanie,
Jak cierpną młode pączki na majowém zimnie,
Kwiat méj duszy się zwarzył.

Gdy podniosłam oczy,
Przechodzeń jeszcze stał przy mnie.
Spojrzeniem i uśmiéchem krzepił mię naprzemian,

Uroczy!
Tajemny — i do zwykłych niepodobny ziemian.

Suknię miał czarną. U ramion opony,
Zwite w płaszcz lekki, jak szmaragd zielony,
I jako szmaragd przezroczy.

»Dobry pielgrzymie,« rzekłam, »i ciebie jéj strata
»Zasmuca? Gdzież odeszła? Choćby na kraj świata,
»Pójdę, muszę ją znaleźć! Ja tu żyć nie mogę.
»Jeśli wiesz, pokaż mi drogę.«

On wtedy ruchem ptasim rozwinął zaponę,
I poznały oczy moje,
O nadludzki widoku! To nie płaszcza zwoje,
To były skrzydła zielone.

Gdy ujrzał, że kolana zginam i truchleję,
— »Czy mię« rzekł »nie poznajesz? Jam Anioł [pociechy.
»Mam na piersiach żałobę, lecz w locie nadzieję.
»Ja łzy przemieniam w uśmiechy.

»Niech jeszcze nazbyt śmiała wiara cię nie mami,
»Że Przyjaźń łatwo znaleźć. Odeszła daleko!
»Mieszka za trzecią górą, za dziesiątą rzeką,
»I za siedmioma morzami.

»Lecz jeśli chcesz pociechy, i pytasz o drogę,
»Ja jeden wskazać ją mogę.
»Idź! Może nie drżeć, kogo duchy strzegą.
»Pójdziemy szukać — kraju niebieskiego.«

V.

Więc szliśmy przez góry. A kraj był ponury,
Świérkami i mchami porosły.
Lecz ja, na opokach, płynęłam w obłokach,
Bo skrzydła anielskie mię niosły.

W przepaściach, drąc skałę, szły rzeki nabrzmiałe.
U brzegu, ni kładki ni wiosła.
I bez nich przelecę! I przeszłam po rzece,
Bo ręka niebiańska mię niosła.

Lecz straszno gdy pomnę, jak morze ogromne,
W pomroce łysnęło zdaleka.
Tam nawet anieli, z obawy są bieli,
Gdy muszą prowadzić człowieka.

Tam bujać, okropnie. Bezmierne fal stopnie,
W cyrkowe spiętrzają się koła.
Nurt, niby sprężyna, od stóp się odcina,
I człowiek weń ciągnie anioła.

Krzyknęłam zlękniona..... On ujął w ramiona,
Zachwianą już pół-nieprzytomnie.

Uśmiéchał się śmiało, lecz skrzydło mu drżało,
Pochylon, odzywał się do mnie:

»Czy widzisz te męty? Rozprute okręty,
»Co stérczą z życiowéj topieli?
»Najśmielszych pływaczy, co toną w rozpaczy?
»Ach toną, bo skrzydeł nie mieli!«

Gdy mówił, bałwany ciskały z ust piany,
Grunt płynny umykał się stopie,
Grzmot ryczał. – Struchlała, jam nieba pytała,
Czy marzy o drugim potopie?

W otchłaniach jęczące, rozbitków tysiące,
Ostatniéj chwytały się deski.
Zwątpiłam o słońcu..... Omdlałam. — Aż w końcu,
Zaświtał skraj nieba — niebieski!

Ten uśmiech pogody, rozmarszcza twarz wody,
Huk burzy za nami już kona,
I cicha, głęboka, niebieska zatoka,
Rozwarła przed nami ramiona.

VI.

Ach urocza, z fal przezrocza,
Wschodzi wyspa. Tam spoczynek!
Cudna-ż wyspa! Cała kwitnie,

Równo, miękko i błękitnie,
Od niezapominek.

U wybrzeża, smugła wieża,
Jako morska lśni latarnia.
W żadnym wichrze niegasnąca,
Modrą gwiazdą mgły roztrąca,
I grom cicho zgarnia.

U stóp wieży, gmach się szerzy.
Lapis-lazurowe ściany,
Majaczeją w złote cętki.
Dach nad niemi wisi giętki,
Z pawich piór wiązany.

W oknach niby świecą szyby,
Z oczkowanych ziarn szafiru.
Ach czarownie, najczarowniéj,
W oskrzydlonéj téj warowni,
Wieczystego miru!

VII.

Kto z wyspy ku mnie zchodzi? Jakaś radość
[wielka,
Tknęła mię, niby rzeźwość pogodnego rana.
Tak gorąco szukana, tak w porę spotkana,
To ona, pocieszycielka!

Przyjaźni, tyś niebieską! W kraśnéj uczuć tęczy,
Każdemu inną barwę od wieków nadano.
Smutek, nad mogiłami we fjoletach klęczy.
Miłość, ma szatę różaną.

Zazdrość, z wszystkiemi barwy żółtością się
[drażni.
Niewinność, z dawien-dawna odziewa się w białość.
Przyjaźń, wybrała błękit; on maluje stałość,
A stałość zdrowiem przyjaźni.

Głos jéj cichy i równy jako szept fontanny.
Czoło turkusowemi śmieje się korony.
A płaszcz taki niebieski, jakby pożyczony,
Od saméj Gwiazdy zarannéj.

Ilekroć na brzeg zejdzie, linę w nurt zanurzy.
Ach, to lina ratunku! Do niéj rwie się rzesza.
Przyjaźń z toni wyrywa, i cuci i wskrzesza,
Rozbitków życiowéj burzy.

Z urny wysącza balsam, od niéj saméj znany,
Usypiający zwolna jad wszelkich katuszy.
Jeśli nie może zgoić, przycisza choć rany,
Cudowna lekarka duszy.

Namaściwszy rozbitka, barki mu osłania.
Jak Biblijna niewiasta, podaje dwie szaty,
Dla ciała i dla ducha, — i prosi, w bogaty
Swój dom, gdzie setne mieszkania.

Własnych praw niepamiętna, cudzych nie naruszy,
Wszystkie zacne uczucia mogą mieszkać przy niéj.
Wszystkie umié pomieścić mądra gospodyni.
Przyjaźń rozszerza gmach duszy.

Głodne serce prowadzi do sutego stoła.
Tam śmieje się lub milczy, bo trzyma za tętno
Rękę gościa, i umié ze smutnym być smętną.
Ze szczęsnym, jak dzień wesoła.

Nad stołem zégar świeci, lecz milczy. Psotliwa
Czyjaś ręka, wyjęła jedną z wag zégaru.
Kto wyjął? Przyjaźń sama. Tam czas się pozbywa,
Połowy swego ciężaru.

Przy uczcie, płynie napój z przeczystego zdroju,
Co niegdyś bił w Edenie. O szczęśliwy, komu
Choć raz, niebieska pani niebieskiego domu,
Dała pić z czary pokoju!

. . . .

Oglądam się zdumiona, gdzie Anioł pociechy?
Przyjaźń weszła, on zniknął, jakby się ztopili.
Czy on sam był Przyjaźnią? Może, bo w téj chwili,
Wykwitły mi z łez, uśmiéchy.

VIII.

Jak mój sen snuł się daléj? Zapamiętać trudno,
Dziwnie w myślach splątany z obrazami jawy.
Wiem że gdy się zbudziłam, żal mię objął krwawy,
Czemu on marą ułudną?

Dziś już mi pamięć jego nie cięży boleśnie.
Składam ręce, wdzięcznością ku niebiosom pałam.
Cudowny sen się ziścił! Ja nietylko we śnie,
Lecz w życiu Przyjaźń spotkałam.

Długo świat przed mém okiem stał niedokończony,
Brakło pasma w méj tęczy, ogniwa w łańcuchu,
I tęskna się na wszystkie oglądałam strony,
Szukając siostry po duchu.

Lata mijały, ludzie mijali się ze mną,
Jeszcze jéj nie znalazłam. W połowie podróży,
Na niebie moich losów zrobiło się ciemno,
Grom wybił godzinę burzy.

Za wszelką szczęśliwością zatrzasły się wrota.
Pod wszelkiém ukochaniem rozwarły się groby.
Przystanęłam na pustym gościńca żywota,
Samotna, w kirach żałoby.

Wówczas Ty, o najdroższa! Ty, którą zwać mogę
Połową, ach i lepszą méj duszy połową,

Jakby anioł pociechy zeszłaś na mą drogę,
Tajemna, z gwiazdą nad głową.

Przygarnąwszy pod skrzydła wieczystych nadziei,
Moje serce pokłute zjątrzonemi rany,
Uniosłaś mię nad falą życiowéj zawiei,
Na jakiś brzeg mi nieznany.

Tam się zaczęłaś mienić. Coraz już wyraźniéj,
Biorąc niebieskie szaty i niebieskie cechy,
Stałaś mi się nietylko aniołem pociechy,
Lecz objawieniem przyjaźni.

Jak podróżny, gdy płaską łódeczkę podsunie,
Pod zaklęte wiszary Lazurowéj groty,
Widzi nieziemskie kształty i srebrne istoty,
Spławione w błękitnéj łunie —

Tak dla mnie, odkąd błysłaś, wspaniale łagodna
Świat zbłękitniał. Z czystego Twoich cnót odbicia,
Srebrny kształt ideału wytrysnął, i do dna
Rozświetlił jaskinię życia.

Odtąd róże i lilje niebiesko mi kwitną,
Wieczny skrawek lazuru świta na mém niebie,
I lira mych przeznaczeń, dotknięta przez Ciebie
Rozpływa się w pieśń błękitną.

1870.

SYMFONJA ŻYCIA.
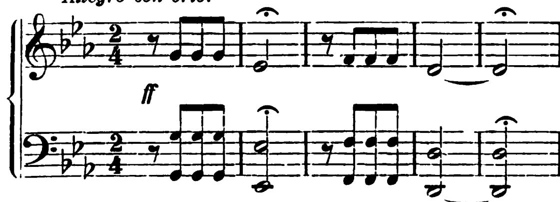
SCENA LIRYCZNA

NAPISANA NA STULETNIĄ ROCZNICĘ URODZIN

BEETHOVENA.

GRANA W WARSZAWIE NA SCENIE WIELKIEGO TEATRU
DNIA 17 GRUDNIA 1870 ROKU.

5-ta Symfonja L. Beethovena (C-moll) Op. 67.



„Tak przeznaczenie puka do człowieka“.

(Słowa, jakiemi Beethoven odpowiedział na zapytanie: *„Co znaczą trzy uderzenia rozpoczynające niniejszą Symfonję?“)*

Krużganek z kolumnami. W głębi gaj. Na przodzie stół i krzesło. Na niém siedzi BEETHOVEN, o stół oparty, z twarzą ukrytą w rękach. Przed nim na stole kałamarz, pióra i papier nutowy.

Od strony gaju wchodzi MUZYKA, w klassycznóm ubraniu, z gałązką laurową w ręku. Zbliża się do BEETHOVENA i kładzie mu rękę na ramieniu.

MUZYKA.

Jestem przy tobie. Zbudź się Beethovenie!

BEETHOVEN.

Ja nie śpię.

MUZYKA.

Nie śpisz? Zwykłe życie ludzi,
Jest półsennością. Dopiero natchnienie,
Duszę do życia prawdziwego budzi.

BEETHOVEN.

Pod pieszczotami téj niebiańskiéj ręki,
Czuję..... mój duch się wytrzeźwia z pomroki.
Miałem sen straszny, a taki głęboki!
Tam..... pośród ludzi. — Ach Muzyko, dzięki

Żeś mnie zbudziła, ty serafinowa
Kochanko moja, ty za którą muszę
Iść w nieskończoność! Zabrałaś mi duszę.
Jam twój na wieki!

MUZYKA.

Wszystkie twoje słowa
Muzyka słyszy — i w muzykę zmienia.
My się kochamy jako dwa genjusze.
Tak, ja cię kocham! Zabrałam ci duszę,
Dla ciebie zdradzam tajniki stworzenia,
Dla ciebie schodzę z kraju słońc do ciemnic.
Pójdź w nieskończoność z kochanką! Mów śmiało,
Coby twe serce odgadnąć dziś chciało?
Muzyka niema dla ciebie tajemnic.

BEETHOVEN.

Wszystko mi błogie póki tyś jest przy mnie.
Lecz między ludźmi! Głos się kłóci z głosem.....
Już wszystkie gwiazdy chodzą w zgodnym hy-
A życie ludzkie jeszcze jest chaosem! [mnie,
Łka wszelkie serce, wszelki duch narzeka.

Ja się wsłuchałem w pieśń świata całego,
I oburzony, pytam się, dla czego,
Wszędzie harmonja, prócz w życiu człowieka?

MUZYKA.

Ach, jak się mylisz! Jest i tam harmonja.
Lecz by ją pojąć, niedość słyszeć głosy

Jednego świata. Życie, to symfonja,
Gdzie grają piekła, ziemia i niebiosy.

BEETHOVEN rozkłada zwój papieru.

Czekaj..... Co powiesz, to spiszę na jawie,
A kiedy wrócę półsenny do ludzi,
Twe objawienie śmiertelnym objawię.
Kto mnie zrozumié, ten się także zbudzi.

Chwila milczenia.

MUZYKA.

Słuchaj..... Ktoś idzie przez ciemność i ciszę.....
Staje. — A teraz, mów: co słyszysz?

BEETHOVEN.

Słyszę
Trzy uderzenia..... Najśmielszemu trzeba
Na ten dźwięk zadrżéć..... On jakiś złowrogi.

MUZYKA.

Duchy nie mogą słyszéć go bez trwogi.
Tak Przeznaczenie puka do bram nieba.

BEETHOVEN.

Czegóż chce?

MUZYKA.

Woła piersią całéj ziemi:
»Pójdź duszo młoda! Przyszła koléj twoja.«

Na ten dźwięk, (znany między szczęśliwemi!)
Patrz: całe niebo się zaniepokoja.
Potęgi rajskie, jak goście, żałośni
Z przerwania uczty, w krąg szepczą pytanie:
»Kto mu otworzy?« A żadna nie wstanie.
A Przeznaczenie puka coraz głośniéj.
Lecz oto, patrzaj: młoda dusza sama,
Porwana głosem swego Przeznaczenia,
Zrywa się, ogniem trwogi zarumienia,
I do drzwi bieży.....

BEETHOVEN.

Rozwarła się brama!

MUZYKA.

Wszedł gość.

— »Co niesiesz pod szatą tajemną?«
Drżąc pyta dusza — »Klucz chwały czy zguby?«

A on: »Co sama wybierzesz. Idź ze mną,
»W podróż zasługi, na planetę próby.«

Żalem wybuchnął chór całych niebiosów.
Jeszcze ją duchy wstrzymują u bramy.

»Wrócisz-że taką jaką cię żegnamy?
»I czy powrócisz?«

BEETHOVEN.

Z pomiędzy tych głosów,
Rozróżniam jeden..... Ach, to jeszcze biała,
Ta młoda dusza skarży się i wzbrania,
I wypłakuje zwrotki pożegnania.
Tak niebo żegna, jakby umierała!

MUZYKA.

Bo kto się rodzi dla jednego świata,
Ten dla innego umiera.

Chwila milczenia.

BEETHOVEN.

Skrzydlata
Kochanko! Powiédz: chyba owa dusza,
Nie taka młoda? Chyba już w tę drogę,
Nie po raz pierwszy z wieczności wyrusza,
Kiedy przeczucie jéj daje tę trwogę?
Takie przeczucia, to jakby wspomnienia.

MUZYKA.

Może i zgadłeś.

Milczenie.

Ale słuchaj daléj:
Życie nie czeka. Dusza, choć się żali,
Padła w objęcia swego Przeznaczenia.

To ją porywa, płaszczem swym osłania,
Wynosi z nieba śród czci i pokłonów.
Patrz: wszystkie światy zerwały się z tronów,
Ruchem podziwu i uszanowania.

BEETHOVEN.

Tak, niech powstają! I ty, Przeznaczenie,
Ukorz się! Dusza idąca w kraj próby,
Większa niż słońca, śmielsza niż cheruby.
Tamte widzami, ta walczy w arenie.

Długie milczenie.

MUZYKA.

Otchłaniami mrocznemi, dusza spada ku ziemi,
Usypiana milczeniem i nocą.
Zapomina powoli, z czyjéj leci tam woli?
I zkąd przyszła? I dokąd? I po co?

Budź się duszo! Już blisko, twój świat, niby ska-
[lisko,
Na bezbrzeżne rzucony jezioro.
U wrót życia, dwie wierne, losów ludzkich
[odźwierne,
Z Przeznaczenia rąk twardych ją biorą.

To dwie nieba wygnanki, dwie aniołów kochanki.
Trudny wybór, tak piękne są obie:
Jedna Miłość słoneczna, druga Boleść odwieczna.
Kiedy chodzą, to zawsze przy sobie.

Jeszcze nie zna ich z twarzy, już na łonie ich marzy
Młoda dusza, gdy smętne piastunki
Na świat groźny ją wnoszą. Patrz, jak z gorzką
[rozkoszą,
Ognistemi ją budzą całunki.

Hej pacholę, pędź w życie! Jako pielgrzym
[o świcie,
Młodzian porwał za trzcinę podróżną.
Spojrzał w okrąg nieśmiało: pyta co się z nim
[stało?
I chce sobie przypomniéć..... Napróżno!

Gdzie te światła bez cienia? Prawda co się nie
[zmienia?
Gdzie te duchy pokrewne, z któremi
Tak się żegnał żałośnie? Tu mrok rośnie a rośnie...

BEETHOVEN z zapałem.

Jednak, nawet w ciemnościach téj ziemi,
On zachowa nadzieję, że ta światłość istnieje!
Tęskni za nią, jak sen ją pamięta.
Choć na zewnątrz przyćmiona, wszak w nim
[samym jest ona,
Pod postacią sumienia zaklęta?

MUZYKA.

Więc nadzieją tą zbrojny, do życiowéj się wojny,
Jak do tańca zabiera. I roi

Wielkie dzieła dla świata; plan rozkłada na lata,
I w przyszłości lubuje się swojéj.

Lecz dnie gonią podchwytnie. Ledwie człowiek
[zakwitnie,
Czas niszczyciel już prawa doń rości.
Jeszcze nic nie dokona, a już dusza znużona,
Prześpiewała *Allegro* młodości.

Milczenie.

BEETHOVEN.

I ty znużona, zwieszasz białe czoło..... Spocznij.
Ja w nuty zaczaruję słowa méj wyroczni.

MUZYKA siada na stopniach kolumny, i z liści laurowych zaczyna pleść wieniec.

BEETHOVEN pisze. Przez ten czas, niewidzialna orkiestra wykonywa *Allegro* jego 5-téj Symfonji (C-moll).

Po skończoném *Allegro*, BEETHOVEN kładzie pióro. MUZYKA wstaje.

MUZYKA.

Dusza siadłszy przy drodze na pierwsze spocznie-
[nie,
Zaczyna się rozglądać..... Zkąd jéj ta tęsknota?
Chociaż nic ją nie boli, co jéj piersią miota?

BEETHOVEN.

Myśl!

MUZYKA.

Gdy raz myśléć zacznie, myśli nieskończenie.
Myśl wygrywa *Andante* w symfonji żywota.
Przyglądając się światu zewsząd zamkniętemu,
Widząc skutki bez przyczyn, wyzywa na spowiedź
Żywioły, xięgi, ludzi. Śmié zapytać: »Czemu?«
A gdy raz to wyrzekła, wszędzie i każdemu
Powtarza zapytanie.

BEETHOVEN.

Któż jéj da odpowiedź?

MUZYKA.

Ludzie odpowiadają, lecz każdy inaczéj.
Przyroda, co tak chętnie swe dziwy tłumaczy,
Ma odpowiedź na wszystko, prócz na owo: »Cze-
[mu?«
Dusza rzuca pytanie Przeznaczeniu swemu,
Ale czyż Przeznaczenie odpowiadać raczy?
Patrz jak Myśl prędko buja: w Tytana wyrosła!
Do Stwórcy się od ludzi wyprawia za posła,
Dziwi się Jego rządom, przymawia ustawom.
Bo i czemuż na opak wszystko idzie, prawom
Jakie z ojczyzny światła, w sumieniu wyniosła?
Wielka ją melancholja ogarnia.

BEETHOVEN.

Tak wcześnie!

MUZYKA.

Teraz czarna godzina. Zwątpiła boleśnie,
O celach jakie życiu stawiała własnemu,
Zwątpiła o światłościach jakie pomni we śnie,
Zamilkła i przestaje nawet pytać: »Czemu?«

MUZYKA znowu siada na stopniach kolumny, i daléj wije laurową koronę.

BEETHOVEN.

I jéj usta zamilkły. Tę chwilę uchwycę,
By w nuty zakląć, ludzkiéj myśli tajemnice.

Chwyta pióro i pisze. Przez ten czas orkiestra wygrywa *Andante* symfonji.

Ze skończeniem ustępu, BEETHOVEN przestaje pisać.

BEETHOVEN kładąc pióro.

Otóż jest i Andante, gorzko uroczyste,
Jako gracz co się z summą rozczarowań liczy.
Sam gdy je słyszę, nie mogę zaiste
Wstrzymać uśmiechu goryczy.

MUZYKA wstaje.

I nie ty jeden uśmiechasz się tak.
Tak uśmiechnie się każdy, który badał wiele.
Uśmiech szyderstwa noszą myśliciele,
Jako wieczny na ustach zapytania znak.

Po chwili.

A strasznym w duszy jest głos ironji.
Łzy jéj zjadliwe kamień przewiercą.

Ona w życiowéj symfonji,
Wybija szalone *Scherzo*.

BEETHOVEN chwyta pióro.

Czekaj.... Napiszę Scherzo. Już węże złowieszcze,
Pod mojém piórem syczą.

MUZYKA.

Zatrzymaj się jeszcze.
W duszy dla natchnień otwartéj,
Szyderstwo może mignąć pustotą niewinną,
Ale nigdy nie powinno
Zapisać osobnéj karty.

BEETHOVEN odsuwa pióro i papier.
Chwila milczenia.

MUZYKA dalej.

Patrz, już i pielgrzym żywota,
Zrzuciwszy z serca ten uśmiéch goryczy,
Wstał. Żądza ruchu nim miota,
I poszedł w świat tajemniczy.

Ach, sam nie wiedział, jak z myśli rozwiciem,
Liczba nieznanych wyrosła w nim sił.
Od dzisiaj, będzie mniéj myślał nad życiem,
A więcéj żył.

Z rosnącym zapałem.

Dziwi się człowiek, jak mu inaczéj
Wygląda życie, gdy je zobaczy

I dotknie zbliska. To inny świat!
Twardsza niż sądził skała rozpaczy,
Lecz i wonniejszy rozkoszy kwiat.

Dusza-bohater podniosła głowę,
W czyn weszła jak w żywioł swój.
Symfonjo, uderz w trąby spiżowe!
Życie, to bój.

Patrz: człowiek z Przeznaczeniem bierze się za
I zdobywa sztandary! [bary,

BEETHOVEN posępnie.

I traci sztandary.

MUZYKA z uniesieniem.

A wszystkie słońca ze drżeniem promieni,
I wszyscy aniołowie z wielkiém serca biciem,
Patrzą, z obłoków trwożnie wychyleni,
Na walkę człowieka z życiem.

Cofa się, jakby z trwogi.

Straszny to widok..... Ach, co się tam dzieje!
Słońca pobladły..... Anioły pobladły.....
Za wiele pokus! Duch traci nadzieję.....
Człowiek upada..... On już wpół-upadły!
Słyszysz jęk jego?

BEETHOVEN gorąco.

O Boże!
Czyż nie ukrócisz losu co go nęka?
Czyż go niczyja nie podniesie ręka?

Z wyrzutem.

Więc nic go zbawić nie może?

MUZYKA podnosi ręce.

Jedna może go zbawić, ta jedyna siła,
Jakiéj mu piekło zazdrości:
Z otwartych niebios wizja zestąpiła:
To objawienie Miłości!

BEETHOVEN wstaje z głową wzniesioną.

Teraz już wyższy nad wszelkie klęski!
Ta co na świat go wniosła z powicia,
Ta dziś go wskrzesza. W symfonji życia,
Ach, Miłość, to hymn zwycięzki!

Miłości! Matko wiary! Przez ciebie
Człowiek się godzi z prawdy wiecznemi.
Kto raz istotnie kochał na ziemi,
Ten już nie wątpi o niebie.

Zamyśla się — zwolna siada i skroń opiera na ręku. — Po chwili milczenia, jakby ocucony, podnosi głowę.

BEETHOVEN dalej.

A Boleść?

MUZYKA.

Boleść? O, téj nie potrzeba
Dla śmiertelnego przywoływać z nieba.
Znajdzie go!

BEETHOVEN.

Codzień objawia się przed nim,
We łzie powszedniéj, i chlebie powszednim,
W tém co się traci, i w tém co się zmienia,
A najstraszniejsza, gdy ma twarz sumienia.

Długie milczenie.

MUZYKA.

Dotychczas, człowiek wszystko rozpoczynał.
Odkąd w Miłości poznał szczyt harmonji,
Zaczyna kończyć. Bieg jego symfonji
Wstępuje w olbrzymi *Finał*.

W życiu on bywa i trudny i długi,
Lecz wszędzie koniec probierzem zasługi.

Im daléj w lata, im na zewnątrz ciszéj,
Tém duch wyraźniéj grę przypomnień słyszy.
Jedne zawodzą szlochaniem namiętném,
Inne się modlą i grobowców strzegą.

Dnie mkną... Czas bije przyspieszoném tętnem...
Dusza dobiega Przeznaczenia swego.

To ją porywa i płaszczem osłania,
Wznosi, przy dźwięku pogrzebowych dzwonów.

Po drodze, światy zrywają się z tronów,
Ruchem postrachu i oczekiwania.

Znów Przeznaczenie przed niebieską bramą
Stanęło, — puka..... Ale już nie samo;
Tą razą, duszę prowadzi z powrotem.

BEETHOVEN.

Duchy szczęśliwe! Czy jéj otworzycie?
Ty mi, kochanko, powiédz!

MUZYKA.

Nie. Już o tém
Zamilczę. Biorę ten wawrzyn za świadka,
Że obiecałam ci wyśpiewać *życie*,
Ale co daléj? To śmierci zagadka.

BEETHOVEN składa ręce.

A więc *ja* powiem tajemnicę bożą:
Chociażby dusza stała nad otchłanią,
Miłość i Boleść, jeśli poszły za nią,
Same jéj niebo otworzą.

Chwyta pióro i pisze. MUZYKA siada na stopniach kolumny i kończy splatanie wawrzynu.

Przez ten czas orkiestra gra *Scherzo* i *Finał* symfonji.

Podczas ostatnich aktów *Finału*, BEETHOVEN rzuca pióro, znużony ukrywa twarz w rękach i zapada w zamyślenie.

MUZYKA wstaje, wieniec laurowy kładzie na głowę BEETHOVENA, ręką od ust rzuca mu w powietrzu pocałowanie i znika.

1870.

KULIG.

PIOSENKA NOWOROCZNA.

Otwierajcie wszystkie bramy!
Pochodnie wynoście!
Z nowinami przyjeżdżamy,
Nieproszeni goście.

Czy to pałac, czy poddasze,
Radzi nam są wszędzie.
Jadą przyszłe Losy wasze,
Jedzie to »co będzie.«

Życie ludzkie ślizką sanną,
Jedzie we sto koni.
Czas jest wilją nieustanną,
Co za jutrem goni.

Nikt nie zgadnie co wieziemy,
Łaskę czy niełaskę?
Bo na twarzy, jeszcze nieméj,
Losy noszą maskę.

Dzwońcie dzwonki! Grzmij kapelo!
Tańcz dziwaczna zgrajo!
Niechaj ludzie się weselą,
Póki nas nie znają.

Obiecujmy góry złote!
Człowiek znów rozpocznie,
Omylaną swą robotę.
I to tak rokrocznie.

Maska śliczna! Lecz jeżeli
Zdjąć nam się ją zdarzy,
Oj! Możebyście woleli,
Nie znać naszéj twarzy.

A może téż w niéj znajdziecie
Piękność niespodzianą?
Więcéj szczęścia jest na świecie,
Niż o tém pisano.

Na wilję Nowego roku 1871.



ODA DO MIŁOŚCI.

Nicość się budzi....
Kto z blaskiem i hukiem,
Pędzi pod niebios tryumfalnym łukiem?
— Przez obszar Nocy ponuréj,
Przez odwieczne siedziby Milczenia i Mrozu,
Miłość pędzi z pochodnią.

Do skrzącego wozu,
Wprzęgła fenixy z gołębiemi pióry.
W lot rzuca kwiaty i kręgi błękitu.
Pod jéj spojrzeniem odtaja co skrzepło.
Pochodnia jéj roznosi dwa żywioły bytu:
Światło i ciepło.

* * *

Kto gwiaździste globusy w równowadze trzyma,
Że ni się w otchłań ztoczą, ni rozpadną w łomy?
Wenus-Uranjo z jasnemi oczyma,
Pogromicielko Chaosu!

Ty wiecznêm przyciąganiem związujesz atomy—
Ty słońca z planetami związujesz w rodzinę —
Ty wszystkie światy związujesz w jedyne,
Boskie królestwo Kosmosu.

* *
*

Jedna twa ręka światy, druga serca trzyma.
Ach, wszystkie słońca niczêm, wszystkie glorje
[niczêm,
Przy jednêm twêm spojrzeniu, gdy spojrzysz
[oczyma,
Nie myślowego widma, lecz żywéj osoby —
Lub obejrzysz się wielkiêm narodu obliczem —
Albo pukaniem wspomnień tajemniczêm,
Drogie otwierasz nam groby.

* *
*

Przy każdym grobie, jak anioł kochania,
Stoi żal czyiś; na okręgach urny,
Skroń, w ciemne fjołki przybraną pokłania,
Ale skrzydła wywija ku krainie górnéj.
Czeka, i tęskni, i o drogę pyta,
I tym co już odeszli, spotkania zazdrości.

W tobie leży cudowna, pod bólem ukryta,
Rękojmia nieśmiertelności.

Na to-ż by dusza mogła kochać tyle,
Nieogarnione ogarnąć przez chwilę,

Łzy lać na trumnach od krwi saméj krwawsze,
Aby zgon miał zakończyć wszystko? I, — szy-
[derca —
Gorzki żart z życia wyryć na mogile?
Nie! Miłość wiecznie szepce te słowa: »Na zawsze!«
Niemylne proroctwo serca!

* *
*

Wizjo innego życia! Twojemi oczyma
Wglądamy w lepsze światy. — Figlarny pie-
[szczoszku!
Ty kradniesz klucze Szczęścia, i już tu, po troszku,
Obdzielasz nas tém wszystkiém, czego ziemia
[niéma.

* *
*

Ilekroć, o Miłości! zabłysłaś przedemną,
Świat się z szarego stawał brylantowy —
Czas mi był jasnym i wieczność nie ciemną —
Głos ludzki, boskiéj nabierał wymowy.

Lepianki mi złociłaś w babilońskie stropy.
Śniegi zmieniałaś w róże, na pierś je włożywszy.

Ach, gdy Ojca kochane całowałam stopy,
Któż był i w raju szczęśliwszy?

* *
*

Lecz ilekroć odemnie odwróciłaś lica,
Dreszcz mię ogarniał.... ciemność.... nawałnica...

Uczułam że na wszystko odważyć się można,
Aby tylko odzyskać światło twéj pochodni.
Pojęłam nawet, (o myśli bezbożna!)
Możebność zbrodni.

I zaczęłam na ludzi spoglądać łagodniéj.
I przestałam się dziwić szaleństwom rozpaczy.
Kto wiele kochał, ten wiele przebaczy.

* *
*

O ty! Czy masz przyjaciół uśmiéchy anielskie,
Czy w kochanków uścisku zaklniesz wszystkie
[czary,
Czy kładziesz łzy i ogień w piersi rodzicielskie,
Czy bohaterom dajesz skrzydła i sztandary,
Czy ból namaszczasz białą miłosierdzia ręką,
Czy męczennikom jesteś i niebem i męką,
Potężna wszech-tworzycielko!
Olimpijska łudzicielko!
Wieczna Ewo kusicielko!
Madonno pocieszycielko!
Archanielska wskrzesicielko!
Miłości! Tyś zawsze wielką —
Wielką w twoich zwątpieniach — większą w twojéj
[wierze —
Jeszcze większą w żądaniach — największą w ofie-
[rze.

1871.



KRÓLESTWO IDEAŁU.

Namaszczony z woli bożéj,
Duch człowieczy, dziedzic światów,
Zrodzon jest — do majestatów.
Lecz nie pierwéj na skroń włoży
Zagrobowy djadem chluby,
Aż przebędzie twarde próby.

Król niebieski go posyła
Na wędrówkę po téj ziemi,
By się dusza przypatrzyła,
Nim światami rządzić zacznie,
Jak to trzeba rządzić niemi,
I co idzie w nich opacznie?

Ziemia szaty mu pożycza,
I duch, nakształt królewicza,
Co zaklęty szedł w powieści,
Idzie w życie jak w pustynię.

Łza strumieniem za nim płynie —
Czarnych myśli las szeleści —

Krew się toczy w morza całe —
Los na drodze stawia skałę —
Żal otwiera w niéj otchłanie —
Ach, to straszne wędrowanie!

To téż wielu zapomina,
Że jest królem duch człowieka,
Że niebieska jest dziedzina,
Gdzie słoneczny tron go czeka.
Ci, przelotny stan wędrowca,
Za swój biorą przyrodzony,
Ani nawet u grobowca,
Nie dopomną się korony.

Lecz nie wszystkich pył ogłusza.
Czasem z tłumu wstanie dusza,
Co choć w ziemski pył zaklęta,
Nie ustąpi duchom w niczém,
I wciąż tęskni, i pamięta,
Że jest niebios królewiczem.

Gdy się zerwie duch tak śmiały,
Zbrojny w puklerz trój-stalowy,
Losy łamie niby skały,
Smokom bólu ścina głowy,
Oceanom szuka brzega,
I po wszystkich ziemiach biega,
Póty biega, szuka póty,
Aż skrwawiony, cierniem skłuty,

Znajdzie cudne owe bramy,
Nabijane w gwiazd rozłamy,
Kratowane w tęcz tysiące,
Za któremi się zaczyna,
Roztęsknionych dusz kraina:
»Państwo nieumierające.«

Tu ostatnia stoi próba;
Dla zwycięzcy, koniec dzieła.

Wszystkie dusze, które gruba
Senność pyłu ogarnęła,
Wyruszone ż legowiska,
Zagniewane, że im tarczą
Przed ospałém okiem błyska,
Ujadają nań i warczą;
Wyciem groźby, wrzawą trwogi,
Chcą go zwrócić z jasnéj drogi,
I nie wpuścić za tę bramę,
Gdzie niemogły wtargnąć same.

Ale oręż bohatera,
Płazem siecze. Pierzcha tłuszcza —
A królewicz próg otwiera,
I w świat nowy się zapuszcza.

Świat to dziwny: wiotki, biały,
Niby pałac z morskiéj piany,
Niby szkic Fata-Morgany,

Niby sen zaczarowany.
Tam mieszkają — ideały.

Niechaj ziemia codzień zmienia,
Rzeczywistych przewrót zdarzeń,
Nie zachwieje to istnienia,
W niepochwytném państwie marzeń.

Znużon troski śmiertelnemi,
Duch przychodzi w niém do siebie.
Nie jest jeszcze tam jak w niebie,
Lecz już nie jest jak na ziemi.

Wszystko w kraju tym radosne,
Rozśpiewane jak na wiosnę,
A poważne jak w świątyni,
A jak wieczny świt, zamglone.

Tam Poezja monarchini,
Nosi różczkę i koronę.

Różczką wszystko przezwycięża,
Bo jak chce ją przeobraża:
To z niéj czyni berło męża,
To niewieści puch wachlarza.

Więc fantazja jéj zakonem —
Liść djademem — obłok tronem.
Lecz to wszystko jest zaklętem,
Wisi gdzieś pod firmamentem,

I niech tylko muśnie ziemię,
Już po tronie i djademie!

Zawsze bliska i daleka,
Pierzcha, nawet przed wiernemi.
Dziwny przy niéj los ich czeka,
Inny niż przy córkach ziemi:
Bo Poezja dla człowieka,
Ni małżonką ni kochanką,
Lecz jest siostrą i kapłanką.
Na wpół z nieba, więc duchową —
Na wpół z ziemi, więc królową —
A kobietą, więc tyranką.

Chciwa wiedzy, dziś ciekawa
Zbadać słońce, jutro burzę,
Codzień inne pisze prawa,
Dziś w lazurze, jutro w chmurze.

I tak chwiejąc państwem całém,
To je zaćmi, to rozjaśni,
Bo to złudne państwo baśni,
Gdzie i władza — ideałem.

O szczęśliwy pan odkrycia,
Kto z manowców i z rozbicia
Ocalony, wszedł za życia,
Przez dwanaście bram z kryształu,
Do królestwa ideału!

Idźcie, ducha królewicze,
Bierzcie państwo tajemnicze!
Może do was rzekną ludzie,
Że nie warto żyć w ułudzie?

Ale wy się uśmiéchniecie —
Bo wiadomo to poecie,
I śpiéwają to łabędzie,
Że co złudą na tym świecie,
To na tamtym prawdą będzie.

1871.

POWRÓT GOŁĘBIA.

POWIEŚĆ BALLADOWA.

»Niech-że, o córko! jak chcesz, się stanie.
»Przyzwalam i błogosławię.
»Innem, ojcowskie było żądanie,
»Marzone w śnie i na jawie.

»Ojciec chciał w zięciu mieć sprzymierzeńca,
»Syna którego z mocarzy.
»Wierzył, że ślubny liść twego wieńca,
»I dwa królestwa skojarzy.

»Więc szły turnieje, grzmiały biesiady,
»Jakich ten kraj nie pamięta.
»Słały swych synów króle sąsiady,
»Z za mórz zjeżdżali xiążęta.

»I dzielni byli to królewicze,
»Już sama przyznaj, tak szczerze.
»Nie?.... Ja-m ci tylko patrzył w oblicze,
»Kogo serduszko wybierze?

»Lecz tyś w zabawach milczała dumnie,
»Lub gorzkie rzuciła słowo.
»Swat każdy stawał radosny u mnie,
»Odjeżdżał gniewny, z odmową.

»Jam nad tą twoją troską wytrwałą,
»Myślał na jawie i we śnie.
»Całe królestwo mi posmutniało —
»Włos mi pobielał przedwcześnie.

»A już od roku, jak ścięte kwiecie,
»W oczach mi schnie twa uroda.
»Bóg widzi, w całym szukałem świecie,
»Czy kto pomocy nie poda?

»Lekarz-astrolog, w ziemi ni w niebie,
»Nie trafił na środki żadne.
»A zcicha ostrzegł, że stracę ciebie,
»Jeśli twéj troski nie zgadnę.

»Więc ci przyrzekłem, że tylko szczerze
»Wyznaj, a spełnię życzenie.
»Wyznałaś. — Teraz, choć żal mię bierze,
»Nic z obietnicy nie zmienię.

»Gdy już tak bardzo serce cię boli,
»Gdy droższy nad życie tobie,
»Lepiéj mi w porę wyrzec się woli,
»Niż widziéć me dziecko w grobie.«

Tak do swéj córki, król białobrody,
Przemawiał na złotéj sali,
Gdy pod krużgankiem co wiódł w ogrody,
Dworzanie szepcąc czekali.

Córka ze łkaniem do nóg mu pada,
W zachwycie ściska kolana.
Z sali, gdzie weszła smutna i blada,
Wybiega rozradowana.

Damy ciekawe patrzą jéj w oczy,
Wzrok zamieniają niepewny.
Rycerskie grono za nią się tłoczy.
Nikt nie poznaje królewny.

Ta co od roku, biała jak płótno,
Trwożna jak ptaszę, gdy łowy
Złamią mu skrzydło strzałą okrutną,
Ledwie chód wlokła grobowy,
Dziś, jak wskrzeszona! Przez lica chmurne,
Szczęście wytrysło rumieńcem.
— Tak powój chwyta grobową urnę,
Aż całą pokrasi wieńcem.

Oczy przetarli goście w ogrodach,
Kiedy — z tanecznéj piosenki
Zawodząc zwrotkę — po białych schodach,
Zbiegła poskokiem sarenki.

Ta co siedziała nieraz, w warkoczach
Niedoplecionych dzień cały,
Dziś zapomniawszy praw dworskich, w oczach
Mężów i świty zdumiałéj,
Od jednéj z panien, ruchem swawoli,
Wyrywa ręczne źwierciadko,
I patrzy z boku, patrzy powoli,
Czy włos jéj składa się gładko?

Znagła, na trawnik rzuciła oczy.
Tam był krzak róży. Psotliwa,
Krzyknie, zielony płotek przeskoczy,
Kwiat najpiękniejszy obrywa,
I w warkocz wpina misterną szpilką.
Ale, czy kwiat był za duży?
Czy włos za ciężki? Dotknęła tylko,
Spłynął na ziemię pąk róży.

Po wonną zdobycz, jak w okrąg osi,
Rzuca się koło młodzieży.
Najchyżéj skoczył, pierwszy podnosi,
Astolf, najmłodszy z rycerzy.

Niedawno wyszły z paziów orszaku,
Astolf, młodzieniec ubogi,
Zwykle pęk fjołków miał na szyszaku,
Znak tajemnicy i trwogi.

W polu jéj nieznał, ale na dworze
Przemawiał zcicha i zrzadka.
Wśród pań zdumionych, (zgniewanych może?)
Snuł się jak mglista zagadka.

Miał twarz łagodną, z oczy łzawemi;
Uśmiéch, co wszystkie łzy płaci.
Gdyby serafin zeszedł ku ziemi,
W takiéj by zeszedł postaci.

Zdobycz pochwycił, królewnie wręcza,
Ze spuszczonemi oczyma.
Ona się, patrząc, mieni jak tęcza.....
Dłoń przecie zamkniętą trzyma.

Weszła na ścieżkę, siadła pod drzewem.
On nieco przystanął daléj.
W głębi, z jedwabiów i piór powiewem,
Dworzanie w półkole stali.

Wówczas dopiero, z ręki młodziana,
Kwiat wzięła do obu rączek.
Niby chce mówić..... Czeka zmieszana.....
Aż zwolna, wtykając pączek
Między błękitne włosów opaski,
Rzecze pół trwożnie, pół dumnie:

»Dziś, jam szczęśliwa! O wszelkie łaski,
»Można poprosić dziś u mnie.«

On podniósł głowę. Na twarz, purpura
Wybiegła, podobna łunie.
I znów posmutniał, jako gdy chmura,
Krajobraz jasny zasunie.

»Do żadnéj łaski« rzekł,« nie mam prawa,
»To téż nie proszę o żadną.«
Jak wryty stanął. Tak żeglarz stawa,
Gdy w burzy, skarb rzuci na dno.

Pyszna w swéj zgrozie niby w djademie,
Królewna słucha, co daléj?
Patrzy nań długo. On patrzy w ziemię.
I wzrokiem się nie spotkali.

Ach, gdyby nieraz jedno spojrzenie!
Lecz po co skarżyć się marnie?
Już myśl zmieniła niepostrzeżenie,
I zagadnęła figlarnie:

»Niech ja cóś powiem, odmowa zmięknie.
»Jeśli dostojeństw nie chcecie.....

— »O nie! Tych niechcę.«

— »To bardzo pięknie,
»Lecz tyle-ż łask jest na świecie!
»Nadobnych panien nie brak na dworze.
»Moje wstawienie cóś znaczy.

»Rycerz wybierze..... Już wybrał może?
»Proszę o szczerość..... Inaczéj.....«

Tu się zmieszała, płonie, twarz chyli.
Astolf ją, rozbolałemi
Objął oczyma. Czemuż w téj chwili
Właśnie patrzyła ku ziemi?

»Muszę się, pani! Udać w pokorę,
»I wyznać że..... w koło tronu,
»I nie wybrałem, i nie wybiorę,
»I serca nie dam — do zgonu.«

Królewna wstała. Jak noc się chmurzy.
Kwiat odszarpnąwszy od głowy,
O ziemię ciska. Biédny kwiat róży,
Ofiara wojny sercowéj!

Odchodzi. Ręką przytłumia tętno,
Co pierś wzruszeniem roztrąca,
Z czoła odgarnia burzę namiętną,
I mówi uśmiechająca:

»Teraz, ja łaski żądam wzajemnie.«

— »Pani! Rozkazuj, cóż mogę?.....«

— »Otóż rycerzu, z listem odemnie,
»Dziś jeszcze udasz się w drogę.

»W góry, gdzie mieszka wróżka sędziwa,
»Co matką chrzestną mi była.
»Straszną się do niéj drogę przebywa.
»Kto aż tam listy posyła,
»Musi je w ręce powierzyć pewne.«

Tu z lekkiém skinieniem głowy,
Odeszła, szybko jak na królewnę,
Do swojéj wieży zamkowéj.

Dwór się w ogrodach rozpierzcha wszystek.
On, wartą obchodzi progi.
Wraca królewna. Oddaje listek,
Tłumaczy kierunek drogi.

Skłonił się nizko. Już, znikł jéj z oczu.....
Już, znowu jak płótno biała,
Wbiega na wieżę, rwie włos w warkoczu,
Wybuchła w płacz — i omdlała.

A rycerz idzie. Niebiesko marzy,
O róży w królewskim sadzie.
Listek przykłada do ust, do twarzy,
I znowu za pancerz kładzie.

Coraz barczyściej piętrzą się góry,
Głębiéj sinieją wąwozy.
Po skałach wiszą świérki i chmury,
Ze szczelin patrzy duch grozy.

Pod noc dopiero spostrzegł jaskinię,
Ubraną w listne obwiązki.
Poniżéj, otchłań. Potok w niéj płynie,
A zamiast mostu, pień wązki.

Czerwony ogień w jaskini błyska.
Tam się to kryć musi wróżka.
Przebiegł po kładce. Obok ogniska,
Siedzi prześliczna staruszka.

Włos od białego jedwabiu gładszy.
Uśmiéch, młodzieńczych dni sięga.
Lecz wzrok, wiekową głębiną patrzy,
A lice, mądre jąk xięga.

Srebrny saganek nad ogniem trzyma,
I warzy w nim aromaty.
Na szelest, gościa wita oczyma,
Jakby go znała przed laty.

— »A to mi rycerz! Ni ptak ni ryba,
»A przebył ten kraj urwisty.
»Cóż mi przynosisz? Mów-że. Już chyba,
»Od mojéj chrześniaczki listy?«

On oddał papier. Siadł na uboczu,
A boli go zawiść skryta,
Czemu jéj pismo dla innych oczu?
— Ta czyta, lecz cicho czyta:

»Mateńko! Prośby słuchaj łaskawie:
»Rycerz co list mój ci poda,
»Zowie się Astolf. — Anioł to prawie.....
»Waleczny — dobry — ach szkoda.....
Jedyna wada gasi zalety:
»Ten człowiek z nadludzką duszą,
»Taki nieczuły na głos kobiety,
»Że chyba czary go wzruszą.
— »Jest ktoś na dworze mego rodzica,
»Co ufność położył we mnie.
»Kocha Astolfa pewna dziewica,
»Nie jest kochana wzajemnie.
»Ty możesz sprawić szczęście téj pary.
»Ukarz zimnego szydercę,
»Wywrzyj na niego największe czary,
»Zaklnij, i rozbudź w nim serce.
»Ja cię ukocham za to wieczyście,
»I wszystko co zechcesz zrobię.«

Był jeszcze drobny przypisek w liście:

»Dziś, męża wybrałam sobie.
»Kogo? Nie powiem aż późniéj może.
»Mój ojciec, ach któż wysłowi
»Jak dobry? Wolność dał mi w wyborze.
— »Opowiédz to Astolfowi,
»I napisz, (proszę o prawdę szczerą,)

»Jak przyjął twoje zwierzenie?
»A ja ci matko, wówczas dopiero,
»Mego przyszłego wymienię.«

Czyta staruszka. Wraca oczyma,
Rozmyśla nad każdą głoską,
Papier ogląda, przed ogniem trzyma.
Godzina tak mija z troską.

Tymczasem rycerz, marząc o róży,
Na kamień opuścił głowę.
Młodość, zaduma, i trud podróży,
Zesłały mu sny różowe.

Widzi to wróżka. Węgle z ogniska,
Sypie na trzy kadzielnice,
Krople wonności na żar wyciska,
Trzykroć okadza mu lice,
I trzy wszechmocne zaklęcia szepce.
On rwie się i jęczy we śnie,
Jak, czując larwę przy swéj kolebce,
Dzieciątko kwili boleśnie.

Dziwi się wielce wróżka stroskana,
Tym czarów niezwykłym skutkiem.
Czuwa. Aż Astolf ocknął się z rana.
Wstał inny. Już nie z tym smutkiem,
Co jakby xiężyc świeci łagodnie.
To rozpacz! Pół obłąkania!

Oczy się iskrzą jak dwie pochodnie,
Uśmiéch jak sztylet rozrania.

Otchłań wié jedna co się tam działo,
Lecz otchłań nic nie opowie.
Tylko dwa głosy szemrzą pod skałą,
Zlane w kipiącéj rozmowie.
Czasem się mocniéj ozwą pogróżki,
Lub jęk co serce rozrywa.
Słychać kojące błagania wróżki.
Próżno! Choć taka sędziwa,
Nie zna już rady na jego mękę,
Ociera łzę brzegiem rąbka.

Teraz, coś pisze. Bierze na rękę,
Dar od królewny, gołąbka.
Uczony pieszczoch sam szyjkę daje
Pod jarzmo, i już szeleści;
Leci na znane królewskie gaje,
Unosząc kartkę téj treści:

»Wielkie się, córko, nieszczęście stało.
»Wierząc w twój list i nagany,
»Jam nań wywarła moc czarów całą,
»A on był *już* zakochany.
»To jakbym w ogień lała oliwę,
»Truciznę dała strutemu.

— »Teraz, ty czary zwalcz nieszczęśliwe.
»Ty *jedna* możesz! A czemu?
»Jeśli twe serce nie jest z opoki,
»Odgadniesz co nie dopowiem.
»Lecz spiesz się..... Astolf, jeden dzień zwłoki,
»Przypłaci życiem lub zdrowiem.
— »Gdy mu doniosłam..... ach piorun z nieba,
»Wierz mi, nie byłby straszliwszy.
»Są córko rzeczy, których nie trzeba
»Wymówić, nie dokończywszy.
— »Mnie się najmilsze domysły śmieją.....
»Może cię zgadłam królewno?
»Ale go nieśmiem łudzić nadzieją,
»Dopóki niewiem na pewno.
»Więc gdy przeczytasz, nie wątp na nowo,
»Nie zwlekaj..... W chwili téj saméj,
»Pisz przez gołębia, choć jedno słowo!
»My na to imię czekamy.«

Wielką jest chyżość ptasiego lotu,
Ale i droga daleka.
Truchleje wróżka, jak on powrotu
Doczeka? I czy doczeka?

— »Dobra ty wróżko! Mnie w myślach ciemno.....
»Gdzie tu odetchnąć swobodniéj?
»Powiédz mi, czy się co stało ze mną?
»Ach, wiem już! Odszedłem od niéj.

»Przez to mi tęskno, przez to mi gniewnie.
»Sam się dziś poznać nie mogę.
»Inny ja byłem przy méj królewnie!
»Po co wysłała mię w drogę?
»Aha! Wysłała mię tu z litości,
»Abym własnemi oczyma
»Nie widział godów, i uczt, i gości,
»I *tego* co dłoń jéj trzyma.
»Ach, tylko pomyśl, trzyma tak blisko,
»Ustami dotyka może.....
»Zbrodniarz! Niech tylko wiem to nazwisko,
»A mieczem w pył go położę.«

— »Bądź-że roztropny. Czekaj cierpliwiéj.
»Rycerz, a zwalczyć nie umie
»Samego siebie? Astolf mię dziwi,
»Zapomniał o męzkiéj dumie.«

— »Ha! Cóż mi teraz duma pomoże?
»Za długo milczałem dumnie.
»Pójdę się ukryć w jakim klasztorze,
»Niech żywcem kładą mię w trumnie.«

— »Zawsze dość czasu kryć się w klasztorze.
»Jeszcześ nie stanął przy kresie.
»Gołąb' niedługo wróci, i może
»Wieść pocieszenia przyniesie?«

»Mnie nie pocieszy imię niczyje!
»Odejdę ja w kraj daleki,
»Bo gdy się dowiem, to *ją* zabiję,
»I duszę zgubię na wieki.«

— Mówiąc ucieka. Godziny całe,
Miecz siecze na każdém drzewie,
Głową uderza o każdą skałę.
Wróżka co czynić już niewié?

— »Nie stój rycerzu tam nad otchłanią,
»Nie rób z urokiem jéj próby.
»Otchłań jak miłość: długo patrz na nią,
»A wciągnie cię do zaguby.
»Pójdź lepiéj ku mnie; muszę ci dowieść,
»Że koniec dzieło uwieńcza:
»Oto ci z xięgi przeczytam powieść
»Pod nazwą: **Wierność młodzieńcza.**«

— Ledwie staruszka czytać zaczyna,
On krzyknął, i wstał. Przez blaski
Czystego nieba, leci ptaszyna,
A końce modréj opaski,
Wiszą pod szyi tęczowym śniegiem.

Wyskoczył Astolf z jaskini,
Wbiega na kładkę, sądzi że biegiem

Ptakowi pędu przyczyni.
Rozpaczny zawrót siadł mu na czole,
Skroń tętni, oko się mroczy.....
»To gołąb'!« Woła. »O nie! Ja wolę
»Niewiedzieć!« — I zakrył oczy.

— Gołąb' przyleciał do pani swojéj.
Ta bieży, list w ręku trzyma.
»Astolfie! W liście *twe* imię stoi!«

Gdzie Astolf? Nigdzie go niéma.
Jeszcze się kładka mocno kołysze.....
Widać, szedł tędy przed chwilką.
— »Astolfie!« — Wszystko zapadło w ciszę.
Ktoś huknął? To echo tylko.

Wróżka obiega ustronie całe,
Powraca nad brzeg otchłani.
W pół góry, widzi sterczącą skałę,
I coś lekkiego drży na niéj.
To zdarta kita wisi bezładnie,
Jest i pęk fjołków u pióra.
Ale co niżéj? Ach któż odgadnie?
Tam otchłań jak noc ponura.
Próżno i patrzéć..... W pianę rozbita
Fala, już wszystko uniosła.

Wróżka zmartwiała, — i tylko pyta
Co włoży pod skrzydło posła?
Że w żadnym razie cios nie omyli,
To jedno przeczuwa pewnie,
Ale się waha aż do téj chwili,
Czy ma napisać królewnie,
Że kochał inną, zimny był dla niéj,
I wolał w obce pójść kraje?
Czy, że ją kochał, i śpi w otchłani?

. . . .

Co straszniéj? Jak wąm się zdaje?

1871.

SŁONECZNA KANTATA

NA CZTERECHSETNĄ ROCZNICĘ

URODZIN

MIKOŁAJA KOPERNIKA.

1473—1873.

*10

CIENIOM

MATKI MOJÉJ

MAGDALENY Z ŻÓŁTOWSKICH ŁUSZCZEWSKIÉJ

KTÓRA PODAŁA MYŚL I ŚRODKI

DO WYKONANIA PIERWSZEGO POLSKIEGO PRZEKŁADU

DZIEŁ MIKOŁAJA KOPERNIKA.

PRZEGRYWKA.

Na święto prawdy schodźcie się narody!
Serca jak dzwony grzmią jubileuszem.
Choć przez dzień jeden, śpiewajcie chór zgody,
A ja wam koryfeuszem.

Ja? Zkąd mi prawo do tak wielkiéj chwały?
Laurowa hardość u nikłego kwiatka!
Potrójne prawo z kolei mi dały:
Ludzkość, ojczyzna i matka.

Pierwsze, z was każdy ma na równi ze mną.
Drugiém się dzielę z Polkami wszystkiemi.
Ale o trzecie walczyć wam daremno,
Ja jedna je mam na ziemi.

Matko! Ty gwiazdo, co sierocie znika,
Czemuż nie dano Ci dożyć téj chwili?
Ilu czcicieli dziś jest Kopernika,
Wszyscy-by Ciebie uczcili.

Ną dziele jego Twe imię zostało,
Oba się zrosły jak pomnik z powojem.
I jeśli lecę ku słońcu tak śmiało,
To tylko pod skrzydłem Twojém.

SŁONECZNA KANTATA.

OPOWIADANIE.

Był młodzieniec. Wśród pokus szedł tak nieska-
[żenie,
Że gdzie stopę zatrzymał, rosła lilja biała.
Ludzie rzadko na niego zwracali wejrzenie,
Ale wyższa istota go umiłowała.

Mówią, że tą niebianką była Prawda sama.
Rzadki gość między ludźmi, córa lepszych świa-
Oblubieńca wybrała z rodziny Adama, [tów,
I, o cudzie! z niebieskich zeszła majestatów.

Młodzian, patrząc na gwiazdy, miał złote widzenie.
Ujrzał światło, usłyszał słowa tajemnicze:
»Spojrzyj na mnie! Ten tylko co mię nieskażenie
»Przechował w duszy własnéj, ujrzy me oblicze.«

Spojrzał. Świat mu się zmienił. Pod blaskiem Jéj
[oczu,
Zobaczył świat, nie takim jak go ludzie tworzą,

Lecz *jakim jest*. W błyszczącém stworzenia prze-
[zroczu,
Dopatrzył jak w źwierciedle odbitą myśl bożą.

Była to chwila jedna. Lecz za wieczność stanie.
Komu Prawda raz w duszy otworzy powieki,
Ten wszystko rzuci, śmierci pójdzie na spotkanie,
Byle jeszcze ją ujrzéć! To miłość na wieki.

Widzenie blednie.... Młodzian wyciąga ramiona.
»W jednéj chwili pokochać, i stracić w téj saméj?
»Lepiéj było cię nie znać! Wróć się, ubóstwiona!
»Mów przynajmniéj, czy jeszcze kiedy się spo-
[tkamy?«

— »Młodzieńcze! Raz mię ujrzéć ziemskiemi
[oczyma,
»Jest-to w ludzkiéj wielkości dojść najwyższéj
[miary.
»Chciałbyś jeszcze mię widziéć? Przejdź twą
[mękę! Niéma
»Nagrodzeń bez zasługi, zasług bez ofiary.

»A najlepsze męczeństwo, nie to co najkrwawsze,
»Lecz to co nieuznane. Dla mnie, pod *tém* słońcem,
»Wyrzeknij się wszystkiego. Jeżeli przed końcem
»Nie upadniesz, powrócę! I to już na zawsze.«

— Grzmiąc po nieskończoności, słowa ucichały
Widzenie się gwiazdami rozpłynęło w niebie.

Młodzian wstał, ale inny — jakby zmartwych-
[wstały.
Ukochał nieśmiertelną — już się zaparł siebie.

Odtąd na życie spojrzał jako na czas próby,
Przywdział szaty duchowne, i nietylko szaty:
Żył jak duch. Młodość swoją skuł twardemi
[śluby.
Świat już tego nie wabi, kto zrozumiał światy.

Tknięty ogromem cierpień co ludzi druzgoce,
Zaczął szukać w przyrodzie zdrowodawczych
[cudów;
Ze xiąg Hipokratycznych zbadywał jéj moce;
Wędrowiec, pośród obcych wyśledzał je ludów.

Kolejno wypytawszy narody i wieki,
Wrócił nad Wisłę, osiadł w miasteczku ubogiém,
Tam własnemi rękoma przyprawiając leki,
Rozmawiał z prostaczkami, albo milczał z Bogiem.

Cisnęły mu się rzesze u okien i bramy.
Gdziekolwiek jęczą chorzy, gdzie nieszczęśni pła-
[czą,
Tam schodził i rozdawał podwójne balsamy:
Lekarz, walczył ze śmiercią, — a kapłan, z roz-
[paczą.

Zachwycony swojego Widzenia obliczem,
Niemiał oczu dla Ewy, mijał wszystkie kwiaty.

Sam nawet ząb potwarzy, niewstrzymany niczém,
Nie odważył się szarpnąć kraju jego szaty.

Ilekroć głos narodu zawołał nań: »Synu!«
Gwiazdą obywatelską przyświecał do zgody.
Obecny, gdy żądano rady albo czynu,
Znikał, gdy rozdawano dostojne nagrody.

Ach, bo drżał, że utraci od Niéj nagrodzenie!
Wolał do Jéj powrotu być bezpłatnym sługą.
Tak przez Polskę do Nieba szedł niepostrzeżenie,
Miłością téj ojczyzny wysługując drugą.

CHÓR RODAKÓW.

Niegdyś, za wozem tryumfatora,
Stąpała jego rodzina.
Przyszła na światło tryumfu pora!
Lud polski pochód zaczyna.

Lud to na ziemi w siłę ubogi,
Ale w niebiesiech bogaty.
Z drogi, narody zawistne! Z drogi!
Niesiem łzawnice i kwiaty.

Nasza to ziemia dała mu życie,
Pogrzebion w ziemi téj saméj.
Puśćcie nas pierwszych! Wy go wielbicie,
A my w nim brata kochamy.

OPOWIADANIE.

Tak spędzał dnie. Co wieczór, nad szumną otchła-
[nią,
Otwierał wszystkie ganki schludnéj swéj komnaty,
Z trzech stron oblanéj morzem, — i czekając na Nią,
Jak w ową noc pamiętną, wpatrywał się w światy.

Pytał o nie Chaldeów i Ptolomeuszów.
Ich odpowiedź, zwikłana była i nieśmiała.
I dziwił się, że praca największych genjuszów,
Tak nieudolne dzieło Bogu przyznawała?

Jednak pamiętał, (czego niemogli znać oni!)
Że gdy przed nim Widzenie przepływało złote,
W całéj budowie świata, jasno jak na dłoni,
Dojrzał najwyższy objaw boskości: prostotę.

Postanowił ów obraz, co mu tkwił w pamięci,
Liczbami wypróbować, — i cud wyszedł z próby.
Na wzór kół, gdy dłoń biegła sprężynę nakręci,
Jemu w zegar Kosmosu wchodziły rachuby.

Pod miarą i pod wagą prawa światom kréśli,
Te strąca, te wywyższa, tamtym bieg odmienia.
Aż Bóg powtórzył: »Stań się!« I z człowieczéj myśli,
Świat cały takim wyszedł, jakim w dzień stwo-
[rzenia.

Odetchnął mędrzec. W xiędze zaklął swe odkrycia,
Lecz xięgę ukrył. Chwały lękał się jak zbrodni.
›Wszak« mówił »Ona wróci, jeżeli za życia
»Wyrzeknę się wszystkiego, nawet chwały od
[Niéj?«

I co noc czekał, — czekał na drugie Widzenie.
Lecz tylko gwiazdy lśniły, i Baltycki nawał
Bił o wieżę. A lata szły niepostrzeżenie.
Młodzieniec stał się mężem, mąż siwym się stawał.

Jednéj nocy posmutniał.... Może aż za trumną,
Ma się dla niego spełnić obietnica luba?
Spojrzał na swoją przeszłość, i z radością dumną
Zawołał: »Mogę umrzéć! Wytrzymana próba.

»Kto raz w życiu, (szczęśliwy! Z wszystkich naj-
[szczęśliwszy!)
»Miał Objawienie Prawdy, — do śmierci ją goni,
»Ale Jéj nie posiądzie, aż śmierć zwyciężywszy.
»Ona raz przyszła do mnie, teraz mnie iść do Niéj.«

A gdy uczuł gasnącą gwiazdę swego życia,
Pomniał na skarb, co po nim ludzkości zostanie,
Mdlejącą ręką xięgę wydobył z ukrycia,
Oddał ją między ludzi, — i wstąpił w konanie.

Raz jeszcze się obejrzał z grobowego progu:
Ujrzał blask swojéj xięgi nakształt wschodu
[słońca.

Potém oblicze duszy obrócił ku Bogu,
I zapatrzył się w Prawdę widzeniem bez końca.

CHÓR NARODÓW.

Klęknijmy wszyscy do koła grobu.
Chorągwie, bijcie pokłony!
Grobowcem jego krąg cały globu,
Przez niego w rozpęd puszczony.

Rozwarł nam oczy — z xiąg rozwiał pyły —
Aż przesąd uciekł pobladły.
Mistrze co przed nim niebem rządziły,
Jak bogi fałszywe padły.

Mistrze co po nim dobiegły celu,
To pchnięciem przez niego daném.
W świątyni wiedzy kapłanów wielu,
Ale on, Arcykapłanem.

OPOWIADANIE.

Umarł, — i wiek po wieku grzmi jubileuszem.
Sto rzek dwojących gwiazdy, Wiśle go zazdrości.
Umarł? Nie! Dwakroć żyje. Kto Cnotę z Genju-
[szem,
Ześlubił w sobie, zdobył dwie nieśmiertelności.

Prawda odnosi tryumf! Jako błyskawica
Obiega całe niebo, noc fałszu pochłania.
Nie braknie jéj niczego co serca pochwyca,
Nawet użyźniających burz prześladowania.

Aż ludy się zdobyły na Święto światłości.
Ach, gdy światłu niesiecie chorągwie i kwiaty,
Niech-że i w sercu waszém na dłużéj zagości!
Idźcie po ziemi zgodnie, jak po niebie światy.

CHÓR ŚWIATÓW.

Baczność! Na krwawéj planetce małéj,
Dziś gniewnych nie słychać głosów.
Bezbronne ludy skroń poschylały,
Przed Prawodawcą niebiosów.

Ziemia pod stopą, słońce nad czołem,
Spojrzenie jak wieczność ciche.
Takim Kopernik. On Archaniołem,
Co ziemską zwyciężył pychę.

Któżby uwierzył? To nikłe plemię,
Tajemnic boskich docieka!
Ile Kopernik poniżył ziemię,
Tyle wywyższył człowieka.

1873.

TRZY RÓŻE.

W gęstwinie straciwszy dróżkę,
Dziewczę wybiegło na wzgórze.
Tam cudną spotkało wróżkę,
Co w ręku niosła trzy róże.

Jedna z tych róż była biała,
Białością która tak myli,
Że lilją się wydawała.
Biała jak czoło Sybilli.

Druga, prześlicznie różowa,
Gdy płaszcz stulistny roztoczy,
Przygarnia serca i oczy.
Prawdziwa kwiatów królowa.

A trzecia, żółto-gorąca,
Kielich, gdzie wre złoty trunek,
Burzy krew i myśl zamąca,
Jak Bachantki pocałunek.

Dziewczę patrzyło i stało.
Drży i za serce się trzyma.
Wróżka objęła ją całą,
Powłóczystemi oczyma.

»Czemu« zapyta »o dziecię,
»Patrzysz z zazdrością ponurą?
»Dałabyś wszystko na świecie,
»Za jedną z tych róż, — lecz którą?

»Trzy losy w różach przynoszę:
»Żółta, to kielich przeklęty;
»Na dnie jéj, zatrute męty;
»Lecz daje takie rozkosze,
»Że niejedna je zamienia
»I za wieczność potępienia.

»Jeśli wybierzesz różową,
»Na dolinach rozkwiecona,
»Pójdziesz, z koroną nad głową,
»Ale z cierniami u łona.
»Będziesz w pełni córką ziemi,
»Panią ziemi, z jéj wszystkiemi
»Cierpieniami i szczęściami.
» — Tknięcie téj róży nie plami
»Jak żółtéj, lecz nieraz boli.
»Będziesz królową w niewoli.

»Jeżeli wybierzesz białą,
»Zrzeknij się ziemskich uroków.

»Droga twoja pójdzie skałą,
»Wśród przepaści i obłoków.
»Wyżéj nad walki żywiołów,
»Będziesz kwitła dla aniołów.
»Lecz niechaj cię zbyt nie trwoży,
»Ten chłód samotności bożéj.
»Czasem orzeł zaszeleści,
»Promień ci przyniesie wieści.
»Patrz: między listki białemi,
»Tam, na samém dnie się chowa,
»Jedna cęteczka różowa,
»Ostatnie wspomnienie ziemi.«

Tu wróżka w ściągniętéj dłoni,
Podaje dziewczęciu kwiaty.
Dziewczę się trwoży i płoni.
To nie trzy róże, — trzy światy!

Wybierać! Potężne słowo!
Niewiem co dziewczę wybrało?
Już ja-bym wybrała białą,
Ale tę z cętką różową.

1874.



NIEŚMIERTELNIK.

Niéma barw ni aromatów,
Odosabnia się od gminu,
Arcykapłan w państwie kwiatów,
Nieśmiertelnik, brat wawrzynu.

Umaczany w glorji złotéj,
Z ascetyczną, bladą cerą,
On jest świętym kwiatem cnoty,
Co rozkwitnie *tam* dopiero.

Póki wiosna tęcze kładzie,
Na zielonym swym warkoczu,
Nikt, w jéj rajskim chodząc sadzie,
Nie zatrzyma na nim oczu.

Ale zima ścięła kwiaty,
I marzenia omyliły,

I sam wawrzyn usechł z laty,
A on stoi u mogiły.

Stój, samotny i daleki,
By się ludzie domyślili,
Że co jaśnieć ma na wieki,
To nie może lśnić dla chwili.

1876.

DWA POKOLENIA.

PIEŚŃ STARCA.

Coraz rzadziéj na mnie woła,
Głos mi znany albo miły.
Coraz gęściéj do okoła,
Rozrastają się mogiły.

Trudno w pośród nowych ludzi,
Nowych szukać mi przyjaźni.
Starodawna pieśń ich nudzi —
A mnie, nowa pieśń ich, draźni.

Oni dła mnie dziwni tacy!
Świat choć gwarny, jakiś niemy.
Czy w zabawie, czy przy pracy,
Tylko wpół się rozumiemy.

A jednakże i z nowemi,
Nie zerwałem ja przymierza.
Ach, na imię wspólnéj ziemi,
Serce równo nam uderza!

I choć w dawnych lat powieści,
Wspomnień mych nie rozumieją,
Kiedy dotknę strun boleści,
Rozumiemy się nadzieją.

1876.

PIEŚŃ WIECZORNA.

Kiedy starsi mi na życie,
Dali rady i przestrogi,
W świat puściłam się o świcie,
Zamyślona, lecz bez trwogi.

Czułam zdala, że mię czeka,
Więcéj burz niżeli słońca,
Ale droga tak daleka,
Wydawała się bez końca.

Byle — rzekłam — mieć wytrwanie,
A w niezmiernéj téj podróży,
Lat i sił na wszystko stanie,
Pracą wszystko się wysłuży.

Ci co wiedli kroki moje,
Nie zostaną zawiedzeni.
Zimę życia ich, ustroję
W bujny owoc méj jesieni.

A co maków, co bławatów,
Przy gościńcu narwę sobie!
Cały snopek ziarn i kwiatów,
Pozostawię na mym grobie.

* *
*

Jak dziś widzę, czas się liczy,
Na godziny, nie na wieki.
Ledwiem weszła w dzień zwodniczy,
Już mój wieczór niedaleki.

Nazbierałam setki wiązek;
Lecz się zbliska pokazało,
Więcéj zielska niż gałązek —
Dużo ciernia — kwiecia mało.

Nie utrzymać ich już w ręku!
Więc wyrzucam je po drodze,
I z wielkiego niegdyś pęku,
Do tych kilku kwiatków schodzę.

Czasem, kłos tam zamigoce,
Jagodowa kiść wyrośnie.
Miłe oczom te owoce,
Lecz spożywam je żałośnie.

Bo nie dzielę już ich z temi,
Z kim dzieliłam dnie majowe.

Już pół serca mego w ziemi,
I o drugą drżę połowę.

I to jednak co zostało,
Złoci zachód mego słońca.
I niech wiązka będzie małą,
Byle donieść ją do końca.

1877.

XIĘŻNA SZLĄZKA I KRÓLOWA POLSKA.

WIERSZ NAPISANY DO XIĄŻKI ZBIOROWÉJ
POD NAZWĄ »ZIARNO«
WYDANÉJ W WARSZAWIE W 1880-M ROKU
NA DOCHÓD SZLĄZAKÓW NAWIEDZONYCH GŁODEM.

Święta Jadwiga, kobiałką miga,
Ukrywa ją pod purpurę.
Do Matki Boskiéj, do Częstochowskiéj,
Wędruje na Jasną górę.

W obec ołtarza, twarz jéj wyraża,
Gorące prośby i smutki.
— »Królowo nieba! Co miałam chleba,
»Rozdałam, i kosz puściutki.

»Ach, co ja zrobię? Nadzieja w Tobie!
»Gdy przyszła godzina czarna,
»Każ Twéj czeladzi, niechaj zaradzi,
»Niech mi dosypie tu ziarna.«

Lecz Monarchini, która w świątyni,
Świeci perlistą sukienką,

Patrzy surowo, potrząsa głową,
Odmowny znak daje ręką.

— »Moja kochana, nie przyszłaś z rana,
»Niewczesna z ciebie kwestarka.
»Ilekroć u mnie, pusto jest w gumnie,
»Ty nigdy nie dasz i ziarka.

»Gdy we frasunku, szukam ratunku,
»To cię nie widzę na oczy.
»A gdy u ciebie, zbraknie na chlebie,
»Twój ludek do mnie się tłoczy?

»Pójdź za jałmużną. Lecz pójdziesz próżno,
»Dostatek i u mnie rzadki.
»Bardzo się boję, że dzieci moje,
»Wyprą się twojéj czeladki.«

Xiężna Jadwiga, mocno się wzdryga,
Na słowo takiéj pogróżki.
Łzy ciche łyka, — i Jezusika,
Pokornie całuje w nóżki.

— »Ach, w tém Dzieciątku, w tém Królewiątku,
»Niech będzie za mną przyczyna!
»Wszak Matko wiecie, że i ja przecie,
»Dla krzyża oddałam syna?

»Wszak ten kochany, gromiąc pogany,
»Życie poświęcił, za kraje,

»Nietylko moje, ale i Twoje?
»Taki dług, wiecznym zostaje.«

— »Słuszne te słowa.« Rzecze Królowa.
»Tak! Teraz ja cię obronię.
»W imię Lignicy, wstańcie dłużnicy!
»Otwórzcie serca i dłonie.«

I pod królewski swój płaszcz niebieski,
Sama, cudowna kwestarka,
Wziąwszy kosz próżny, zgarnia jałmużny.
Drobne, lecz zbierze się miarka.
Bo miłość z nieba, pięcioro chleba,
W tysiące rozmnożyć zdoła.

. . . .

Święta Jadwiga, pełny kosz dźwiga
Na Szlązko wraca wesoła.

1880.

ORSZAK POGRZEBOWY.

NA CZTERECHSETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI JANA DŁUGOSZA.

Dawno to było, przed czterystu laty.
Dzwony zabrzmiały przy pamiętnéj trumnie;
Umarł Jan Długosz. — Za marami, tłumnie,
Szedł orszak, w żywe świadectwa bogaty.

* *
*

Szło duchowieństwo cnotodajne, w którém
On jaśniał, czysty a mocny jak djament.
Szła Akademja, któréj, trzéźwém piórem,
Przekazał wieków testament.

Szli królewicze z orlemi podloty,
Gniazdo wyborne, gdzie mistrz doskonały,
Dla przyszłéj kraju radości i chwały,
Wypielęgnował wiek złoty.

Szli dostojnicy, z któremi, bez skazy,
Pracował w twardym, społecznym zakonie.

I szli ubodzy, którym tyle razy
Kładł skarby w dusze i dłonie.

* *
*

A w samym końcu, już po-za wszystkiemi,
Szła jeszcze jakaś nieznana niewiasta.
Nie była ona ni z wioski ni z miasta,
Nie była z nieba ni z ziemi.

Mdłe ją, bezbarwne owiewały szaty;
Na twarzy miała tajemną zasłonę,
A w kraju płaszcza niosła liść i kwiaty,
Lecz jeszcze nierozwinione.

Gdy gwar współczesny mącił się przy trumnie,
Gdy żółta zawiść syknęła z uboczy,
Lub obojętność odwróciła oczy,
Ona się tylko uśmiechała dumnie,
Na ludzkich sądów zmienność i ułomność.
Sama milczała. Szła ciągle najdaléj.
Nikt jéj tam nieznał. Niektórzy szeptali,
Że jéj na imię: Potomność.

* *
*

Dawno to było, przed czterystu laty,
Jak za tą trumną wyszła nieznajoma.
Przez cztery wieki splatała swe kwiaty,
Aż dziś dopiero, naszemi rękoma,

Przystraja cichy grób dziejopisarza.
— Późno uwieńcza potomność daleka,
Ale im dłużéj swe sądy rozważa,
Tém nieomylniéj orzeka.

1880.

PIEŚŃ CZŁOWIEKA STRAPIONEGO.

Gdy się martwię, gdy się trwożę,
Bo mi ciężko na téj ziemi,
Nieraz myślę, o mój Boże!
Czy to tak jest ze wszystkiemi?

Znałem ludzi dosyć dużo,
A każdemu się zdawało,
Że to innym losy służą,
Tylko jemu Bóg dał mało.

Jeden dostał mało chleba,
Drugi niewié co to zdrowie,
Trzeci niéma wiary z nieba,
Czwarty płacze, a nie powie.

Kiedy każdy, swéj niedoli
Przypatruje się i dziwi,
Kiedy coś każdego boli,
No, więc wszyscy nieszczęśliwi?

Świat, jak mówią ludzie starzy,
Szedł od wieków tym porządkiem.
Zkądże mnie się szczęście marzy?
Za cóż ja mam być wyjątkiem?

Krzyż na ramię brać, i daléj!
Grzechem zazdrość lub sarkanie,
Kiedy wszyscy krzyż dostali,
I Ty sam go niosłeś Panie!

1880.

CUDOWNA STAJENKA.

DOBRYM LUDZIOM NA KOLĘDĘ.

Gdybyś ty częściéj, kochany człowiecze,
Zaglądał w czyste sumienia okienko,
Tobyś dopatrzył, (co na to świat rzecze?)
Że i ty jesteś cudowną Stajenką.

Bóg chce koniecznie narodzić się w tobie,
Do twéj małości przykrawa się wzrostem,
I oto został Dzieciąteczkiem prostém,
W twojéj się duszy położył jak w żłobie.

Twardy to żłobek, z kamienia. Aż smutno!
Czémże go wysłać? Duszyczkę ubogą,
Nie stać na jedwab', ach! ani na płótno.
Chyba jéj chęci policzyć się mogą.

Te dobre chęci, to ździebła znikome,
Lecz i ze ździebeł przygotuj usłanie,
A Bóg się wdzięcznie uśmiéchnie i za nie,
Chlebem żywota zapłaci za słomę.

A potém uważ i miéj to na oku,
By uwiązane u drabin bydlątka,
Niebacznym zębem nietknęły Dzieciątka,
I duchownego nie zjadły obroku.

Bo jest bydełko i w twojéj stajence;
O! Jest go więcéj niż tam w Betleemskiéj.
Są namiętności i żądze zwierzęce,
Które zdradzają pierwiastek twój ziemski.

Wprawdzie i zwierzę to boskie stworzenie,
Sprawiedliwości domaga się naszéj.
I żądza, w jarzmie trzymana uczenie,
Ma swoje prawa do życia i paszy.

Niechże więc jedzą osiołki i wołki,
Niechże u żłobu nakarmia się ciało,
Lecz tylko tyle, aby z téj podściołki,
Cóś i dla Boga przecie pozostało.

Bo jeśli żłobek wypróżnisz do denka,
Zsinieje nagle Dziecina różowa.
W kamiennéj duszy Bóg się nie odchowa,
I pustką stanie cudowna stajenka.

24 grudnia 1883.

POD NIEBIESKĄ CHORĄGWIĄ.

Już wieczór. Mrzy w powietrzu lodowata rosa.
Na łąkach się i w sercach powarzyły kwiecia.
Słońce naszego stulecia,
Nie jak czoło koronne, lecz jak rudowłosa,
Śmiertelnie blada,
Głowa ściętego, gdy do kosza spada,
Mdłe, bez promieni,
Zatacza się na chmury katowskiéj czerwieni.
Panie! Straszném obliczem grożą Twe niebiosa!

. . . .

Duszo zwiń pióra. Gdy nieba cię trwożą,
Zestąp na ziemię. Wszak i ziemia bożą?
Tu cię już nie dościgną postrachy krwawemi,
Widma obłoczne.

Spojrzę ku ziemi.
Oczami przy niéj odpocznę.
Niechaj huragan po niebiosach pędzi,
Chwycę się, jak tonący, jéj mocnych krawędzi.

Spojrzałam — i struchlałam. Co się z ziemią stało?
Już i na ziemi niéma jednéj piędzi,
Gdzie możnaby stąpać śmiało.
To nie sen. Przywidzenie oczu mych nie mami,
Grunt się usuwa pod nami!

Tu wydęte łono wznosi,
Tam zaklęsły, drży i pęka,
Jakby go mięła niewidzialna ręka.
Panie! Czyż Twoja ziemia obsuwa się z osi?

. . . .

Na skale pieśni stojąca,
Wpatruję się z wysoka w ten ocean suchy,
Co gra z łupiną ziemską i dzieje zamąca.
Patrzę, a sercem słucham.

Huk daleki, głuchy,
Na niezmiernych padołach ziemskiego wygnania,
Falami się rozbałwania.
Czy wojsko larw ułudnych i tu mię dogania?
O! Teraz to już nię duchy.
Rozeznaję żywe ruchy,
Ludzkiego stąpania.

Idą. Jeszcze nie przyszli, już po brzegach drogi,
Kometowemi płachty ciągną się pożogi,
Z bezimiennych wulkanów pryskają wybuchy,

Miasta idą w puchy,
Na gwałt jęczą dzwony.

A stąpanie się zbliża, straszliwe, tętniące,
Jak Apokaliptycznéj rozpęd zawieruchy.
Już idą. Już się roją. Pędzi tłum szalony.
To nie krocie ni tysiące,
Ale miljony.

. . . .

Patrząc na świat z ukosa źrenicą zawisną,
W jednéj garści, chciwie cisną
Kałem obryzgane złoto,
W drugiéj, pożądliwie wznoszą
Kielich, nalany burzącą rozkoszą.

Idą skacząc, i wyjąc, i bluźniąc. I oto,
Gdzie przeszli, gruzy leżą i porasta puszcza.

Lecz na znak dany z góry przez milczące wodze,
O dziwo! Pijana tłuszcza,
Kładzie palec na usta, groźne oczy spuszcza,
I wydaje się falą zatrzymaną w drodze,
Od gruzów nieruchomszą, od pustyni cichszą.

Tylko nad ich głowami sztandary się wichrzą.
Każdy sztandar o tle krwawém,
O haśle złowrogiem,
Szumi szyderczym podmuchem:

»Precz z własnością. — Precz z prawem. —
»Precz z rodziną. — Precz z duchem. —
»Precz z ojczyzną. — Precz z Bogiem.« —

. . . .
. . . .
. . . .

Kto niesforne pierwiastki przeczącéj potęgi,
Wziął w takie twarde zaprzęgi,
Że splecione, zawsze razem
Bronią się myślą, słowem, złotem, i żelazem?
Serce noszą zamknięte na potrójnéj kłódce,
I pod miecz oddadzą szyję,
A nie wyjawią, co w tém sercu bije?

O! Mają oni strasznego przywódcę.
Nie idzie on po ziemi, iecz nad ziemią nieco,
W błyskawicowym wozie, stu-smokowym cugiem,
Jedzie, i nad ludzkością wywija kańczugiem.

W licach jego przepysznych, dziwne błyski świecą.
Ach, wszak to najpiękniejszy niegdyś był z anio-
[łów?
Gwiazdy się w nim kochały, słońca przy nim bla-
[dły.
Dzisiaj, wódz przepotężny niszczących żywiołów,
Anioł upadły.

Z jego dawnéj korony klejnoty wypadły,
Ale jeszcze została oprawa przepaski,
Ach, i temi to odblaski,
Tém wspomnieniem o niebie, tym żalem po niebie,
On nieszczęsne dusze ludzi,
Oczarowywa i ludzi,
I zawrotnie olśnione, przyciąga do siebie.

Przyrzeka im już tutaj niebieskie rozkosze,
Miłość z wolnością, mądrość z bogactwem i wła-
Przynęty sypnie potrosze, [dzą.
A gdy mu się zaprzedadzą,
Kiedy zmarnują wiek długi,
Na krwawe jego wysługi,
Roześmieje się szyderca,
Da im, hańby znak na czole,
Taki niesmak na dnie serca,
Który nicestwu zazdrości,
I najstraszliwszą niewolę,
W kajdanach usypłanych z ogniw namiętności.

. . . .

Nigdy go właśni jego nie widzą żołdacy.
Mroczy go chmura, jak zwątpienie długa,
Czarna, jak rozpacz bezowocnéj pracy.
Ludzie czują go tylko po iskrach kańczuga.

Nieraz młodsi czartowie pytają go: »Panie!
»Czemu cię wiecznie kryje ta mgła tajemnicza?

»Nie chcesz-że nędznym ludziom ukazać oblicza?
»Niech czołem ci uderzą. Jawnym rządź rozkazem,
»Albo źle się stanie.
»Ach, ty chyba niewiesz, panie!
»Wszak oni przeczą i ciebie?
»Przeczą ślepi, choć sami są twoim obrazem!«

— »Dzieci! Miałki sąd was myli.
»Gdyby we mnie uwierzyli,
»Uwierzyliby zarazem
»I w tamtego..... tam..... na niebie.
»Niech do czasu igrają dwusieczném żelazem,
»Niech myślą że świat wiodą własnemi rozumy.
»Nikt lepiéj mi nie służy jak ci co mnie przeczą.
»Ze wszystkich smyczy na sforę człowieczą,
»Najbezpieczniejsza, smycz dumy.

»Kiedy pociągam obrożę,
»Mędrek szyją pokręca i głowę zadziera,
»Sądzi, że cóś dla siebie upolować może,
»A nie wié, że on tylko jest psem Lucyfera.«

. . . .
. . . .

Iluż ich się tam ciśnie! Huzia za zdobyczą!
Wszystkie ręce szukają, wszystkie gardła krzy-[czą:
»Gdzie szczęście? Daj-że to szczęście!«

Idą na stratowanie, na noże i pięście,
Byle choćby przez chwilkę uczepić się wozu,
Gdzie xiąże tego świata jedzie niewstrzymanie.

Czyżby już wszyscy, wszyscy mieli przejść, o Pa-
Do wrogów Twoich obozu? [nie?

. . . .
. . . .
. . . .

Nie! Płonna trwoga.
Są jeszcze serca czyste i tęskniące duchy,
Które Twego rydwanu wypatrują w niebie.
Te, nie przechodzą do wroga.

Do wroga nie przechodzą, — lecz idąż do Ciebie?
Gdy tamte pędzą szalenie,
Nabijają się w bryły, wiążą się w łańcuchy,
Te idą na rozproszenie,
Jakby ciche, wiatrami roznoszone puchy.

. . . .

Widzę je. Bladym tłumem snują się koło mnie.
Jedne, wpatrzone w niebo, założyły ręce —
Inne, przy drodze siadły bezprzytomnie,
Rzewnie płaczą i żale zawodzą dziecięce:

»O my, Parjasy dziejów! Czemuż nas, o Boże,
»Przywołałeś na padół w téj sądnéj godzinie?
»Zeszlij z nieba cud jasny! Ratuj Twą świątynię!
»Sam ratuj... My nieszczęśni, wyznajem w pokorze,
»Już jéj nasze ludzkie ramię,
»Podtrzymać nie może.
»Już ku Jozafatowéj schodzimy dolinie —
»Ziemia się łamie —
»Świat ginie!«

. . . .
. . . . , ...
. . . .

Milczcie, o małoduszni! Bo was bez rumieńca
Słuchać niemogę.
»Kto nie biegł do zawodu, nie otrzyma wieńca.«
Wstańcie, i w drogę!
A spieszcie się, by inni za was nie skończyli
Wielkiéj gonitwy.
Baczcie, czy was lenistwo pokorą nie myli?
Wara od téj złéj pokory,
I od złéj modlitwy.

Kazano wam się rodzić wśród wojennéj pory?
Toż zaszczyt! Wódz nie tego miłuje żołnierza,
Któremu straż wygodnych namiotów powierza,
Lecz którego wysyła w najgroźniejszéj chwili,
W sam ogień bitwy.

Walecznemu, bezczynne brzydną legowiska.
On drży do boju. Z rozkoszą,
Sam się na niebezpieczne wprasza stanowiska,
Świadom, że tylko skrzydła laurowe, podnoszą
Wyżéj a wyżéj —
Że tylko pod wystrzałów ulewą czerwoną,
Piersi jego się rozpłoną,
W konstellację gwiazd i krzyży.

Kto pożąda nagrody, pożąda i trudu.
Bierzcież ziemię, a z nieba nie wołajcie cudu.
Ten cud się stanie —
Ale wam zostawione jego dokonanie.

. . . .
. . . .
. . . .

Próżno wołam, i gniewna, serce drę na gromy.
Siedzą. Przestrach ogromne oczy im otwiera.
Patrzą i patrzą wzrokiem zgrozy nieruchoméj,
W twarz Lucyfera.

Czemu kamieniejecie, dusze przerażone?
Spojrzyjcie w przeciwną stronę:
Tam wasze miejsce, o zbiegi!
W szereg! A zewrzéć szeregi!

Tam stoi drugie wojsko i drugi wódz stoi.
Przepiękny! W słonecznéj zbroi,
Połyskującéj prawdy śnieżnemi źwierciadły,
To także anioł — ale nie upadły.

Lewą ręką oparty o bezdenną stągiew,
(Gdzie woda czasu, jako w Galilejskiéj Kanie,
Przechodzi przez cudowne dziejów przeżegnanie,
Aż doskonałém winem wieczności się stanie —)
Prawą ręką rozwija niebieską chorągiew.

Napis na niéj, snopami światłości uderza.
Jasny — zwięzły — a jaki? Trzebaż śpiewać dłużéj?
Napis ów, każdy powtórzy,
Kto nie zapomniał — pacierza.

. . . .

I ten wódz się spowinął płaszczem tajemnicy,
Mgłą niepokalanéj bieli.
Nie widzą go przeciwnicy.
O! Gdyby go rąz ujrzeli,
Przeszli by wszyscy pod chorągiew nieba!

A jemu jeszcze podnieść nie wolno zasłony,
Bo jeszcze walki potrzeba,
Ażeby dramat ludzkiéj zasługi, mierzony
Według nieznanych godzin nieznanego słońca
Rozegrał się aż do końca.

I swoi go nie widzą, ach nie widzą smętni!
Tylko czasem, gdy hasło do szturmu zatętni,
Po iskrze złotéj,
Co za jego spojrzeniem przelata w szeregu,
Czują obecność wielkiéj, przewodniéj istoty,
I z okrzykiem zapału przyspieszają biegu,
Jakby ich porywały kołowemi zwroty,
Piór niewidzialnych podloty.

Niekiedy nawet, oko prześwietlone w wierze,
Na srebrnym drzewcu chorągwi, dostrzeże
Cóś jakby rękę ze śniegu.
I wnet Widzący szepnie, stanąwszy na przedzie:
»Anioł nas wiedzie!«

. . . .

Przywódco bożych armji! Rajski bohaterze!
Nie raz to pierwszy, za bary
Z tobą się bierze,
Wróg stary.

Nienawiściami bratniemi
Rozjątrzony Lucyfer, zawziął się na ciebie.
Raz już przegrał z tobą w niebie,
Chce odegrać się na ziemi.

O Michale Archaniele!
Ty, co z niezłomną buławą u ręki,

W niezłomnie wojującym hetmanisz kościele!
Dzięki ci od wszech-ludów i pokoleń! Dzięki,
Że po raz wtóry stanąć zechciałeś na czele,
Już nie anielstwa, ale człowieczeństwa.
Sam widok twojéj buławy,
Daje łaknienie męczeństwa,
Sprężystość niebezpieczeństwa,
Rozpęd świętego szaleństwa,
Rękojmię błogosławieństwa
Dla dobréj sprawy,
I żądzę po-za ziemskiéj wśród aniołów sławy.

. . . .

Lecz i wódz nie wybawi, gdy wojsko truchleje.
Tryumf niebiosów zawisł od naszego męztwa.
Możemy zbliżyć godzinę zwycięztwa,
Lub ją oddalić, niestety!
Na całe opłakane setnych lat koleje.
W naszém ręku przyszłe dzieje —
W naszém sercu los planety.

O! Gdyby wszyscy ludzie, choć na jedną chwilę,
Na jedną! Przy skrzydlatym stanęli hetmanie!
Ach, próżno i marzyć.....

Panie!
Do tryumfu Twéj prawdy nie trzeba i tyle.
Choćby nikt nie powrócił z wojska przeczycieli,

Gdyby tylko ci nasi, ci wszyscy nieśmieli,
I chwiejni, i przemądrzeli,
Co z murów, na walczących wytężają oko,
Lub zdala za hufcami z taborem się wloką,
Co już do nas należą sercem i nadzieją,
Lecz do swojéj chorągwi przyznać się nie śmieją,
Gdyby ci, śmieli!

Tak! Niech bezczynni wstaną, niech przemówią
[niemi,
Niech już raz pod imienne pójdzie głosowanie,
Kto trzyma ze Strąconym, a kto z Archaniołem,
Niech wszyscy broń uchwycą, i z odkrytém czołem,
Tu czyli tam wystąpią pod sztandary swemi,
A jasném się stanie,
Że Bóg jeszcze od ludzi nie tak opuszczony,
Jak nam lucyferowi chcą wmówić dworzanie,
I że w bitwie o los ziemi,
Jeśli tamtych miljony, to i nas miljony.

. . . .

Żołnierze dni obecnych, wybrańcy bojowi,
Pysznijcie się! Musicie być mili wodzowi,
Kiedy między ogromną milicją człowieczą,
Was upatrzywszy,
Was na czarną godzinę wysyła z odsieczą,
W bój najstraszliwszy.

Dla was wieniec nad wieńce! O przyszli niebianie,
Koronowani ofiarnie,
Radujcie się, dziękujcie za prześladowanie,
Krew i męczarnie,
Których piętno u piersi gwiazdą wam zostanie!

A jeśli zniechęcenie duszące pożarnie,
Jak dym bitewny waszą pierś ogarnie,
Orły, wystrzelcie nad nizkie opary,
Skronią królewską —
Wpatrujcie się okiem wiary,
W to światełko, co przez szpary,
Świtającą miga kreską
Za grobową deską —
I w zaciśniętéj kolumnie,
Idźcie jawnie, karnie, tłumnie,
W bój, pod chorągwią niebieską.

1884.

PSYCHE I FENIX.

PŁASKORZEŹBA.

U bram Tartaru, na rdzawéj opoce,
Siadła w podróży unużona Psyche;
Motylem skrzydłem już ledwie trzepoce;
Z ócz jéj wygląda przerażenie ciche.

W stopie, wygiętéj pòdlotnym rysunkiem,
Krwawi się kolec różanéj gałązki.
Z ramion, pachnących boskim pocałunkiem,
Zefir pozsuwał tęczowe obwiązki.

Na głazie lampę postawiła złotą,
Gdzie ogień pełga kitą rubinową.
Spojrzała w bramy ziejące ciemnotą,
Wzdryga się, — drobną potrząsnęła głową.

— »Iść tam, czy nie iść? Za progiem jak ciemno!
»Już mróz grobowy chłoszcze mi ramiona.
»Lampo miłości, świéć wiernie przedemną,
»Bez ciebie, zbłądzę w podziemiach Plutona.

»Lampo nieszczęsna, tą jedną przysługą,
»Nagródź mi krzywdę, a krzywda to sroga:
»Ty mi wydarłaś, kto wié na jak długo,
»Może na zawsze, kochanka i boga.

»Po co mi było w twą popaść ponętę,
»O ciekawości, o płomyczku mały?
»Przeklęty ogień! I światło przeklęte!
»Dały świadomość, a szczęście zabrały.

»Odkąd mu iskra opaliła pióra,
»Znikł. Ja go szukam i ufam niezłomnie.
»Słońce mi blade i ziemia ponura.
»Tęsknię i płaczę. I on tęskni do mnie!

»W górnym Olimpie więżą go bogowie.
»Ach, a boginie, mszczą się nad zuchwałą,
»Nad córą śmierci, któréj serce wdowie,
»Nieśmiertelnego umiłować śmiało.

»Wprzęgły mię w jarzmo, próbami zdręczyły.
»A gdy już sądzę że stoję u kresu,
»Zadają próbę ostatnią..... nad siły.
»Każą mi żywcem zstąpić do Hadesu —

»I ztamtąd przynieść skarb dziwny, jedyny
»Jakiego tajni Wenus nie dociekła.
»Leży on w ręku saméj Prozerpiny.
»Kto chce go zdobyć, musi przejść przez piekła.

»Wszystkie kolejno wytrzymałam próby,
»Lecz tu napróżno i zaczynać pracę.
»To już nie próba, to wyrok zaguby.
»Żegnaj Amorze! Na wieki cię tracę!

»Iść tam, czy nie iść? Precz dzieło pokusne!
»Jak trup się w białéj uwinę opończy,
»Snem nieprzespanym u téj bramy usnę,
»Usnę — zapomnę — i wszystko się skończy.

»Precz i z tą lampą! Do piekieł, nie mogę
»Iść bez jéj światła. Niech tylko ją zdmuchnę,
»A już na zawsze zamkniętą mam drogę.
»Dość jedno tchnienie wypuścić leciuchne.....«

. . . .

Twarz jéj zbielała jak zarys kamei,
Powieki spadły jak zawarta xięga,
W piersiach zgasł ognik ostatniéj nadziei.
Ściągnęła rękę, już lampy dosięga.

Straszno..... Świat zadrżał o losy człowiecze.
Po co mu odtąd wirować na osi,
Jeżeli Psyche nieba się wyrzecze?
Już wzięła lampę, do ust ją podnosi.....

. . . .

Tu nagły powiew uderzył jéj łono.
Pęd-że to wichru, czy ptasiego stada?
Spuściła lampę jeszcze niezgaszoną,
Roztwiera oczy, z podziwem usiada.

Nie całe stado, lecz jeden ptak wielki,
Skrzący, przepyszny, krąży nad jéj głową.
Puch ma nasiany złotemi kropelki,
Skrzydła szkarłatne, i pierś lazurową.

— »Fenix! Ptak słońca! Poznaję z opisu,
»Jakim go Amor malował przedemną.
»Co sto lat leci do Heljopolisu,
»Tam sobie trumnę buduje tajemną.

»Trumnę, i gniazdo. Zapatrzon w Aurorę,
»Siada na stosie z wonnych ziół i mirry.
»Promieniem słońca zapala się, gore,
»I odrodzony powraca w szafiry.

»Jak ty mię, ptaku, zawstydzasz twą mocą!
»Gdzie ja iść nieśmiem, tam niepowstrzymanie,
»Tam z dobréj woli lecisz sam! I po co
»Lękać się śmierci, gdy jest zmartwychwstanie?

»Może cię Amor przysyła za gońca?
»Pójdę! Ku niebu prowadzi najprościéj
»Ofiara. Tylko przez ogień do słońca!
»Tylko przez boleść do nieśmiertelności!«

. . . .

Odleciał! Psyche wstaje odrodzona.
Złoty włos furknął z igraszką wietrzyka.
Pawiemi oczy mignęły ramiona.
Porywa lampę, i w ciemnościach znika.

1885.



NA CZEŚĆ WIARY.

PIEŚŃ WOTYWNA.

W ciężkiéj godzinie życia, grom wisiał nademną.
Nieszczęście biegło ku mnie, jak Meduza blade.
Struchlałam — i stanęłam. Już mi w oczach cie-
[mno.....
Już uczuwam, że stopę nad przepaścią kładę.
Wonczas, duch niewidzialny przeszedł, i tajemną,
Pod sercem wypukaną, podszepnął mi radę:

— »Żołnierz, gdy mu sąsiedzi od kul popadali,
»Żeglarz, gdy mu się nawa rozstępuje krucha,
»Ślubują niebu dary, jeśli ich ocali.
»I ty mu dar przyrzeknij, — może cię wysłucha?«

Dobrze radzisz, — przyrzeknę.... oddam na ołta-
[rze.....
Lecz co? W jakiém-że niebo lubuje się darze?
Wojak z piersi odpina medalowy pręcik,
I swój krzyż na kościelnym przytwierdza filarze.
Marynarz u sklepienia zawiesza okręcik,

Strugany w cienkie maszty, rudelek i wiosła.
Każdy przynosi godło swojego rzemiosła.
Czém-że się ja, pieśniarka, Panu wywzajemnię?
Powiédz! Chyba po strunach méj harfy uderzę?
Ach tak! Jeśli nieszczęście odwróci odemnie,
Jeśli wiary wysłucha, złożę Mu w ofierze
Dar błahy, lecz nad kupne serdeczniejszy dary:
Pieśń na cześć Wiary.

* *
*

I wysłuchał! O cudo miłości jedyne!
Skinął, i moją rozpacz w upojenie zmienia.
Pan się stawił z ratunkiem na dzień i godzinę,
Posłuszny swemu dziecku aż do przerażenia.

Odtąd, codzień radośnie padam na kolana,
Obchodzę tę godzinę jak rocznicę święta,
Uwielbiam i dziękuję, — lecz pieśń ślubowana,
Jeszcze dotąd z méj harfy nie wyszła, — zaklęta!

Wpół widna za strunami, jak więzień za kratą,
Zawodzi głuche skargi, szepce dniem i nocą:
»Puść mię! Pan się dla ciebie nie spóźnił z pomocą,
»A ty, twarda dłużniczko, spóźniasz się z wypłatą?«

Ciszéj harfo! Sto razy już cię miałam w ręku,
I odeszłam, rażona od świętego lęku.
O, ty wiesz! Ja nie milczę z czarnéj niepamięci,

Ni grzesznego lenistwa, ja milczę — z pokory.
Mnie, kréślić obraz Wiary? Mnie?... Wszak Pań-
[scy Święci,
Ledwie szkic jéj rzucili? Kościelne Doktory,
Ledwie śmiały odchylić jéj płaszcz liljowzory?

Milczę, — ale ty moich nie oskarżaj chęci!
Od nich pierś mi się burzy, pali mi się głowa.
Ach, jabym chciała zebrać wszech-bogactwa ducha,
Ach, jabym chciała zrobić jakiś klejnot słowa,
Ulewać strofy krągłe jak zwoje łańcucha,
W których szmerze dźwięk złota odzywa się
[szczery.
Chciałabym w te wiązane wyrazów okucia,
Kłaść szafiry natchnienia, rubiny uczucia,
I wprawić wielkie myśli niby solitery.

Harfo! Pryśnij perłami, roztop się na złoto,
A zaniosę cię Panu, grające ex-voto.

Ha! Teraz ty zamilkłaś, wstydem oniemiała.
Nieużyteczna sługo, tyś mi wyrzucała,
Że nie płacę skarbami? Zkądże ich dostanę?

Moje twory, garncarską lepione są sztuką,
Czuć je ziemią. Me słowa, jak szrut, ołowiane.
A myśli, to paciorki, co jutro się stłuką.

Zaczekam. Z moją nędzą Panu się wyżalę.
Może kiedyś dzień siły i dla mnie nastanie,
Lecz dziś..... jeszcze niemogę. — Przyrzekłam
[zuchwale.
Za słabe moje struny, za wielkie zadanie!

Tak mówiłam. A przecie, któż harfę przekona?
Cień pieśni chodził za mną, chłostał mi ramiona.
Dni biegły niespokojne. Minął rok, pokłuty
Przez głuche, źle gojone sumienia wyrzuty.

Aż przyszedł dzień... Początek, czy koniec pokuty?

Harfa moja zabrzękła jakby potrącona.
Niewidzialne zjawienie tuż przy mnie stanęło.
Chwilka..... I głos przemówił, pół groźny, pół
[cichy:

— »Więc to tak? Chcesz, pokorna, stworzyć arcy-
[dzieło?
»Spostrzeż się: w téj pokorze jest jeszcze błysk
[pychy.

»Daj co masz. Czyste złoto czy nikczemny ołów,
»Daj co masz. Bo i kogóż chcesz olśnić? Aniołów?
»U nich wszelka pieśń ludzka, choćby i mistrzow-
[ska,
»Jak gaworzenie dziecka, tylko uśmiéch budzi.
»Czy na ludzki sąd baczysz? Niech ten cię nie
[troska.
»Wierzaj mi, jest anielstwa dużo i u ludzi.

»Pielgrzym, kiedy wstępuje w poświęcone gmachy,
»Patrzy z takiémże czuciem na świeciste blachy,
»Pstre chorągwie, któremi hetmany i króle,
»Zapisały swą wdzięczność, jak na proste kule,
»Co szczęśliwy kaleka tam oparł o ścianę,
»Lub na żółte serduszko, z wosku wydmuchane,
»Jakiém uboga matka, zdrowie jedynaka
»Spłaciła. Dla pielgrzyma ich wartość jednaka.
»Wszystkie błogo mu świadczą, że wielcy i mali,
»Prosili tu już przed nim, i łaski doznali.

»A Bogu? Wosk czy brylant, zarówno dlań pyłem.
»Lecz pomnij, że to Ojciec! On chciwy pieszczoty.
»Wiązanie od dziecięcia, niezgrabnéj roboty,
»Śmiészne dla cudzych oczu, dla ojca jest miłém.«

— Dosyć, Aniele-Stróżu! Rozumiem przestrogę.
Biorę harfę. Bóg widzi, że więcéj nie mogę.

Ty, Wiaro, stań się dla mnie Muzą poświęconą!
Wrzuć wichry w moje struny, płomienie w me łono.
Ubierz mię skrzydeł orlich czy gołębich parą.
Bez nich, jakże cię w górnym doścignę obszarze?
Tylko Wiarą natchniona, śpiewać się odważę
O tobie Wiaro!

* * *

Ach, jam twoją!. Ty jesteś patronką poety.
On, twój syn pierworodny, prawy twój obrońca,
Tém dłuższe ciska światło, niby słup komety,
Im bliżéj do twojego przygarnął się słońca.

Któryż wyprze się ciebie, i w piersi zachowa
Iskrę ognia świętego? Zawiędną mu słowa,
Zwarzy je gorzki uśmiech i rozpacz jałowa.
Pozostawisz mu dętą koronę kunstmistrzy,
Ale wieńca mu niedasz, ani téj najczystszéj
Źrenicy, która wieczność w przewidzeniu stre-
[szcza.
Ty rodziłaś proroki, ty wyświęcasz wieszcza.

Choćby ci ziemia cała stanęła za wroga,
Oni cherubinowym obronią cię mieczem.
Ty wypisana stoisz na sercu człowieczém,
Poezjo Boga!

* *
*

Najwyższa, — a dla wszystkich czytelna. Nie
[trzeba
Nosić togi ni laurów, by zrozumiéć boski
Twój alfabet. Ach owszem, ty mistrzyni z nieba,
Masz dla ubogich w duchu wyraźniejsze głoski.
Dla nich w xiędze przyrody masz tysiące zna-
[czków,
Których i szkłem nie dojrzy badacz posiwiały.

Ty na karcie maleńkiéj zmieściłaś foljały,
Wiedzo prostaczków!

* *
*

Lecz niechaj się na ciebie nie skarżą mędrcowie.
Masz ty i dla nich łaski. — Jeżeli w połowie
Swéj drogi, zaskoczeni granicą świetlaną,
Uszanują twe państwo, przy tronie twym staną,
Rzucą na jego stopnie zdobyte sztandary,
I uznają, że Rozum jest lennikiem Wiary,
Natenczas w ich źrenice włożysz orle oczy,
Świat, pierwéj dla nich ciemny, zmienisz na prze-
[zroczy,
Ich nauce, ziemskiemi upstrzonéj szkiełkami,
Dasz bezcenne klejnoty niebieskich posagów,
I zawiedziesz ich daléj niż marzyli sami,
O gwiazdo Magów!

* *
*

I będą królowali jak ich wschodnie wzory,
Wielką myślą koronni. Ale tę koronę,
— Niech pomną — kładziesz tylko na czoła schy-
Córko pokory! [lone,

* *
*

Masz ty jeszcze piękniejsze w skarbcu twym dja-
Z jasności ulewane Świętych aureole. [demy:

Gdy taki krąg na ludzkiém zarysujesz czole,
Wtedy już dla twéj chwały granic nie znajdziemy.
Wtedy zrywasz kajdany — lwy kładziesz pod [nogi —
Uciszasz nawałnice — zdmuchujesz pożogi —
Przemawiasz językami wszystkich serc i ludów —
Leczysz nieuleczalne — rozpędzasz zarazy —
Umarłych wszechwładnemi ocucasz rozkazy —
Żywych porywasz w niebo na skrzydłach extazy—
Twórczyni cudów!

* * *

Ach, nie każdemu lecić pomiędzy anioły!
Ledwie garstka wybrańców nosi te korony,
A do ziemi przykute zostają — miljony.
Lecz ty umiész, litosna, zejść i na padoły.
Wtedy ludzką twarz bierzesz, i już na tym świecie,
Stajesz się rozdawczynią doczesnego szczęścia.
Ty jedna prawy stępel bijesz na monecie —
Zaufaniem nitujesz obrączkę zamęźcia —
Ty potwierdzasz majestat sędziowskiego zboru —
Dajesz kłódkę stalową, co pierś przyjaciela
Roztwiera lub zamyka — ty szarfą honoru,
Wiążesz rękę dłużnika z ręką wierzyciela —
Ty wodza i żołnierzy spajasz w jedną duszę —
Ty pieczętujesz wiotkie narodów sojusze.

Choć klęski najczarniejsze zerwą się szalenie,
I na gmach społeczeństwa taranem uderzą,

Niechaj biją! Dopóki pod środkową wieżą,
Słup wiary zobopólnéj trwa nienaruszenie,
Póty twierdza niezłomną — szturmy bezsilnemi.
Lecz biada jeśli runie ten filar jedyny!
Każde jego zadrgnięcie, jak trzęsienie ziemi,
Rozdziera ściany domów i państw podwaliny.

O! Gdyby ci, co w ręku dzierżą losy tłumów,
Co frymarczą twém godłem w obliczu gromady,
A w Augurowéj sali drwią ze wszelkich umów,
Chcieli cię choć raz jeden zawezwać do rady —
Gdyby w odwiecznéj orgji uczuć i rozumów,
Dziejowe oszukaństwa i rodzinne zdrady,
Twych lic nie przedrzéźniały zapustną maszkarą—
Gdyby cię o ty piękna, o ty »dobra« Wiaro,
Choćby przez jedną wiosnę po wszech-ziemi
[czczono —
Już świat stałby się rajem! Przez ciebie, najprościéj
Trafić mu do braterstwa, — boś ty jest rodzoną,
Siostrą miłości.

* * *

Ach, daleko nam jeszcze do takiéj oazy!
Majak ziemskiego raju wiesza się w przezroczu,
Zielonemi podróżnych przywabia obrazy,
I nigdy niedościgły, pierzcha z przed ich oczu.
A tymczasem pod stopą, nasz padoł tułaczy,

Codzień suchszy od zwątpień, twardszy od roz-
[paczy,
I schnący potok dziejów same toczy głazy.

W téj pustyni żywota, w téj dusz karawanie,
Gdzie wszystko niepojętém, wszystko tajemni-
[czém,
Gdzie ziemia i niebiosa milczą niezbłaganie,
A przeznaczenie patrzy sfinxowém obliczem,
Ty jedna masz odpowiedź na każde pytanie.
Wszelka inna, przez puste odbita otchłanie,
Pytającego głosu jest echem zwodniczém.

Niech świeckie filozofy ciągną swą rozmowę,
Nigdy niezakończoną, i niech łamią głowę,
Jak postawić odwieczne jaje Kolumbowe?
Ten mówi: »Wszystko Bogiem.« Ów mówi: »Bóg
[niczém.«
Ten rzecze: »Ślepe siły.« Ów rzecze: »Przypadek.«
A każdy woła: »Prawdy, ja pierwszy nauczę!«
Idzie nowy, i jajko poprzednika tłucze.

Ty uśmiéchasz się patrząc, gry dziecinnéj świadek.
Ty na kółku wieczności, masz u pasa, klucze
Wszystkich zagadek.

* *
*

Kiedy Noc dolinowe uciszy poziomy,
I nakręci sprężyny grające w eterze,
Zadumani badacze wychodzą na wieże.
Patrzą przez wieki całe w godzinnik ruchomy,
Liczbami zazębiają srebrne kołowroty,
Garście słońc jakby piasek przesypują złoty,
I truchleją od grozy, i więdną z tęsknoty.

Napróżno Myśl człowiecza, piórkami gołębia,
Chce falujące świateł przemierzyć potopy,
Nie znajdzie brzegu! — Próżno ręką Penelopy,
Sypeł jednéj mgławicy na nić porozkłębia,
Już sto innych się plącze! — Próżno teleskopy,
Kryształami nabija, — niebo się pogłębia,
Wystrzał zawsze za bliski!

— Płonna robotnica,
Czuje, że w tych ułamkach jest jakiś rachunek,
Dostrzega, że w tych wirach jest jakiś rysunek,
Cóż kiedy summy nie zna? Kształtu nie pochwyca?

Ciągle biegnie i pyta: »Czy tutaj granica?«
Nie! Już padła, ostatnie wydała już tchnienie,
A liczby za liczbami znów pędzą szalenie,
I konająca przestrzeń znów płodzi przestrzenie.

Lecz niech Wiara przeleci nad mętną pomroką,
I zapali trójkątne Opatrzności Oko,

A czego Myśl przez wieki nie objęła, ona
W błyskawicznêm widzeniu tym znakiem dokona.
Postawi go na niebie pierwszém i dziesiątém;
I setném i tysiącznêm, i nieutrudzona,
Będzie póty stawiała trójkąt za trójkątem,
Aż z łamanych tych krések, przedziwnie się złoży,
Jeden zarys wszech-rzeczy, na nim — podpis boży.

Ona więcéj potrafi: jéj wielkie ramiona
Tak daleko sięgają, że gdy je roztworzy,
A potém wzniesie ręce związane miłośnie,
Parallaxą modlitwy na wskróś poprzestrzela
Wszystkie kręgi stworzenia, i dłońmi, dorośnie
Do słońca nad słońcami, tronu Stworzyciela.

Wiaro! Im człowiek wyższy w naukę i lata,
Zawstydzony, tém niżéj pochyla kolano.
Ty jedna rozwiązujesz, nie »tutaj« związaną,
Zagadkę świata.

* *
*

I czy tylko tę jedną? Człowiek, w łonie swojém,
Sam więcéj nosi mgławic, niż ich jest na niebie.
Ledwie rzucił kolébkę, już się z niepokojem
Przed sobą rozpatruje, ogląda za siebie.
Zkąd wyszedł? Dokąd idzie? Dla czego tak wzdy-
[cha
Do szczęścia, i dobrego żąda nieskończenie,
A cierpi i upada? Dla czego? Milczenie.

— Tymczasem, każda chwila roztacza mu zcicha
Zwitek jego przyszłości. Tajemna-ż to karta!
Pytaniem zagajona, przerwana w pół słowa,
Ciekawa i okropna, baśń dziwolągowa,
Bez początku ni końca, zdaje się wydarta
Z jakiéjś ogromnéj xięgi, — lecz xięga zginęła.
Stoi tam czasem gwiazdka pełna wabnych bły-
[sków,
Odsyłacz do Przypisku, — cóż, kiedy Przypisków
Brakuje? Pewnie poszły na sam koniec dzieła.

Nad dziwną kartą, człowiek siedzi osłupiały.
Bierze rylec myślenia, pióro wyobraźni,
Chce pierwsze i ostatnie dopisać Rozdziały.
Pisze, maże, i codzień dostrzega wyraźniéj,
Że nie trafi — mdły twórca — do pierwotnéj treści.
Wstęp i koniec się kłócą ze środkiem powieści.

Dopiero, gdy mu Wiara, przez niebo rozwarte,
Xięgę nieśmiertelności poda purpurową,
Gdy, nożycami czasu wykrojoną kartę,
Wsunie napowrót w miejsce z wieczności wydarte,
Gdy Rozdziały powiąże z końcem i Przedmową —
Pierwszy znak zapytania Wstępem się wyjaśni —
Wyjdą na jaw Przypisy — ostatnie pół-słowo,
Drugą, tyle szukaną dojrzeje połową —
Człowiek, drżący od szczęścia, z niepojętéj baśni
Wyczyta hymn cudowny, i pozna — o dziwo!
Że we własném sumieniu nosił klucz odkrycia.

Ty jedna rozwiązujesz straszną, przestraszliwą,
Zagadkę życia.

* *
*

I czy tylko jednego? Ach nie! Ognik ducha,
W glinianéj lampce ciała dymiący pochmurnie,
Dopiero wtedy pełnym płomieniem wybucha,
Gdy postawisz go w ciepłéj od popiołów urnie.

Oto człowiek, obwiany płatami żałoby,
Siedzi na mchu smętarza; twarz w rękach ukryta.
Z pod drzew, tysiąc-imienne żalą mu się groby,
On tylko w jeden patrzy, jedno imię czyta.

Przyjaźń usiadła przy nim, pociesza go zcicha,
Ramieniem obejmuje — on ramię odpycha.

Miłość nad nim się chyli, chce go, całująca,
Zawrotną czarą spoić — on czarę odtrąca.

Wiosna rzuca mu kwiaty, z wymowną przestrogą:
»Wszystko więdnie!« — On gniewną rozmiażdża
[je nogą.

Pięścią niebu wygraża i skronie swe bodzie.
Toczy dzikiém spojrzeniem.

— »Co mi po przyrodzie?
»To macocha! Jéj uśmiéch rozjątrza zgryzotę.

»Co po nowych uczuciach? Rozedrą mi ranę,
»Przypominając czasy szczęśliwości złote.
»Mówicie: — Bądź odważny? Czas przyniesie
[zmianę? —
»Ach oddajcie mi tylko najdroższą istotę,
»Powiédzcie że choć w innym zobaczę ją świecie,
»A pójdę mężnie w życie, na wszystko przystanę.
»Lecz wy nawet nadziei dać mi nie możecie!
»Nie! W tym dole już wszystko dla mnie pogrze-
[bane.«

Dzwon się ozwał. Nakoniec idzie upragniona!
Złoty z nieśmiertelników oświetla ją wianek.
Cały smętarz pojaśniał — i pyta: »Któż ona?«
To Wiara. Spływa lekkim pochodem niebianek,
Staje przy nieszczęśliwym. Pociech nie wymienia,
Rad nie daje, lecz grotem wyciętym, z promyka
Nieznanéj dla nas gwiazdy, na głazie pomnika,
Ryje dwa słowa, tylko te dwa: »Do widzenia!«
Napisała, i cicho za grobowcem znika.

Podniósł oczy — przeczytał. Od bladego czoła,
Ręce odrywa, składa z podziwu, i woła:
»A więc jest: Do widzenia? Więc mówi mogiła?
»Więc jeszcze się z najdroższą istotą zobaczę?
»To ona mi te słowa przez Wiarę przesyła!«

Powstał. Spojrzał ku niebu. W oczach się prze
[mienia.
Już pociech nie odpycha, zaledwie że płacze.

Z jego piersi wionęły kiry i rozpacze,
I poszedł w życie mężnie, szepcąc: »Do widzenia!«

Tu Wiaro twój najwyższy tryumf. Niech Nauka,
Uzbrojona w retorty i skalpel, sto razy,
Sztywne zwioki rozłoży na prochy i gazy,
Nie złoży ich napowrót, serca nie oszuka.
Niech przechowa je w mumji, oczu nie omami.
Niech się w głąb' dokopuje grobów pod grobami,
Niech całą kulę ziemską na wylot przewierci,
Nie znajdzie dna przepaści rozłamanéj w bycie.
Ty nam jedna tłumaczysz, straszliwszą nad życie,
Zagadkę śmierci.

* * *

Czyż są tak ciężkie smutki, tak bezmierne straty,
Coby się nie wydały ziarenkiem znikomém,
Kiedy ty, drugą szalę przywalisz ogromem,
Nieskończonego życia i wiecznéj odpłaty?

W twojéj mocno-zamczystéj, pachnącéj szkatule,
Gdzie rżnięte słoje myśli i uczuć kryształy,
Stoją, balsamicznemi nalane kordjały,
Widzę leki na wszelkie zatrucia i bóle.

Ty cnotliwego krzepisz jak ów anioł blady,
Co kielichem przyświécał w ciemnościach Ogrójca.
Ty jedna umiesz łamać narzędzie zagłady,
Które już w zimnych rękach waży samobójca.

Ty i zbrodniarza budzisz cichemi napady,
I póty mu podsuwasz wspomnienia dziecięce,
Aż we łzach, pokrwawione obmyjesz mu ręce.

Jako niegdyś, cudownie a niepostrzeżenie,
Z włosami, przyrastało mocy Samsonowéj,
Takie ty siłodajne rozpuszczasz promienie,
Na czystych bohaterów i narodów głowy.
Potém, niechaj demony wszystkie, po kolei
Wezmą je na katusze, zagadka ich siły
Nie stracona, dopóki ciebie nie straciły,
Matko nadziei!

* * *

Tu już bierzmy wonności, pochodnie zapalmy.
Oto przez katakumby dziejowe idziemy
Do państwa, gdzie nietylko świetlane djademy,
Lecz rozdajesz i berła: niebowładne palmy.

Od owych Męczenników ociekłych szkarłatem,
Co na rusztach i palach, pod rózgą liktorów,
I w ryczącéj Arenie, dowiedli przed światem,
Że Duch, tryumfatorem wszech-tryumfatorów —

Do cichych Missjonarzy z kagankami w rękach,
Co między ciemne ludy idą bez obrony,
I śmiercią, na wymyślnych rozcieńczaną mękach,
Wypraszają swym katom żywot odrodzony —

Od owéj, Machabejów matki srebrnowłoséj,
Co siedemkroć konała w synach zabijana,
I z ich dusz, płomieniami bijących w niebiosy,
Siedmioramienny świecznik zażegła dla Pana —

Do téj trzykroć cudownéj pasterki z Domremi,
Co w natchnieniu, słuchała niebiańskiego posła —
W bohaterstwie, dźwignęła chorągiew swéj zie-
[mi —
A w męczeństwie, gołąbką nad stos się uniosła —

Każdy wiek ci poświęca krwawą hekatombę.
Krew jęczy głosem Abla, grzmi w echu szerokiém,
Aż anioł bożéj pomsty porywa za trąbę,
Niesie głos ten do nieba, i wraca — z wyrokiem.

Za jakąż inną miłość, jakież inne dzieło,
Tyle wielkich serc walczy, i pada ofiarą,
Ile już ich walczyło, ile już zginęło,
Za ciebie Wiaro?

* * *

Słuszny haracz wdzięczności. Ach, nigdy za drogo,
Ludzie twoich dobrodziejstw okupić nie mogą,
Piastunko wszech-pokoleń! Ty w majowe rano,
Z kolébki barbarzyństwa wzięłaś je na ręce,
Mlékiem życia poiłaś ich usta dziecięce,
Kwiatem szczęścia przepięłaś ich pierś młodocianą,

Męzką siły przyłbicą złociłaś im lico,
Ludów rodzico!

* *
*

Odtąd, z pochodnią w ręku, przez roków tysiące,
Od różanego Wschodu ku łunom Zachodu,
Okrążasz glob na czele człowieczego rodu,
Jak niebiosa okrąża słońce gorejące.

Noc rzuca się w twe ślady, szarpie cię za poły;
Stu paszczami przeczenia, potwór wielogłowy,
Rwie ci skrzydła, nadgryza twój płaszcz szafirowy,
I słabe dusze ściąga na mroczne padoły.

Biada ludom ślepnącym których razisz oczy!
Odwrócą się od ciebie, i rozpierzłą zgrają,
Będą wołały: »Naprzód!« A one, wracają!
Nie pojmą że wracają, aż Noc je zaskoczy.

Na co im szukać prawdy po drogach tak wielu?
Tylko póty iść mogą w nadziejném weselu,
Tylko póty je pochód przybliża do celu,
Póki w ruchach i zwrotach zrosłe jednolicie,
Jak wojsko, archanielską porwane fanfarą,
Idą szturmem przez życie, na nieba zdobycie,
Za tobą Wiaro!

* *
*

Ach nie tak idą dzisiaj! Niepomne, że ona,
Zrodziła je do światła, chodzić wyuczyła,
Że co mają sił, wszystkie wyssały z jéj łona,
Dziś mówią: »Nie téj staréj, lecz nasza to siła.«
Odepchnęły jéj łono precz..... i zbrodniczemi
Rękoma, świętą matkę wypędzają z domu.

Miałażby Wiara uciec ze skalanéj ziemi?
Wrócić między niebiany, spłoniona od sromu?

Pierzchaj z przed moich oczu wizjo przeraźliwa!
Nie, stój! Chcę ci się przyjrzéć dla groźnéj prze-
[strogi:

Niéma Boga. Już niéma. Lecz któż to przybywa?
Zamiast jednego, setne podnoszą się bogi.
Pod nowemi szatami, a ze zgniłém ciałem,
Pod młodemi nazwami, a z licem zgrzybiałém,
Korowodem co depce, drze, gryzie i niszczy,
Larwy dawno zamarłych wracają bożyszczy.

Mars żelazną szarańczą ściął wiekowe żniwa.
Głodny Moloch wnętrzności społeczne rozrywa.
Afrodyte zagasza rodzinne ognisko.
Złoty cielec po rynkach na ołtarzu błyszczy.
Bachanalje globowe! Czartom widowisko!
»Lejcie nam krew i wino! Dajcie róż i zgliszczy!

»Ha! póki nas łudzili ci chytrzy kapłanie,
»Że wszystko gdzieś na słusznéj odmierza się szali,

»Że kto mało tu dostał, tam wiele dostanie,
»Znosiliśmy cierpliwie, z nadzieją czekali.

»Dziś, wszystko się zmieniło! Wy, nasi wodzowie,
»O przepotężnéj pięści, o przemądréj głowie,
»Ogłosiliście światu że to bajka święta,
»Że ten okrąg niebiosów jest głuchy i niemy,
»Że niéma tam nikogo co na łzy pamięta.
»Biada nam! Całe życie mamyż, jak bydlęta
»Pracować, jak pies cierpiéć, a potém zdechniemy?
»I już nam się niczego spodziewać nie trzeba,
»Ni nagrody za krzywdę, ni wiecznych narodzin?
»A więc dajcież nam tutaj odrobinkę nieba,
»Chociażby na lat kilka, choć na kilka godzin!

»Głosiliście, że wszystko jest robotą luźną
»Trafu, który na oślep rozmierza i dzieli,
»A dziś nam wyrzucacie żeśmy poszaleli?
»Wstrzymujecie nam ręce? Hola, już za późno!
»Wszak z tych naszych rozkoszy, i mordów, i szału,
»*Tam* nie zdamy rachunku? Więc i o cóż trwoga?
»Prawo? Napiszmy nowe. Pójdźmy do podziału.
»Zróbmy sąd ostateczny — bez was — i bez Boga.«

Muszę odwrócić oczy.

— Spojrzałam po chwili,
Czyż to ci sami ludzie? Jakże się zmienili!
Sprośny rozkład potwornie ich członki przetwarza.

Mózg i żołądek rosną, wysusza się serce.
Zwolna i mózg zanika.
— Co widzę? Z ołtarza
Spadł i cielec, rozbity w błotnéj poniewierce.

Na co wiedza lub złoto? Narody dziczeją.
Wsie i miasta z popiołem wionęły koleją.
W głuchych puszczach nad kośćmi siedzą ludo-
[żerce.

Kilka wieków, a ludzkość staje się poczwarą,
Bez ciebie Wiaro!

* *
*

Będzie-ż tak, czy nie będzie? Okropne pytanie!
Czyją-że dusza dziejów zdobyczą się stanie,
Tych co wierzą i twierdzą, czy owych co przeczą?
Tych którzy błogosławią, czy tych co złorzeczą?

Ach, są chwile przewagi dla zwątpień i chuci!
Wtedy cień na planetę zachodzi człowieczą,
I zdaje się że słońce już nigdy nie wróci!

Wtedy wierni pół-wierni, wołają do ciebie:
»Wiaro! Czy nas ta burza na proch nie rozmiecie?
»My wiemy żeś ty prawdą, wiemy że na niebie
»Zwyciężysz wiekuiście, — lecz dziś, na tym
[świecie,
»Czyż twoja dotykalna budowa nie runie?

»Patrz, oto bije na nią piorun po piorunie.
»Już cała ziemia staje w potępieńczéj łunie!«

Zamilkli. Chwila ciszy przeszła po planecie.
Błysk. Bałwany ryknęły, i ławicą jedną
Idą. — Miljony zbladły.

Lecz są, co nie bledną.
Próżno się poziom dziejów przepaśćmi obniża,
Próżno się krąg niebiosów gromami druzgoce,
My, ściśnioną gromadą skupieni u krzyża,
Nie drżymy. Jak nam zadrżéć na wiecznéj opoce?

Z nieprzełomnych jéj brzegów, o które bijąca
Fala czasu, bezsilnie szklanną pierś roztrąca,
Patrzę bez przerażenia na walkę prastarą,
Uśmiécham się na próżne złych sił rozhukanie,
Widzę wyżéj niż burze, głębiéj niż otchłanie,
I wiarę ci do śmierci poprzysięgam, Wiaro!

Przyszła ciężka godzina, przyjdą cięższe jeszcze —
Lecz niech ziemia się nurza w nicestwowéj nocy —
Niech wyprorokowani »fałszywi prorocy«,
Rzucają ci bluźnierstwa i wróżby złowieszcze —
Niech tłumy cię odstąpią i szepcą o tobie:
»Już kona..... już umarła..... więc nie była bożą?«
Niech się bramy piekielne pod nami roztworzą,
I rydwan Antychrysta zahuczy na globie —
Nie, — struny mojéj harfy głosić nie przestaną,
Żeś ty jest nieśmiertelną i niepokonaną.

Choćby twoja widoma runęła budowa,
I cóż? Stoi w niéj druga, świątynia duchowa.
Ta, wrogom niewidzialna, w sercach się prze-
[chowa.

Byle jedna cegiełka, przepalona żalem,
W jedném sercu została, to dosyć dla Pana,
By się nowa świątynia, nowa Jeruzalem,
Podniosła, z brylantowych łez odbudowana.

Przemocna! Tobie świadczą nietylko niebianie,
Tobie nietylko wieczność probierczą jest miarą,
Lecz i czas buntowniczy uzna twe władanie,
I na ziemi, ostatnie zwycięstwo zostanie,
Przy tobie Wiaro!

1886.

PRZYPISY.

PRZYPISY
DO TOMU DRUGIEGO.

Noc Świętojańska.

Sr. 13. Słowik. I do mnie anioł przemawiał w grobie,
A jam się na to uśmiéchnął w sobie:
Kto z nas dwóch lepiéj wié gdzie jest niebo?
. . . .
Człowiek zna więcéj niż aniołowie,
Bo zna cierpienie.
. . . .
Gdziekolwiek żyją w zgodności bożéj,
Miłość z poezją, tam są niebiosa.

W utworze dramatycznym, autor nie odpowiada za uczucia ani myśli osób, wyrażających coraz to inne, często wręcz sobie przeciwne zdania. I w tym Djalogu, autorka uchyla się od wszelkiéj odpowiedzialności za wyżéj przytoczone sofizmata Słowika. Stoją tu one tylko jako streszczenie tych wszystkich rozumowań, któremi „w duecie miłości“, głos męzki zwykle przemawia za szczęściem raju ziemskiego, podczas kiedy kobieca dusza — niby róża wysyłająca kadzidło ku niebu — wyżéj zwykle pragnieniami sięga, i za niebiańskiém szczęściem tęskni, a przynajmniéj powinna za takiém tęsknić, jeżeli chce być godną przydomku „płci nabożnéj“, jakim ją Liturgja zaszczyca.

Wprawdzie w powyższéj rozmowie, Róża wysłuchawszy Słowika, zamilka; milczenie to jednak nie dowodzi jeszcze, aby miała zmienić przekonanie; wskazuje tylko, że

do czasu zaparła się woli własnéj, i kto wié, czy tą najwyższą bronią miłości, nie otrzyma w końcu zwycięztwa? Kto wié, czy uduchowniający się zwolna pod jéj wpływem Słowik, nie zatęskni kiedyś razem z nią do nieba?

Objawienie się Muzy.

Str. 34.

Podróżny. *. . . . . Którą-że jesteś z dziewięciu,*
Co wawrzyny u szczytów Helikonu wiją?
Muza. *Ja jedna jestem, zawsze byłam jedna,*
Jam jest — Poezja.

Pierwotnie istniało pojęcie jednéj tylko Muzy, ogólnéj przedstawicielki natchnienia, we wszystkich jego objawach. To téż najstarszy poemat Greków, Iljada, rozpoczyna się od wezwania Muzy w liczbie pojedynczéj. Z czasem, gdy prostota pierwszych pojęć zaczęła podlegać coraz misterniejszemu przystrajaniu, cieniowaniu, a zatém i rozdrabnianiu, istność Muz także rozpadała się na coraz liczniejsze działy i poddziały duchowe.

„Muzy. ... Występują one już u Traków, ludu zamiłowanego w poezyi, który mieszkał pierwiastkowo w Pieryi, około Olimpu... Wszędzie prawie osobne im dawano miana lub przydomki, od miast, rzek i źródeł im poświęcanych... Trzem zrazu składali Oloidowie cześć na Helikonie, mianowicie; Metete (myśli), Mneme (pamięci) i Aoide (śpiewowi). Takąż liczbę czczono ich w Sycyjone, gdzie wszakże jedna z nich nosiła miano Polymateja (wielo-umiejętności), toż w Delfi, gdzie od nazw trzech strun cytry przezwano je Nete, Mese i Hypate. Podobnież wspomina poeta Eumelos o trzech Muzach: Kefisso, Apollonis i Borystenis. Następnie ukazuje się ich cztery, jako cór Zeusa i Plusyi, mianowicie: Telxinoe (ucieszycielka serca), Aoide (śpiewająca), Arche (rozpoczynająca) i Melete (rozmyślająca). Daléj siedm, jako cór Pierosa, przodka Pieridów, to jest Neilo, Tritone, Asopo, Heptapora, Achelois, Tipoplo i Rhodia. Filozof Krates wylicza ich ośm. O dziewięciu wspomina najprzód Hezyod, miejsce bowiem w Homerowéj Odyssei (24, 60), gdzie także o dziewięciu jest mowa, ulega

zarzutowi podrobienia. Są one córami Zeusa i Mnemozyny, i mają nazwy: Klijo (oznajmiająca), Euterpe (ciesząca), Thalija (kwitnąca), Melpomene (śpiewająca), Terpsichore (tańcująca), Erato (pieszczotliwa). Polyhymnia (wygłaszająca czyli pełna hymnów), Urania (niebiańska) i Kalliope (piękno-głośna). **Encyklopedyja powszechna, wyd. Orgelbranda — Tom XIX — Str. 102.**

Str. 35.

Podróżny. *Wśród retorów się z dziwną spotkałem legendą,*
Jakby odwieczny mocarz Tracji tajemniczéj,
Był ci ojcem. . . . .
Inni, od bóstw Olimpu twój ród wywodzili.
Muza. *Dosyć. Uśmiechu tylko godzien, kto mi znaczy*
Kolebkę wśród śmiertelnych. Lecz i ten się myli,
Kto mię z Olimpu wywodzi.
. . . .
Starszych od mego rodu jest bóstw tylko troje:
Noc, Chaos i Przeznaczenie.

Według przytoczonego powyżéj ustępu z Encyklopedji, widzieliśmy, że gdy Muz było cztery albo dziewięć, mianowano je córami Zeusa; gdy ich było siedm, uchodziły za córki Pierosa, jednego z pierwobytnych królów staréj Tracji. I nie dziw, że przy rosnącéj liczbie Muz, kiedy ich nazwy, znamiona i zajęcia ulegały coraz ściślejszemu rozgraniczeniu, chciano téż i ciemny ich rodowód coraz wyraziściéj okréślić.

Ale dla owéj pierwotnéj, bezimiennéj Muzy, właściwszą się wydaje tradycja najdawniejsza, która stawia ją w rzędzie tych bóstw pół-mitycznych a pół-allegorycznych, jakie zapełniają samą głąb' wyobrażeń greckich. Głąb' ta, nieruchoma, kilku ledwie olbrzymiemi postaciami mglisto zarysowana, mogła-by się nazywać przed-historyczną epoką mitologji; po niéj dopiero nastają dynastje przemiennych bożków i bogiń, których szereg wydziera sobie kolejno krótkotrwałe rządy nad światem.

Pojęta według owéj najstarszéj tradycji, Muza nie może rodzić się ani z żadnego śmiertelnika, ani nawet z samego Zeusa. Zeus owszem jest od niéj nierównie now-

szym; i nierównie niższym, jako bóg przechodni, podczas kiedy ona jest wieczną.

Stosunek ten i dziś jeszcze się ujawnia: Jowiszowi nikt już dzisiaj nie składa pokłonów, a Muzy niejeden jeszcze wzywa. I może jéj wzywać bez grzechu ni śmiechu. bo Muza nie jest boginią, tylko „boską“.

Str. 48.

Głos powszechny do A. E. Odyńca.

Gdy w końcu roku 1867-go Kronika Rodzinna zaczęła ogłaszać *Listy z podróży* Odyńca, wnet pomiędzy zachwyconemi czytelnikami, odezwały się głosy twierdzące, że człowiek co żył w tak wyjątkowém zbliżeniu z Mickiewiczem, powinien koniecznie napisać całkowity jego życiorys, i wyczerpującą ocenę jego twórczości, jak to np. Małecki uczynił dla Słowackiego. W roku 1870-m zażądano od autorki, ażeby stała się tłumaczem ogólnego życzenia. Miłe i zaszczytne poselstwo, które w powyższym wierszu znalazło swój wyraz. Wprawdzie prośba tam zawarta, nie została dosłownie spełnioną, pośrednio jednak wydała piękny owoc.

Autor Felicyty, wysłuchawszy *Głosu powszechnego*, odpowiedział ze wzruszeniem, że w jego wieku trudno się już podejmować tak ogromnéj pracy, témbardziéj, że podobne przedsięwzięcie wymaga niesłychanego nagromadzenia materjałów, któreby trzeba ściągać nietylko z różnych stron kraju, ale i z zagranicy.

„Na to wszystko“, mówił, „nie stanie mi już pewnie ani sił ani czasu, ale co mogę wam obiecać, to że będę się starał uzupełnić obraz epoki, w któréj widywałem Adama, a mianowicie tych jéj lat pierwszych, co poprzedziły naszą podróż“.

I dotrzymując obietnicy, natychmiast po zupełném wykończeniu *Listów*, zabrał się do téj nowéj roboty, z któréj powoli wykwitły prześliczne *Wspomnienia z przeszłości*, ostatnie dzieło jego życia. Choć wydane po *Listach z podróży*, *Wspomnienia* są właściwie jakby przedmową tamtych, i razem z niemi tworzą tę uroczą całość

do której zdrowe dusze będą zawsze z rozkoszą i pożytkiem wracały.

Słoneczna Kantata.

Str. 151. *Matko! Ty gwiazdo, co sierocie znika,*
Czemuż nie dano Ci dożyć téj chwili?
Ilu czcicieli dziś jest Kopernika,
Wszyscyby Ciebie uczcili.
Na dziele jego Twe imię zostało.

Wiersze te, może nie dla wszystkich równo zrozumiałe, wymagają kilku słów objaśnienia, a dobra téż to i sposobność do sprostowania błędnych lub niedosyć ścisłych wiadomości o tym przedmiocie, który nigdzie jeszcze nie został opowiedziany z należytą wiernością.

W ciągu zimy z roku 1847-go na 1848-my, pomiędzy miłośnikami sztuk i nauk w Warszawie, powstała myśl uczczenia Magdaleny czyli Niny*) z Żółtowskich Łuszczewskiéj, przez wyprawienie na Jéj cześć wielkiéj składkowéj Uczty, jednego z owych „Bankietów“, jakiemi ówczesna Europa lubiła objawiać swoje dążności lub sympatje. U nas, miała to być pierwsza uroczystość tego rodzaju, a byłaby — o ile mi wiadomo — i dla innych krajów pozostała pierwszym przykładem podobnego uczczenia zasługi w kobiecie.

Myśl ta znalazła skwapliwe przyjęcie. Na listach składkowych, krążących po wszystkich warstwach społeczeństwa, zapisywali się nietylko uczeni i literaci, artyści i obywatele, ale i wszelcy inni członkowie ogółu, nie wyłączając nawet klassy rzemieślniczéj, tak, że w przeciągu kilku miesięcy. zebrano fundusz — jak na owe czasy — bardzo znaczny.

Gdy wszystko już zostało umówione i przygotowane, w dniu 17-go Lutego 1848-go roku, w południe, deputacja

*) »Nina« jest skróceniem imienia »Maddalenina«, używaném we Włoszech, a ponieważ moja Matka rodziła się w Medjolanie, gdzie Jéj ojciec, należący do armji Napoleońskiéj, przebywał wówczas razem z żoną, tam więc zaczęto córce nadawać tę nazwę, którą i nadal, jako mile brzmiącą, zachowała.

złożona z professorów, artystów, literatów i innych wybitnych osobistości, przybyła do moich Rodziców, dla zaproszenia Ich na ucztę. Mówcy wybrani z pośród grona, wygłaszali po kolei przyczyny i cel swego przybycia.

Ale jakież było zdziwienie obecnych, kiedy Jubilatka odpowiedziała, że chociaż ten dowód życzliwości jest dla Niéj nad wyraz chlubnym i rozrzewniającym, jednakże byłby jeszcze milszym Jéj sercu, gdyby fundusz przeznaczony obecnie na chwilową uciechę, został użyty na spełnienie jakiegoś dzieła trwalszego, „na wyprawienie jakiéjś uczty duchowéj, do któréj mogłyby zasiadać całe pokolenia".

Wprawdzie, gdy Ją zapytano: „Jakie ma być to dzieło?" Zamilkła przez chwilę, bo niespodziane zaprosiny zaszły Ją nieprzygotowaną, ale w téjże chwili (jak nam to nieraz późniéj opowiadała), wzrok Jéj spotkał się z promieniem słońca, które zaglądało przez okno i widok nieba sprowadził Jéj prawdziwie niebieskie natchnienie.

Dzięki błyskawicznemu spokrewnieniu pojęć, razem ze słońcem stanął Jèj na myśli Kopernik, i w duszy Jéj przesunął się szereg zapytań:

„Czyż to być może, aby człowiek, co pierwszy odkrył prawa rządzące tém niebem, co pierwszy naznaczył właściwe miejsce temu słońcu, nie był jeszcze dostatecznie uczczonym na ziemi, i to na swojéj własnéj ziemi? Jakto? Gniewamy się, że obce narody śmieją nam go wydzierać, a sami nieumieliśmy jeszcze nawet powtórzyć w ojczystéj mowie słów, jakie zostawił? Piśmiennictwo nasze nie posiada aż do téj chwili ani jednego przekładu xiąg Kopernikowych! Polacy, nie możemy czytać go po polsku! Czyż się to godzi? Czyż samo niebo nie wskazuje wyraźnie, jakie tu dzieło mamy do spełnienia?"

Chwila namysłu była tak przelotną, że słuchacze jeszcze się nie spostrzegli, a już mówiąca zaczęła wszystkie owe myśli wypowiadać głośno; płynęły one z tym wdziękiem krasomówczym, jaki zazwyczaj towarzyszył Jéj gorącéj wymowie. W końcu wyraziła życzenie, ażeby fundusz składkowy został użytym nie na ucztę, ale na wykonanie i wydanie pierwszego polskiego przekładu dzieł Mikołaja Kopernika, „téj" mówiła „świętéj niejako dla narodu

xięgi, któraby dźwiękiem rodzinnéj mowy, przystępniejszą stać się mogła dla czytającéj powszechności".

Słowa Jéj zostały przyjęte jednym głosem uznania, a choć może znaleźli się i tacy, ktorym było żal owéj uroczystości, zwłaszcza owych świetnych mów i toastów, jakie już sobie naprzód układano, jednakże wszyscy z głębi serca przyklasnęli szlachetnéj myśli, dla któréj ziszczenia, sama Inicjatorka pozbawiała się dobrowolnie wszelkich rozkoszy owacyjnéj Uczty.

Członkowie Deputacji, naradziwszy się pomiędzy sobą, oświadczyli, że na czele zamierzonego przekładu dzieł Kopernika, zostanie zamieszczoną Dedykacja dla Twórczyni pomysłu, i prosili Ją, ażeby objęła najwyższe kierownictwo nad całém tém przedsięwzięciem.

Niektórzy téż z obecnych, przewidując wysokość kosztów, jakich nakład będzie wymagał, przyrzekli, że pomnożą swoje ofiary, jeżeli dotychczasowa składka okaże się niedostateczną, czego i dopełnili w przyszłości.

Nakoniec, przewodniczący Deputacji Józef Djonizy Minasowicz, zamknął posiedzenie ostatnią przemową, w któréj streścił początek sprawy, jéj nowy zwrot i uczucia zebranych. Wszystkie poprzednie odezwy, równie jak i odpowiedź mojej Matki, nie zostały niestety spisane i bezpowrotnie zaginęły. To jedno tylko przemówienie ocalało; mówca bowiem powróciwszy do siebie, tegoż dnia jeszcze z pamięci je spisał i nazajutrz Matce mojéj przysłał. Będąc dotąd w posiadaniu tego rękopismu, przytaczam tu główniejsze zeń ustępy, jako najlepszy „dokument" owéj chwili:

„Nie wypowiem snadno, jak miłego dla mnie dopełniam dziś obowiązku, jak dumny jestem, i tą ufnością która mi tu — spólnie z tymi panami — przemówić dozwoliła, i samém zleceniem, które odebraliśmy w imieniu licznych przyjaciół domu Państwa Wacławowstwa Łuszczewskich, a razem przyjaciół intelligencji polskiéj.

. . . .

„Od lat wielu dłoń Ich gościnna, dom ten dla przyjaciół otworzyła, nie w celu rozrywki kilko-chwilowéj, i dla tego, ulotnéj jak chwila; tu myśl, co nie samym

chlebem powszednim się karmi, pojęła wyższe cele życia, bo potrzeby ducha; i zeszli się pobratymcy w téj dziedzinie, i — jak wprzód czuli przyjaźń, tak tu ją zrozumieli. Ktokolwiek wtórzył myśli żyjącéj w tym domu, ktokolwiek tylko do niéj zatęsknił, przyjmowany był z otwartemi rękoma. Znajomi spieszyli jak do swoich; obcych wyszukiwano po zaciszach; z pod płomyka lampki studyjnéj wyprowadzano pod pełny blask towarzyskiego świecznika; nieśmiałemu dodawano odwagi; bywało, że zbliżając niektórych do siebie, dołożono warstwy nizinie; bo tu wszyscy zszedłszy się, tworzyli jedną całość, jednym ożywioną duchem, przedstawiającą myśl jedną.

. . . .

„Któż nie przyznał od dawna, że salon Pani Łuszczewskiéj był i jest ogniskiem, w którém się zjednoczyły wszystkie barwy pryzmatu wiedzy krajowéj — w którym niejeden pomysł stał się czynem — czasem jeden wieczór, pierwszym krokiem postępu — jedno słowo przychylne, zachętą lub listkiem wieńcowéj nagrody?

„Żeby to sprawić, potrzeba przewagi umysłu, potrzeba siły woli, wytrwałości w czynie; — ale to wszystko jeszcze nie byłoby dość: potrzeba magnetyzmu uczucia. — Będzie bez niego katedra, będzie towarzystwo uczonych — społeczności nie będzie. — I dla tego, cześć kobietom, które, jak Ty Pani, rozumieją, czują i działają!

. . . .

„Działanie kobiety jest ciche, a jest wielkie jak działanie przyrody, ożywcze jak kąpiel rosy dla kwiatu omdlałego od skwaru; cudowne jak wnikanie woni i barwy w jego kielich; i dla tego téż cuda zawsze tworzyło. — Zbłąkanego, po kłębku wywodziło z labiryntów. Na rozdrożu, prawy gościniec drobnym paluszkiem wskazywało. — Gdyby go nie była natchnęła kobieta, truwer nie byłby zdołał cichą romancą przytłumić dzikich wrzasków biesiad, ni brzęku przepełnionych puharów. — Póty, dufny w żelazną dłoń zamkowiec, spadał jak sęp, z obronnéj swéj skały na braterskie siedziby, a spadał z mordem i pożogą, i rw

najświętsze węzły społeczne, póki go nie zaklęto dwoma słowy, a te słowa były: Cześć kobiecie! — Skoro dama serca przepasała go kolorami swojemi, wierzył, iż go pocisk nie trąci; wątła tkanka była dla niego paiżą; gdyby nie szkaplerz, byłaby talizmanem. — Dziwy téż o nim świat rozpowiadał; a jak nie miał czynić tych dziwów, kiedy wśród waru bitwy, Krzyżowiec spotykał u boku Kloryndę, kiedy ranę wiązała mu w Ptolemaidzie, kobieta?

„Gdyby nie ona, nie miałaby Grecja wieku, który dziś jeszcze świeci w dziejach ludzkości; — bez niéj, nie byłoby może malarstwa ni rzeźby, i jeżeli kunszta — te najprawsze płody pomysłu ludzkiego — śmiały wstąpić w przybytki święte, i jeżeli tam, w obec cudowności bóstwa, nie przestały być cudem człowieka, to dla tego, iż wprzód kobieta-Gracja spojrzała na nie, i powiedziała że *piękne*. — Nie ma artyzmu na Wschodzie, bo nie ma społeczeństwa; nie wolno tam działać kobiecie, ona — w haremie, jéj lice — pod fałdami muślinu.

. . . .

„Jeżelim dotknął niektórych momentów, które wybitniéj przyświecają myśli mojéj w dziejach kultury ludzkości, to dla tego tylko, że Pani sama, nieprzyznałabyś może w całéj pełni téj władzy, jaką zawsze płeć jéj wywierała, a tém mniéj przyznałabyś ją sobie; bo nie z Twego stanowiska oceniać wrażenie odebrane od Ciebie.

„Wrażenie to przecież jest silne w tych, którym pozwalasz gościć w Twym domu; a jest i trwałe, bo nie chwila, ale chwil wiele je wyrobiło, a czas jest probierzem prawdy. Szło tylko o to, jakimby sposobem Ci to powiedzieć?

„Pragnęliśmy prosić Cię, wraz z Małżonkiem Twoim, abyś raczyła siąść z nami u stołu uczty, przy którym grono czcicieli Twoich, chciało Ci wynurzyć słowo podzięki i uwielbienia dla Ciebie, by tém słowem, uprzejmości domu Waszego z polską serdecznością odpowiedzieć.

„Ale słowo byłoby prędko przebrzmiało; obrzęd,

to godzina — echo toastu, chwila. — Czas, większe nad to rzeczy zawiewa, tak jak wicher zawiewa stepy piaskami.

„Jednakże z pod piasków wyjrzy z czasem granit, co go przed lat tysiącami, przekuło w boga plemion minionych, dłuto nieodgadnionego nigdy snycerza. A więc huragan nie zasypał *myśli*, co kiedyś tam miała krew i ciało.

„*Myśl* wielkiego ziomka naszego, którego nam zazdroszczą ci, co nam wszystkiego pozazdrościli, wyczytała w przestrzeniach te prawa, jakie gwiazdom nadał Stworzyciel; naszła na drogi, któremi światy żeglują po bezślednim niebios oceanie. I każdy z nas wié o tém, i cieszy się, i chlubi, i broni zaszczytnéj spuścizny od przywłaszczycieli; ale z tysiąca, jeden ledwie może posłuchać zamarłéj mowy, w któréj te cuda sam mistrz opowiada. Wiemy, *co* myśl natchniona Kopernika odgadła, ale iluż jest takich, którzy wiedzą, *jak* u niego myśl snuła się z myśli, póki myśl nie stała się — prawdą?

„Kopernik pisał tylko dla uczonych świata, i nie zawinił w tém, bo i *ci* go zrozumiéć długo nie mogli; pisał więc narzeczem, jakie wówczas umówili między sobą uczeni, po łacinie. I oto, według Twego własnego wyrażenia: Polak nie przeczyta słów, pisanych przez nieśmiertelnego Polaka!

„Pozwolisz Pani, że na dowód szacunku jaki w nas wzbudziłaś, pod wezwaniem Twego Imienia, i za Twoją wskazówką, oddamy cześć téj myśli, która tyle ma u Ciebie znaczenia, i połączonemi siłami wszystkich których mamy zaszczyt przedstawiać — zajmiemy się, aby przekład polski pism Mikołaja Kopernika, uczynił je przystępnemi każdemu jego ziomkowi, i aby rzeczono w czasie:

„I to także winniśmy kobiecie; była nią · Nina Łuszczewska“.

Na przesłanie tego pamiątkowego rękopisu, Matka moja odpowiedziała listem, w którym także starała się „powtórzyć to, co mimowolne wczorajsze wzruszenie, zbyt słabo oddać jéj dozwoliło“. — Tak, dzięki owemu listowi

przechowały się niektóre Jéj wyrażenia zapamiętane ze dnia poprzedniego; wyrażeń tych jednak jest zaledwie kilka, i niemogło ich tam być więcéj, gdy treść listu wymagała odmiennego zwrotu; głównym jego celem było uroczyste podziękowanie wszystkim przedstawicielom społeczeństwa, w których imieniu Deputacja wczoraj przemawiała, i którym dziś miała nawzajem odnieść dziękczynne słowa Jubilatki.

Poczém zaraz, wywiązując się z włożonych na siebie obowiązków, Inicjatorka zajęła się gorliwie pokierowaniem przedsięwzięcia. Przełożenie dzieł Kopernika na język polski, powierzyła Dyrektorowi Obserwatorjum Warszawskiego, Janowi Baranowskiemu; napisanie Żywotu, Professorowi Dominikowi Szulcowi. Zwróciła się téż do archeologów i artystów, których pomoc była potrzebną. a nakoniec, z pomiędzy drukarni, wybrała najlepszą w owe czasy, Stanisława Strąbskiego.

W tym pierwotnym programie, jedna tylko z czasem zaszła zmiana: Professor Szulc zapuścił się w tak mozolne badania historyczne, że nie wydążył z napisaniem Życiorysu Kopernika. W ostatniéj chwili, musiano poruczyć tę robotę Juljanowi Bartoszewiczowi, który mimo krótkości czasu, wykonał ją porządnie. Cenna praca Dominika Szulca wyszła późniéj, w oddzielnéj xiążce.

Ale to wszystko nie tak zaraz jeszcze nastąpiło. Tłumaczenie xięgi O obrotach ciał niebieskich, zbieranie materjałów przedwstępnych, wykonywanie rysunków, oraz tysiąc innych wydawniczych zabiegów, potrwało aż do roku 1854-go. A tymczasem, zwykłym biegiem rzeczy ludzkich, lata przynosiły wiele odmian, tak w składzie osób działających, jak i w kierunku ich myśli. Nie wszystkie te odmiany wypadły szczęśliwie... Tutaj téż przychodzi mi dotknąć jedynego rozdźwięku, jaki się objawił w tém dziele, dotąd tak harmonijném.

Z pomiędzy członków dawnéj Deputacji, którzy pod przewodnictwem Jubilatki tworzyli Komitet Wydawniczy, wielu — i to niestety najżyczliwszych — ubyło w ciągu tych lat kilku. Jednych burze rozniosły po dalekim świecie, innych śmierć zabrała. Ci zaś którzy pozostali, zapominając zwolna o pierwotnych zobowiązaniach, coraz to

zazdrośniéj zaczęli usuwać moją Matkę od steru wydawniczego, coraz to samowolniéj wszystkiém rozporządzali. Widocznie, korciło ich pozostawanie pod przywództwem kobiety, korciło ich zwłaszcza postawienie Jéj imienia na czele pomnikowéj xięgi. Zdawało sie im, że byle tylko to imię usunęli, a cała chluba dokonanego przedsięwzięcia spadnie wyłącznie na ich głowy, przynajmniéj w oczach cudzoziemców, nieznających przebiegu sprawy.

Ażeby dopiąć swego celu, cóż poważyli się uczynić? Oto, Dedykację dla Twórczyni pomysłu wyrzucili z całego wydania, i tylko dla niepoznaki zostawili ją w tych kilkunastu exemplarzach, które miały być do Jéj rąk złożone.

Taka zamiana hołdu publicznego na grzeczność prywatną, była potrójném wykroczeniem: raz przeciw prostéj słuszności, drugi raz przeciw solennéj obietnicy, a nakoniec i przeciw długoletniéj przyjaźni, jakiéj doznawali w domu moich Rodziców.

Może sądzili, że tajemny ich spisek, dzięki owym kilkunastu niepokaleczonym exemplarzom, przejdzie niepostrzeżenie? Ale rachuby omyliły, — w ostatniéj chwili zdrada się wykryła, — i ów dzień uroczysty, w którym doręczyli mojéj Matce pierwszy exemplarz Warszawskiego wydania, zamiast przynieść spodziewaną radość, zapisał się owszem przykrą datą w rocznikach naszéj pamięci.

Wprawdzie Matka moja, wyższa nad osobiste względy, pozostała i nadal w uprzejmych stosunkach z temi którzy Ją pokrzywdzili, ale serca Jéj bliskich, tem silniéj krzywdę tę odczuły.

I tak, rozeszło się po świecie wydanie, odarte ze swojéj pierwszéj, pamiątkowéj karty, pozbawione imienia. które je natchnęło, — tryumf zawiści wydał się stanowczym, — i zwolna wszystko zostało przysypane latami głuchego zapomnienia.

Czas jednakże pokazał, że zapomnienie to nie było zupełném, i że — jak powiedział wyżéj przytoczony mówca — „granit Myśli, prędzéj czy późniéj, zawsze wyjrzy z pod zawiewających go piasków“.

Blisko we dwadzieścia lat późniéj, gdy kraj nasz cały, i cała Europa, przygotowywały się do czterechsetnéj rocznicy urodzin Kopernika, widok tych przygotowań roz-

budził we mnie wiele bolących wspomnień, i odnowił uczucie żalu. Tymczasem, właśnie ów rok 1873-ci, miał przynieść mi ukojenie, i choć w części zadośćuczynił temu, czego nie dotrzymała przeszłość.

Główny kierownik ówczesnych uroczystości, zacny Xiądz Ignacy Polkowski, wezwał mnie listownie do wzięcia udziału w Albumie Jubileuszowém. List jego był mi nadzwyczaj miłym, a co mię w nim ucieszyło, to nie zaprosiny do współpracownictwa (zastraszające owszem trudnością zadania), ale powód owych zaprosin, wyłuszczony w następnych wyrazach:

„Dostojna ś. p. Rodzicielka Pani, czynem i sło-„wami zachęcając do tłumaczenia dzieł Kopernika, „*śniętemi niejako dla narodu* nazwała jego xięgi, *któreby „dźwiękiém rodzinnéj mowy przystępniejsze się stać mogły „dla czytającéj powszechności*. I temi słowami, i czynami „podjętemi w sprawie Kopernika, imię swe na zawsze „zapisała w pamięci naszéj. To więc wspomnienie o-„śmiela mnie do proszenia, w imieniu nas wszyst-„kich.... ażeby Pani zechciała.... itd. itd.“

Na takie zaklęcie, dowodzące, że dawne działanie mojéj Matki nie zostało zapomniane między czcicielami Kopernika, i że Jéj to właśnie zasługom zawdzięczam zaszczyt obecnego wezwania, z prawdziwą radością zabrałam się do pracy nad *Słoneczną Kantatą*. A gdy jeszcze znakomity nasz mistrz pędzla, Wojciech Gerson, zamieścił Jéj wizerunek w Jubileuszowém Albumie, — gdy Komitet Wielkopolski zażądał, ażebym ua dzień Obchodu, przysłała do Torunia ów pierwszy exemplarz Jéj ofiarowany, i zwrócił mi go z podpisami Delegatów, stwierdzającemi na nowo Dedykacyjną kartę, — gdy w wielu ówczesnych przemówieniach i xiążkach, odnalazły się dla Niéj słowa sprawiedliwości, — wtedy serce moje swobodniéj odetchnęło, bo chociaż te kwiaty uznania wyrastały późno, chociaż Ta dla któréj miały kwitnąć, niemogła już ich widziéć ziemskiemi oczami, jednak i to jest pociechą, kiedy na drogim grobie, znajdziemy wieniec położony przez życzliwą rękę.

Str. 153. ... *Wśród pokus, szedł tak nieskażenie,*
Że gdzie stopę zatrzymał, rosła lilja biała.
Str. 155. *Przywdział szaty duchowne. I nietylko szaty:*
Żył jak duch.

Na wysokie cnoty Kopernika, żaden z jego biografów nie zwrócił tyle uwagi, co Jan Czyński (Kopernik et ses travaux — Paris — chez Renouard — 1847) i ta etyczna cecha nadaje rzadką podniosłość jego xiążce. Autor chciałby nawet widzieć naszego niebosnawcę zaliczonym w poczet Świętych Pańskich. Nie przesądzając słuszności podobnego życzenia, musimy wszakże przyznać, że był to człowiek nietylko zjawiskowo wielki, ale i zjawiskowo czysty; w całém jego życiu niemożna znaleźć *ani jednego cienia;* a ileż tam świateł! I jakich!

„Kopernik a été le premier des hommes auquel le Créateur révéla ses secrets, le plan de la création, la pensée qui préside au mécanisme de l'univers. Il m'est impossible de donner une idée exacte de mon bonheur après avoir approfondi la vie et les travaux de cet homme incomparable, aussi hardi penseur que catolique pieux. Quand tout le monde s'incline devant le génie de Kopernik, quand chacun rend hommage à la justesse de son système, à la précision de ses calculs, quand les poètes divinisent sa raison, moi je me prosterne devant sa piété. Non, non, ce ne fut pas un hasard, un coup de fortune, un heureux élan d'esprit qui conduisit Kopernik à la découverte la plus précieuse. Il faut l'attribuer à sa confiance dans la sagesse de Dieu. Kopernik ne s'arrogeait pas la puissance législative, il n'a pas créé un système, il observait, il cherchait une combinaison digne de la prévoyance divine, et après trente ans de recherches laborieuses, il trouva le système du Créateur". Kopernik et ses travaux par Jean Czyński — Paris — 1847 — pag. 5. — „Le sentiment religieux qui présidait à ses recherches et à ses actions, n'a pas attiré l'attention de ses historiens. Pas un n'a cherché sous ce rapport l'influence qu'il a produit sur les grands hommes qui l'ont suivi". Tamże — p. 13. — „Je rends grâce à Dieu qu'il m'ait permis de consacrer mes veilles à l'étude sur Kopernik. Aucune vie ne résume mieux l'alliance

de la ***religion*** et de la ***science***. **C'est dans cette union que résident l'*unité* et le noeud gordien de l'avenir". Tamże — p. 19.**

Str. 155. Tknięty ogromem cierpień co ludzkość druzgoce,
Zaczął szukać w przyrodzie zdrowiodawczych cudów;
Ze xiąg Hipokratycznych zbadywał jéj moce;
Wędrowiec, pośród obcych wyśledzał je ludów.

„Pod jesień 1501 r. powitawszy ulubioną ziemię Włoską, powitał powtórnie uczoną Akademję Padewską, najsłynniejszą medycznym wydziałem. Tu... uczęszczał najprzód na wszystkie wykłady medycyny, czytał wiele... studjował ogólniki Hipokratesa, utwierdzał je w pamięci swéj, do anatomji największą przywiązując wagę, z któréj... popisywał się w Padwie wracając z Włoch do Polski, za co i stopień doktora medycyny otrzymał". Żywot Mikołaja Kopernika przez Xiędza Ignacego Polkowskiego — Gniezno — 1873 — Drugie wydanie — Str. 151.

Str. 155. Kolejno wypytawszy narody i wieki,
Wrócił nad Wisłę, osiadł w miasteczku ubogiém;
Tam własnemi rękoma przyprawiając leki,
Rozmawiał z prostaczkami, albo milczał z Bogiem.
Cisnęły mu się rzesze u okien i bramy.

„Cependant la modeste retraite de Kopernik se remplissait chaque jour de malades pauvres. Non seulement il leur donnait des conseils, mais, habile dans l'art de préparer les remèdes, il leur offrait des médicaments. Ses cures prosque miraculeuses lui firent une si grande renommée, que les malades des contrées éloignées, delaissés par d'autres médecins, arrivaient auprès de lui. Les docteurs les plus distingués, dans les cas difficiles, écrivaient à Kopernik en faisant appel à son savoir et à son expérience". **Kopernik et ses travaux** p. J. Czyński — Paris — 1847 — p. 69. — „L'évêque Gisius assure... que dans l'art de guérir il était si heureux et si habile, qu'on le prenait pour un nouvel Esculape. Il préparait certains médicaments avec tant de soin et de bonheur, il les appli-

quait si heureusement, que les pauvres, soulagés par ses soins, le vénéraient comme une divine providence. „Addi- „dit vero *Gisius* cum fuisse quasi alterum Aesculapum in „medicina habitum: id inter pretari sic decet quod singu- „laria quaedam remedia et probe calevet, et ipse paravet „et feliciter adhibevet, ea ereganda in pauperes qui ipsum „id circo ut numen quoddam venerarentur". **Tamże** — p. 96.

„Zadziwiające jego wiadomości w téj gałęzi nauk rozeszły się wkrótce po całym kraju, i nadały mu imię Eskulapjusza. Sam nawet dawny nieprzyjaciel książe pruski Albert w r. 1541 wezwał jego pomocy do jednego z doradców swoich (Jerzego Kurheima), dotkniętego ciężką słabością. Kopernik jednak nie czyniąc z medycyny powołania życia na większy rozmiar, w odosobnieniu swojém najżywszą znajdował przyjemność w niesieniu ulgi cierpieniom niedostatniéj ludzkości". **Życie Mikołaja Kopernika** przez Dominika Szulca — Warszawa — 1855 — Str. 48.

Str 156. *Ilekroć głos narodu zawołał nań: „Synu!"*
Gwiazdą obywatelską przyświecał do zgody.
Obecny, gdy żądano rady albo czynu,
Znikał, gdy rozdawano dostojne nagrody.

„Zasłużył się Kapitule, Biskupom i królom, zasłużył się nauce... ale w ogóle życie prowadził więcéj samotne, kontemplacyjne, dalekie od blasków światowych". **Życie M. Kopernika** przez Juljana Bartoszewicza w Warszawskiém wydaniu dzieła: *O obrotach ciał niebieskich* — 1854 — Pag. LXVIII.

Jak *obywatelska* działalność Kopernika była szeroką i niezmordowaną, łatwo się przekonać ze wszystkich jego życiorysów, a zwłaszcza z przewybornéj pracy Xiędza Ignacego Polkowskiego: *Żywot Mikołaja Kopernika*, wydany w Gnieźnie w 1873-m *). Ale téż czytelnik przekonywa się tam zarazem, jak ów mędrzec z gołębią duszą, nieumiał dla samego siebie o nic się upomniéć, jak — mówiąc po-

*) Xiążka ta, oprócz wielu rzeczy cennych, zawiera tak wyczerpujące i zwycięzkie udowodnienie narodowości polskiéj Kopernika, że od czasu jéj wyjścia, wszelkie pretensje Niemców stały się już po prostu — niemożebne.

spolitém wyrażeniem — nieumiał się między ludźmi „sprzedać". To téż omijały go najzasłużeńsze zaszczyty i godności, naprzykład Biskupstwo Warmińskie, na które Zygmunt I-szy czynnie go popierał w 1537-m roku. Pomimo królewskiego zalecenia, Kapituła wolała uczynić inny wybór, przez co pokrzywdziła naprawdę nietyle Kopernika, ile samą siebie. Nie przeczuła, jak wielkiéj chluby w dziejach się pozbawia.

Str. 157. . . . . . Co wieczór, nad szumną otchłanią,
Otwierał wszystkie ganki schludnéj swéj komnaty,
Z trzech stron oblanéj morzem.

W Pismach Jana Śniadeckiego (wydanie M. Balińskiego — Warszawa — 1837) w Tomie Drugim, w *Rozprawie o Koperniku*, czytamy na Stronnicach 202-éj i 205-éj:

„Tadeusz Czacki... i Marcin Molski... objeżdżając Prusy dawne Polskie i Warmją, o Koperniku to mi donieśli w liście swoim, 12-go Sierpnia 1802 z Królewca pisanym:

„Byliśmy w jego domu: nie wielką na wyższém „piętrze zawiera izbę, z któréj jest galerya do dawnéj „jego *Gwiazdowważni*. i schody jeszcze z dołu można „w ułomku widzićć Na trzy strony miał przesmyk mor„ski w widoku, a na czwartéj równinę, którą, postawiona „późniéj wieża zasłoniła, itd."

Str. 157. . . . . Wpatrywał się w światy,
Pytał o nie Chaldeów i Ptolomeuszów.
Ich odpowiedź, zwikłana była i nieśmiała.
I dziwił się, że praca największych genjuszów,
Tak nieudolne dzieło Bogu przyznawała?

„Pendant quatorze siècles l'école de Ptolomée, s'appuyant sur des suppositions erronées, égarait les recherches des mathématiciens et des philosophes Dans le mécanisme du monde sidéral, on remarquait une anarchie, un désordre, un manque de plan et d'ensemble C'était une cohue bohue qui faisait pitié. C'est ce qui fit dire à Alphonse, roi de Castille: „Si Dieu m'avait demandé conseil sur l'oeuvre de la création, j'aurais préparé un plan plus simple et plus raisonnable". Kopernik prit ces paro-

les pour un blasphême. Au lieu d'accuser le Créateur d'ineptie, il préféra condamner les recherches humaines. Il était convaincu que Dieu ne pouvait pas produire une oeuvre discordante et monstrueuse. Cette conviction pieuse anima son courage, présida à ses recherches, et après de pénibles efforts lui permit de découvrir la plus perfaite harmonie dans le plan du grand architecte de l'univers. Découverte précieuse, parce qu'elle nous dévoile la pensée divine. En examinant l'ancien système, Kopernik s'étonne que les mathématiciens et les philosophes n'aient pu donner aucune forme harmonieuse au mécanisme de l'univers, et que toutes ses parties manquent d'ensemble et de symétrie. „On peut, dit-il, comparer leur ouvrage à celui qui „aurait ramassé, de différents endroits, les mains, les pieds, „la tête et d'autres parties du corps, qui n'ont aucun rap„port les uns avec les autres, de sorte qu'il en composerait „plutôt un monstre hideux qu'une créature humaine... En „examinant cette monstruosité dans le mécanisme sidéral, „et ce manque de précision dans les recherches des ma„thématiciens, *mon âme en souffrait* de ce qu'on n'avait pas „trouvé la raison certaine du mouvement sidéral, qui, „d'après notre avis, a été créé par le plus sage et le plus „parfait des ouvriers" *). Voilà le vrai motif de toutes les recherches de Kopernik, de son courage et de sa persévérence". **Kopernik et ses trav. p.** J. Czyński—p. 5. et suiv.

Str. 158. . . . . W xięgę zaklął te odkrycia,
Lecz xięgę ukrył. Chwały lękał się jak zbrodni.

„Lat trzydzieści sześć chował je w ukryciu przed światem". **Życie M. Kopernika** przez J. Bartoszewicza w Warszawskiém wyd. z 1854 — Pag. LXXIII.

„Wielki ten człowiek... ani praw własności, które ma do swych wynalazków, żadném przywłaszczeniem, ani swéj chwały żadną nie skaził próżnością. Wylany na dobro prawdy i nauki, stał się tym wszystkim drobnym poruszeniom niedostępny, i dla tego, żeby z nauką tak śmiałą oswoić uprzedzone umysły, stara się prawie odjąć jéj postać nowości... Kiedy przyszło tak wielkie odkrycie światu

*) W liście Kopernika do Papieża Pawła III.

ogłaszać, nie chciał tego ludziom dać uczuć, że oni się mylili i błądzili przez tyle wieków; a tak kojąc urazę przesądu i miłości własnéj we współczesnych, pozbierał i poprzytaczał z pisarzów dawnych, co tylko do jego wynalazku było stosowne, i co mogło zasłonić nowość pozorem dawnéj nauki.“ **Dzieła Jana Śniadeckiego** — wyd. Balińskiego — Warszawa — 1837 — Tom Drugi — *Rozprawa o Koperniku* — Stron. 113 i 143.

„To był grzech jego skromności, iż z prac jego, czego wprzód sława po Europie nie rozniosła, czego Retyk jego uczeń nie wyprosił, czego przyjaciele i znakomici powagą ludzie prośbami i naleganiem nie wymogli, tego on światu nie wydał i nie pokazał.“ **Tamże** — Str. 124.

„Muler (wydawca trzeciéj edycji dzieł Kopernika, w Amsterdamie 1617 r.) ajoute qu'il ne voulait briller en aucune manière, et qu'il ne tenait pas même à ce que son ouvrage fut publié. Étranger à la vanité, dit-il, il consacrait tout son temps à la recherche de la vérité, c'est pourquoi aprés sa mort sa gloire brille d'un éclat plus vif. „Sed a gloriolae aucupio plane aljenus, soljusque veritates indagandae studio flagrans, dum vixit, latuit, quo tanto vegetior ejus post cineres splenderet ac pervennaret gloria.“ **Kopernik et ses trav.** p. J. Czyński — p. 170.

„Enfin Kopernik après avoir verifié par le calcul et l'observation la justesse de cette hypothèse, ne dit pas: „Tel est *mon* système“, — il s'écrie: „Voilà l'oeuvre divine du plus grand et du plus parfait artisan. Tanta nimirum est divina hoec optimi, maximi, fabrica.“ **Tamże** — p. 10.

Do jakiego stopnia ten wielki mąż posuwał już nietylko skromność, ale i najgłębszą (istotnie godną świętych) pokorę, jak mało ważył zasługi swego genjuszu, a tylko w sumieniu szukał probierza prawdziwéj wartości, na to najlepszym dowodem jest jego słynny czterowiersz, który zawsze miał przed oczyma, i kazał na grobie swoim wyryć.

„W Olsztynku... równie jak w Frauenburgu urządził sobie dom mieszkalny, a komnaty swoje po uczonemu tu przystroił. Nad kominem były przylepione, na pargaminie pisane wiersze nabożne, które własną ręką pisał i ułożył:

Non parem Paulo gratiam requiro,
Veniam Petri neque posco, sed quam
In crucis ligno dederas latroni,
Sedulus oro.

Żywot Mik. Kopernika przez X. Ign. Polkowskiego 2-gie wyd. — Gniezno — 1874 — Str. 197.

„Le corps de Kopernik fut déposé dans l'église de Warmie. Une pierre modeste, avec une inscription analogue, indiquait au passants que dans cet endroit reposait plutôt un humble pécheur qu'un sage qui illustra sa patrie et honora la science:

Non parem Paulo gratiam requiro,
itd. jak powyżéj.

„Je ne demande pas la grâce accordée à Paul, ni „celle donnée à Pierre. Je sollicite seulement la faveur que „Vous avez faite au larron attaché à la croix.

Cette inscription sur la tombe de Kopernik, peint avec éloquence l'humilité d'un catholique pieux qui a beaucoup souffert, et qui rejette au loin toute prétention vaniteuse. Après avoir rempli sa vie par des actes charitables, après avoir rendu des services immenses à la science, il ne sollicite que la faveur du pécheur pardonné.“ **Kopernik et ses trav.** par Jean Czyński — pp. 85 et 86.

Str. 158. Mdlejącą ręką xięgę wydobył z ukrycia,
Oddał ją między ludzi, — i wstąpił w konanie.
Raz jeszcze się obejrzał z grobowego progu:
Ujrzał blask swojéj xięgi nakształt wschodu słońca.
Potém oblicze duszy obrócił ku Bogu,
I zapatrzył się w Prawdę widzeniem bez końca.

„Astronom nasz postanowił... przed samą śmiercią wydać xięgę *O obrotach ciał niebieskich*... Najpierwszy exemplarz przysłano autorowi do Frauenburga, ale mąż wielki już dogorywał. Spojrzał tęsknym wzrokiem na swoją xiążkę... i oddał duszę Bogu.“ **Życiorys Mik. Kopernika** przez Jul. Bartoszewicza w Warszawskiém wyd. dzieła **O obrotach** — 1854 — Pag. LXXII i LXXIII.

„Toute la vie de Kopernik est en parfaite harmonie

avec sa croyance religieuse. Il embrassa à Cracovie l'état ecclésiastique par vocation, il en remplit tous les devoirs avec une exactitude exemplaire. Aux derniers moments de sa carrière terrestre, quand ses amis lui remirent le premier exemplaire de son ouvrage imprimé, il le prit dans ses mains, il le contempla un moment, mais bientôt, recevant le saint Sacrement, il ne s'occupa que du Juge suprême, devant lequel il allait paraître. — „Il s'éteignit", dit M. Arago, „en tenant dans ses mains défaillantes le premier exemplaire de l'ouvrage qui devait répandre sur la Pologne une gloire si éclatante et si pure". — Gassendi ajoute: „Il est mort comme il a vécu. Atque hujus modi quidem vita, hujus modi mors Kopernici fuit." **Kopernik et ses travaux par Jean Czyński — Paris — chez Renouard — 1847 — pp. 12 et 13.**

Str. 159. Mistrze co po nim dobiegły celu,
To pchnięciem przez niego danem.
W świątyni wiedzy, kapłanów wielu,
Ale on, Arcykapłanem.

„Niezmierna ta przestrzeń nowych prawd i widoków, przebieżona lotem rozumu w jednym prawie wieku, zaczęła się dopiero wtenczas odkrywać, kiedy przy głębszéj uwadze, nauka Kopernika szerząc się i utwierdzając, sięgała ostatniego stopnia pewności. Bieg ziemi i porządek ciał niebieskich przez Kopernika wskazany, albo prowadził do nowych prawd i wynalazków, albo podsuwał trafne i prawdziwe tłumaczenie nowych fenemenów na niebie postrzeżonych, którychby niepodobna było pojąć i wytłumaczyć bez téj nowéj nauki. Bez niéj Kepler byłby praw na biegi ciał niebieskich nie odkrył; a bez praw Keplera nie byłby Newton praw attrakcyi wynalazł... Kiedy więc z chlubą i zadziwieniem zatrzymamy dziś uwagę w Astronomji nad pojęciem ludzkiém, okrytém blaskiem wiadomości, daleko i szybko się rozchodzącém; w przybytku chwały i nieśmiertelności zobaczymy Keplera, Newtona, i cały po nim idący szereg wielkich ludzi, jako rozniecających pierwszą iskrę światła, którą Kopernik rzucił w ciemnościach Fizyki niebieskiéj." **Dzieła Jana Śniadeckiego — Warszawa — 1837 — Tom Drugi — Stron. 152 i 155.**

Ta palma pierwszeństwa, to „Arcykapłaństwo" między nieboznawcami, są już dziś ogólnie Kopernikowi przyznane. Nietylko głosy swoich, lecz i obcych oddają mu pod tym względem sprawiedliwość, któréj żadne współzawodnictwo nie zdołało przyćmić. I tak (w roku 1844-m) kiedy wyszła w Londynie rozprawa Lacha Szyrmy pod tytułem: Copernicus and his native land, pisarz angielski Dr. Worthington dodał do niéj wiersz pełen zapału, którego koniec brzmi jak następuje:

„Umieszczony na tronie z Newtonem w gwiaździstych sferach, Kopernik rozwija słuchającym uszom, przedziwne prawa, które przyrodzenie mu odsłoniło, i *które bez niego, nawet dla Newtona byłyby ciemne.* Tak Polska sława miesza się z samego Boga wszechmocnością, i żyje w krainach wiecznego światła." (Patrz w Żywocie Mik. Kopernika przez X. Ign. Polkowskiego, stron. 327-mą, gdzie przekład polski tego wiersza jest przytoczony w całości).

Str. 166.

Dwa pokolenia.

Wierszyk ten został napisany pod muzykę na żądanie Napoleona Ordy, zacnego męża, wdzięcznego rysownika i kompozytora, który po czterdziestu kilku latach spędzonych na tułactwie, wrócił do kraju pełen roztęsknienia i rozradowania, ale tu, zastał pokolenie tak odmienne od ludzi jakich niegdyś żegnał, i między swemi uczuł się tak obcym, że mimo najżyczliwszego przyjęcia, długo nie mógł się uspokoić ni ukoić.

Nieraz opowiadał autorce te swoje wrażenia. Gdy więc zażądał, aby dla niego napisała piosenkę, (do której miał zamiar dorobić melodję), najstosowniejszym przedmiotem wydało jéj się odmalowanie jego własnych uczuć, témbardziéj że te uczucia — nawet i bez pólwiekowéj wędrówki — odnajdują się mniéj więcéj w duszy każdego człowieka, który przeżył kilka pokoleń.

Pod niebieską chorągwią.

Str. 193. *O Michale Archaniele,*
Ty, co z niezłomną buławą u ręki,
W niezłomnie wojującym hetmanisz kościele,
Dzięki ci od wszech ludów i pokoleń! Dzięki,
Że po raz wtóry stanąć zechciałeś na czele,
Już nie anielstwa, ale człowieczeństwa.

„Michał Archanioł, poczytywany był zawsze za najwyższego wodza wszystkich duchów niebieskich, i za głównego Patrona Kościoła, jak był głównym Opiekunem Synagogi Żydowskiéj przed przyjściem Zbawiciela... W dziesiątym Rozdziale swojego Proroctwa pisze Daniel, że tak wyraził się do niego Anioł: „A żaden nie jest pomocnikiem moim w tém wszystkiém, jeno Michał Xiąże *wasze*", a potém przydał mówiąc o ostatecznych dniach świata: „A czasu onego powstanie Michał Xiąże wielki, który stoi za synami ludu twego" *). Święty to Michał także okazał się Jozuemu, gdy on przebył rzekę Jordanu, a zapytany wtedy od niego kim jest, odpowiedział: „Jestem Hetman wojska Pańskiego..." **) Nakoniec on to głównie powoła świat cały na Sąd ostateczny, i w walce jaką wtedy stoczy jeszcze raz z Lucyferem, pokona go... Pismo Boże wyraźnie zapowiada, że w najcięższych przejściach dla Kościoła, święty Michał stanie w jego obronie... i jedna z Antyfon święta dzisiejszego głosi: „Michał Archanioł przybędzie w pomoc ludowi Bożemu, stanie na ratunek duszom sprawiedliwych." **Żywoty Świętych Pańskich** przez O. Prokopa Kapucyna — Warszawa — u M. Orgelbranda — 1874 — *na dzień Ś-go Michała* — Str. 827 i nast.

Psyche i Fenix.

Str. 198. *Każą mi żywcem zstąpić do Hadesu,*
I ztamtąd przynieść skarb dziwny, jedyny,
Jakiego tajni Wenus nie dociekła.

„W mitologii greckiéj zasłynęło podanie o Amorze i Psyche, jako allegorja stosunku duszy ludzkiéj do miłości

*) Dan. X. 13. XII. 1. — **) Joz. V. 14.

bożéj. Według najstarszego mytu, była Psyche córą bożka słonca i Entelecheji (bezustannéj dążności ku górze)....“ Po zniknięciu Amora, „niepocieszona Psyche błąkała się... i dotarła wreszcie do pałacu saméjże Wenery. Tu dopiero rozpoczęły się najsroższe jéj cierpienia. Wenus zatrzymała ją u siebie w niewoli, i najcięższe na nią, jako na niewolnicę, wkładała roboty. Psyche uległaby była pod ich ciężarem, gdyby zakochany w niéj zawsze Amor, nie był jéj wspierał tajemnie i niewidomie. Ostatniéj wszakże próby o mało nie stała się ofiarą; był to rozkaz przyniesienia słoika z maścią do utrzymania piękności (kosmetyku) z krainy cieniów, od Prozerpiny. Wprawdzie wyprawę tę odbyła szczęśliwie, ale gdy ciekawością wiedziona słoik otworzyła, buchnęła zeń odurzająca para, która Psychę powaliła o ziemię bez życia. Wtém ukazał się Amor, a dotknąwszy się jéj strzałą, życie ulubionéj przywrócił. W końcu dała się i Wenus ubłagać, a Jowisz obdarzywszy Psychę nieśmiertelnością, na wieki ją z kochankiem połączył.“ **Encyklopedyja Powszechna wyd. S. Orgelbranda — Tom dwudziesty pierwszy — Str. 734—735.**

Trzeba zaiste podziwiać, z jaką misternością Grecy umieli zamykać wielkie i poważne prawdy, w swoich na pozór lekkich, mitologicznych opowieściach. Jedną z najcudowniejszych takich powieści są niezaprzeczenie dzieje Amora i Psychy, a w tych dziejach jednym z najgłębszych i może najmniéj zauważonych szczegółów, jest ów słoik z Prozerpinowym kosmetykiem. Oznacza on wyraźnie, że najwyższy stopień piękności, czyli czar duchowy, nie może być zdobytym inaczéj, tylko przez cierpienie. To téż Wenera wyobrażająca piękność czysto-zewnętrzną, Wenera śmiejąca się wieczyście, nieznająca bólu ani śmierci, nie posiada go na swym Olimpie; jest-to jedyny „sekret piękności“ niedostępny dla niéj. Sekret ów leży w krainie łez i smutku, w ręku Prozerpiny, monarchini duchów. Tak te dwa rodzaje piękności przedzielone są całą przepaścią trzech światów, i dopiero dusza ludzka może je w sobie połączyć, ale na to potrzeba, ażeby „przeszła za życia przez piekło“, a jeśli ztamtąd powróci zwycięzko, natenczas do jéj Wenusowych wdzięków, będzie przydany i urok męczeństwa.

Uwaga. Większa część poezji zamieszczonych w tym zbiorze — zwłaszcza początkowych — uległa licznym i gruntownym poprawkom. Uległy im nawet utwory improwizowane, które téż dla téj przyczyny nie noszą tu już nazwy „improwizacji“ *). Gdyby się znalazł dziś jeszcze ktoś taki, coby te przeszłe próby chciał widziéć w ich pierwotnéj postaci, ten łatwo je napotka w dawniejszych wydaniach, gdzie wydrukowane są bez żadnéj zmiany, z całą pstrocizną, jaką nieodzownie wiedzie za sobą ciągłe szukanie nowych dróg i kształtów.

Odmienną jest cecha niniejszego zbioru. Ponieważ pisarz ma prawo życia i śmierci nad swemi dziełami, ponieważ ma przytém i obowiązek doprowadzenia ich do największéj doskonałości, na jaką się tylko może zdobyć, tu więc autorka nie pożałowała czasu ani pracy, ażeby te różnotonne odgłosy lat wielu, dostroić do jednego mniéj więcéj „kamertonu“, tak pod względem techniki jak i pojęć, i ażeby ujawnić w nich stopień harmonji, do jakiéj życie dostroiło jéj duszę.

Nie wszystkie jednak owoce przeszłości, zasługiwały na tak mozolne przeszczepianie. To téż mnóstwo ich ztąd odpadło. I tak — że tylko jeden przykład przytoczymy — z całych dwóch tomów *Improwizacji i Poezji* przed laty wydanych w Warszawie (pierwszy przez J. Ungra w 1854-m, drugi przez S. Orgelbrandd w 1858-m) ledwie kilkanaście utworów znalazło tu miejsce. Reszta, jako zbyt niedojrzała czy w formie czy w treści, została stanowczo przez autorkę odrzucona, i z przyszłych wydań — jeżeli ten zbiór ich się kiedy jeszcze doczeka — powinna być zawsze wykluczaną.

*) Improwizacji w tym zbiorze jest dziewięć: Taniec, Lilja, Rzeźbiarstwo, Kamienie, Rzeczywistość i Wyobraźnia, Góry, Odpowiedź, Sen, Trzy róże. — Z tych, ostatnia tylko pozostała w niczém niezmienioną.



SPIS PRZEDMIOTÓW

ZAWARTYCH W XIĘDZE DRUGIÉJ.

